ELI MAKOWER

POWIEŚĆ

PRZEZ

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

TOM I.

RÓŻNI I RÓŻNE

WARSZAWA.

Nakład i druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska N. 23

1876

Дозволено Цензурою.— Варшава, 6 Ноября 1875 г.

Na jednę z najpiękniejszych i najżyzniejszych nadniemeńskich okolic spadał powoli mrok letniego wieczoru i przezroczystym jeszcze, szarawym cieniem obejmował obszerny, szczytami licznych topól najeżony, o zieloną ścianę gęstych i rozległych ogrodów oparty, dwór orchowski.

Przez wielką salę, o czterech podłużnych oknach i sprzętach rzadkich, wkoło wysokich ścian umieszczonych, przesuwała się raczej niż przechodziła szczupła i wysoka postać kobieca.

Była to pani dworu, Leontyna z Ręczyców Orchowska, słynna niegdyś z piękności swéj i rozgłośnych w świecie powodzeń.

Że była niegdyś piękną, każdy dziś jeszcze odgadłby z pierwszego na nią spojrzenia, jakkolwiek jesień życia srebrzyć już zaczynała włosy jéj kruczej czarności; ale nikt domyślećby się nie mógł z pewnością, iż był czas, w którym ona także umiała być wesołą.

Patrząc na nią w téj chwili, nikt nie mógłby pomyśleć o porze owéj, w której czoło jéj promieniało dumą i pogardą, usta śmiały się swobodnie i często, czarne źrenice płonęły niecierpliwém pragnieniem blasku, hołdów, wesołości, dłonie umiały z dziecięcym wdziękiem i ponętną zalotnością bawić się kwiatkiem lub wachlarzem,—w której nakoniec cała ta postać wysoka prostą była jak topola, ży-

wą jak iskra, jak tęcza mieniącą się barwami i połyskami jedwabiów, koronek, dyamentów.

Dziś czoło kobiéty tej, białe jeszcze, zorane było kilku surowymi zmarszczkami, usta zwiędłe i okrążone wyrazem nieokreślonéj goryczy, źrenice zagasłe, ze sztywną obojętnością w ziemię utkwione.

Powoli i cicho, w sukni czarnej, której krój i barwa nawpół przypominały surowe szaty zakonne, nawpół romantyczny strój średniowiecznych kasztelanek, z głową pochyloną i opuszczonémi w dół białémi dłońmi, kobieta ta przesuwała się dziś pomiędzy wysokiemi ścianami domu swego, niby duch smutku, rozlewający dokoła siebie zniechęcenie.

Jakkolwiek ostatnie blaski dnia dostatecznie jeszcze rozświecały wnętrze domu, wązka smuga białego światła lampy wymykała się z nieszczelnie zamkniętych drzwi pokoju do sali przytykającego.

Przed drzwiami témi kobiéta w czerni zatrzymała powolne swe kroki.

— Czy mogę wejść? zapytała z cicha.

— Proszę, odpowiedział z sąsiedniego pokoju głos męzki, stłumiony także, z zesłabłéj, choréj widocznie piersi wychodzący.

Pokój, do którego weszła teraz pani orchowskiego dworu mniejszy nieco od poprzedzającej go sali, obszernym był jednak, o trzech wielkich oknach, ściśle okrytych w tej chwili zasłonami z grubego sukna. Przestrzenie znajdujące się pomiędzy oknami, jako téż jedną ze ścian bocznych zajmowały całkowicie ogromne szafy, od góry do dołu oszklone, szczytami dotykające wysokiego sufitu, napełnione książkami różnych formatów i w przeróżnej oprawie, tu starannie ustawionemi, gdzieindziej porozrzucanemi

w najwyższym nieładzie, o ciągłem używaniu ich świadczącym. Ścianę przeciwległą oknom w połowie prawie okrywał obraz wielkich rozmiarów, tłumną jakąś dziejową scenę przedstawiający i w ozdobne złocone ramy ujęty.

W głębi szerokie łoże, wysoko pościelą zasłane, stało pod ścianą, na której wisiały portrety kilku słynnych poetów i myślicieli: Słowackiego, Szekspira, Szyllera, Hugona Kołłątaja, Mirabeau, Woltera. Od stóp łoża puszyste skóry niedźwiedzie i lamparcie rozciągały się aż pod skraj komina staroświeckiego kształtu i wielkich rozmiarów, przed którym stał obszerny stół okrągły, książkami i papierami piętrzący się, z zapaloną lampą pośrodku.

Światło lampy, wypływając z pod przezroczystéj osłony, niedostatecznie oświetlało obszerną i wysoką komnatę, w niewyraźnych tylko zarysach ukazując napełniające ją przedmioty. Słabe światło to, walczące z mrokiem, cisza głęboka, atmosfera duszna, gorąca, pomimo letniéj pory ogrzewana ogniem utrzymywanym wciąż na kominie w stanie tlenia, nadawały pokojowi temu cechę smutku i niemal posępności.

Przy stole, w głębokim fotelu, siedział mężczyzna, ubrany w szlafrok ciemnej barwy. Pomimo siedzącej postawy, znać było, iż musiał być wysokim, a szerokość ramion i cała budowa ciała dowodziły, że natura go stworzyła zdrowym i silnym. Teraz jednak szerokie plecy jego przygarbione, pierś wklęsła, szyja chuda, otoczona białym kołnierzem koszuli i ręce złożone na stole, wkoło otwartéj książki splecione, białe, przezroczyste, zdradzały ostateczne niemal fizyczne wyniszczenie i niemoc. Ciału temu, napiętnowanemu sprzecznością siły z niemocą, wyrazem swym w zupełności odpowiadała głowa. Była to głowa wielka,

taka w której frenolog mógłby domyśleć się potężnie utworzonego i rozwiniętego mózgu; czoło nad brwiami wypukłe, wysokie, podniesione jeszcze całkowitem prawie wyłysieniem czaszki, znamionowało niepospolite umysłowe zdolności; oczy podłużnie wykrojone, z błękitną źrenicą, musiały być niegdyś piękne i pełnią życia jaśniejące, usta ocienione bujnym posiwiałym wąsem, posiadały zarys wytworny, organizmom rasy pod względem fizycznym poprawnej właściwy. Wszystko to jednak było dziwnie zmiędłe, zmięte, zatarte, spłowiałe. Na czole tem wielkiem zgromadziło się zmarszczek mnóstwo; źrenice pobladłe, znużone z wyrazem tlejącéj jakby zwolna i milcząco boleści na dnie, patrzyły z pod powiek ciężkich, obrzękłych i zarumienionych; końce warg zwisały w dół, pomiędzy żółtą i pomarszczoną skórą policzków. Jakiemikolwiek były żywioły fizyczne lub moralne, które podkopywały i podkopały zdrowie, energiją, piękność i zdolności człowieka tego—uczyniły one zeń smutną ruinę, obraz bezwładności cielesnéj i nieuleczonego zda się smutku ducha.

Wysoka postać i czarna szata pani Leontyny przesunęły się wśród mrocznego pokoju zwolna bez szelestu, i białe palce jej dotknęły na mgnienie oka chudej, gorączką rozpalonej dłoni siedzącego w fotelu mężczyzny. Zajęła miejsce przy stole i wychylając pod światło lampy twarz swą smętną trochę i zadumaną, lecz więcej jeszcze obojętną i surową, zniżonym, bardzo przewlekłym głosem zapytała:

— Jakże czujesz się teraz, Kajetanie?

— Jak zwykle,—z zupełną obojętnością odpowiedział mężczyzna.

— Dziś zrana jednak kiedym tu była, mówiłeś mi, że jest ci nieco lepiéj.

— Zwykła to rzecz u suchotników, że ranek przynosi im ulgę, a wieczór zwiększone cierpienie, nie zmieniając obojętnego tonu, rzekł Kajetan Orchowski.

Pani Leontyna westchnęła.

Spodziewam się, zaczęła znowu, że nie poczytujesz za złe mnie ani Lili, jeśli nie przebywamy z tobą ciągle. Ja jestem także cierpiącą bardzo. Widok twéj choroby rozstraja mi nerwy i wprawia uczucia w stan rozdrażnienia, którego dusza chrześcijańska i zrezygnowana unikać powinna. Lila znowu jest, jak wiesz, tak szczupła, delikatna..... a w wieku jéj... pewne choroby najłatwiej udzielać się mogą.

— Wiem, wiem,—wymówił mężczyzna z tą samą co wprzód zupełną obojętnością, ale wyraz oczu jego zaprzeczył tym razem dźwiękowi głosu.

Oczy te, blade i zmęczone, obiegły do koła mroczną, posępną, nieożywionemi tylko przedmiotami napełnioną komnatę i powlekły się szybko powieką, jakby skryć chciały iskrę żalu, co w nich zapłonęła. Po chwili, kończąc głośno myśl, która powstała mu w głowie, powoli i ciszej niż wprzódy wymówił:

— Nie uskarżam się na nic i o nic nie obwiniam nikogo. Wszak wierzę, że wszystko co spotyka człowieka jest następstwem całego ciągu jego życia, jest własnem jego dziełem...

— Wolą Bożą,—cichym lecz stanowczym głosem przerwała pani Leontyna.

— Wola Boga nie jest wolą despoty. Stworzyła ona świat i człowieka tak, aby żaden skutek nie powstawał bez przyczyny i żadna przyczyna nié przemijała bez skutku.

Parę zdań tych Kajetan Orchowski wymówił tonem urywanym, lecz dobitnym.

Pani Leontyna zato spuściła oczy i westchnęła znowu.

— Na tym punkcie zdania nasze nie zejdą się z sobą nigdy, rzekła sucho i krótko i jakby chciała inny zwrot nadać rozmowie, rzuciła wzrokiem na papiery i książki stół pokrywające.

— Zbytecznie trudzisz się tém czytaniem; doktór usilnie zaleca ci spoczynek.

Po zwiędłych wargach Orchowskiego przesunął się uśmiech o nieokreślonym wyrazie.

— Spoczywałem całe życie, wymówił.

— Tém bardziej więc spoczywać możesz teraz, gdy jesteś chory, i....

— Blizki śmierci, dokończył mężczyzna. Kobiéta nie odpowiedziała.

— Otóż to tak, z uprzednim wciąż uśmiechem na ustach ciągnął Orchowski — jednym śmierć przybywa przedwcześnie dlatego, że nazbyt pracują, innym dla tego że nazbyt zażywają wczasu...

— Ja tego wszystkiego nie rozumiem, z większą niż wprzódy żywością przerwała kobiéta. Wiesz dobrze, iż nigdy nie miałam najmniejszego pociągu do wszelkich tych uczoności i filozofij, które nie prowadzą ani do szczęścia na tym świecie, ani do zbawienia wiecznego na tamtym. Widzę tylko to, że szczególne zamiłowanie twoje w tych szpargałach do reszty odbiera ci siły.

— Miałem ich kiedyś więcéj i nic z nich nie uczyniłem—dziś jest już ich we mnie zamało, aby na cokolwiek przydać się mogły. Szpargały te zresztą, Leontyno, to jedyna pociecha moja, jedyny promień, który przyświeca ostatnim godzinom mego życia.

Powiedział to bardzo spokojnie, bez cienia skargi

w głosie, a jednak pani Leontyna uczuła znać wyrzut, który mieścił się w ostatnich jego słowach. To też uśmiechnęła się wpół cierpko wpół smutnie i czarne oczy swe podniosła na twarz męża z wyrazem nietajonego wcale zażalenia.

— A ja? rzekła powoli, jakąż jest jesień mojego życia? Tak bo jesień to już, jesień.... jesień.....

Ostatni wyraz, trzy razy powtórzony stopił się w szepcie zaledwo dosłyszalnym i w westchnieniu, które nie zwalczone i zapewne nie zwalczane, podniosło wysoko pierś jéj, okrytą surowemi fałdami czarnego stanika.

Potem zaczęła znowu:

— Od lat już kilku siedzę zamknięta w tym wielkim, milczącym domu, jak w grobie... Nie widzę ludzi i nie szukam ich.... Pocóż mi zresztą ludzie i co wśród nich znaczyłabym teraz.... zestarzała.... smutna?... Dnie wloką się jak lata i gdyby nie wiara, która mnie podtrzymuje, gdyby nie modlitwa, w którą przelewam wszystkie łzy zbolałego swego serca. ...

— A dzieci twoje, Leontyno? zapytał mężczyzna, który dotąd słuchał żalów swej żony z zupełną obojętnością, niby wrotki swego i jej życia, którą wiele już razy słyszał, dokładnie znał i rozumiał.

Ramię pani Leontyny, objęte czarnym, obcisłym rękawem, poruszyło się gestem zniechęcenia.

— Dzieci, powtórzyła, wszak Kamil podróżuje ciągle prawie, a gdy jest w domu, siedzi tak jak ty, zakopany w książkach... Mieczysław za gospodarstwem swem w Rydlówce od lat dwóch już Bożego świata nie widzi i zresztą kochał on zawsze ciebie nieporównanie więcéj niż mnie...

Westchnęła ciężko i dodała:

— Taki to już los wielu matek; że synowie ich, gdy

dorosną, stają się im zupełnie prawie obcymi... Kamil i Mieczysław nie zwierzają się nigdy z niczem przedemną, a ile razy, dawniéj jeszcze, którykolwiek z nich zaczął mi mówić o tém jak myśli i co czuje, nie doprowadziło to nas do niczego więcéj, jak do bolesnych bardzo sprzeczek i zwiększonéj ich dla mnie obojętności.

Gdy pani Leontyna tak mówiła, usta pana Kajetana otworzyły się i zamknęły znowu parę razy; zdawać się mogło, że wyrzekaniom tym odpowiedzieć chciał zapytaniem jakiemś czy uwagą, która wyjaśniłaby może obudzającą je przyczynę. Nie uczynił jednak tego; wszelkie uwagi i przypominania uznał znać za rzecz zapóźną i bezpożyteczną—krótko więc tylko zapytał.

— A Lila?

— Lila przy guwernantce, a gdy nie będzie już miała guwernantek, to za mąż pójdzie, odrzekła pani Leontyna.

Po krótkiej chwili milczenia, z głową pochyloną, z dłońmi splecionemi i złożonemi na kolanach, mówiła dalej:

— Jestem wiecznie sama... sama jedna ze wspomnieniami tylko minionéj przeszłości, któré nie pozostawiły mi nic, prócz żalu za tym co było..... od których zresztą usiłuję uwolnić się modlitwą i oderwaniem myśli od ziemskich próżności..... Synowie moi oddalili się odemnie sercem, wyobrażeniami, całym sposobem życia i myślenia... córka nie potrzebuje starań moich, bo nie jest już przecie niemowlęciem, a wkrótce może opuści mię zupełnie... Dom w którym przeżyłam lat trzydzieści nie stał mi się miłym wcale, nie może mi zresztą miłym być teraz gdy wszystko tu starzeje, ruinuje się i upada w gruzy.... Gdziekolwiek spojrzę, na siebie czy dokoła siebie, wszędzie widzę tylko starość, smutek, zniszczenie!....

Pan Kajetan nawpół tylko zdawał się słuchać wyrazów tych cichym i przewlekłym głosem wypowiadanych. Oczy jego z pewną niecierpliwością zwracały się co chwila na karty rozwartéj książki. Myśl znużona i roztargniona słuchaniem tego co zbyt dobrze i oddawna było jéj znanem, uciekała w oderwane od najbliższej rzeczywistości światy poezyi i rozpamiętywań. Pani Leontyna spostrzegła to i zwolna podniosła się z siedzenia.

— Widzę, że przeszkadzam ci, rzekła; oddawna zresztą wiem, że najlepiéj ci jest gdy zostajesz sam, ze swemi ulubionemi książkami.

— Ja także, Leontyno, wiem oddawna o wszystkiém, o czem mi przed chwilą mówiłaś. Jesień twojego życia smutną jest, kres mego nie wesoły także. Cóż na to poradzić? Dopuściliśmy się znać srogich omyłek i błędów, skoro nam one tak gorzkie przynoszą owoce.... żyć zaś poraz drugi, aby stracone dobra odzyskać, nie możemy.

— Ja znowu nie poczuwam się do tak wielkich błędów, aby mi za nie podobna wyznaczona była pokuta. Grzeszna jestem przed Panem, jako istota ułomna, to prawda, mniéj jednak z pewnością zawiniłam w swem życiu, niż wiele innych kobiet, stokroć jednak szczęśliwszych odemnie. Nie mam sobie nic do wyrzucenia i w nieszczęściu swém widzę tylko wolę Boga, który ciężkie krzyże lubi zsyłać częstokroć i na niewinnych, aby uświęcać dusze ich, nazbyt może przywiązane do marnych powabów świata.

Chwila milczenia panowała pomiędzy małżonkami.

Kajetan Orchowski wpatrzył się w karty książki, potem podniósł czoło, na którem więcej jeszcze niż wprzódy zjawiło się zmarszczek, i z okiem rozpalonem nagłem jakiemś gorącem uczuciem, rzekł:

— Uznajesz się niewinną, Leontyno... niewinną zupełnie.... Zaprzeczać ci nie będę, bo i na cóż to przydaćby się mogło? Ale oto dla czego nie zgadzamy się ze sobą na znaczenie żadnego ze słów mowy ludzkiej, dla czego niepodobna abyśmy sobie wzajem jakąkolwiek nieśli pociechę. Ja poczuwam się do omyłek i błędów wielkich, ciężkich, wyrzucam sobie srogo, że uczyniłem z życia swego to co uczyniłem, uznaję się winnym.... nie tylko przed Bogiem, jak ty, ale przed ludźmi, tobą, sobą i dziećmi naszemi.... Dla tego też nie wyrzekam.. i cały ból swój i wszystkie żale chowam tu!...

Przy ostatnim wyrazie położył na piersi wzdymającéj się krótkim, chrapliwym oddechem rękę swą chudą, przezroczystą, a na wklęsłe policzki jego wystąpiły dwie plamy gorącéj ceglastej barwy.

Pani Leontyna słuchała słów męża z brwią ściągniętą i z cierpkim, wzgardliwym prawie uśmiechem na ustach.

— Uważam to od niejakiego czasu, rzekła, iż każda rozmowa ze mną irytuje cię i *robi ci źle*... Dobranoc; jeśli będziesz mię potrzebował, przyślij po mnie Tomasza. Znam i rozumiem powinności swoje jako żony; świat i lata nauczyły mię pokory, gotową więc jestem w każdej chwili oddawać ci usługi, choć najniższe, najtrudniejsze.. Jutro zresztą około południa, przyjdę, jak zwykle, dowiedzieć się jak noc spędziłeś.

Rzekłszy to, odeszła, jak przyszła, zwolna i bez szmeru.

W obszernéj komnacie cicho było znowu jak w grobie, lampa malowała na suficie świetliste koła i drżące iskry rozniecała w szybach osłaniających długie, liczne szeregi

książek; z pół-zmroku wychylały się mistrzowskim ołówkiem rysowane, zamyślone, energiczne, poezyją opromienione, lub ogniem czynu i walki rozgrzane twarze wielkich mężów ludzkości; przed kominem, w którym zarzyło się jeszcze parę niedopalonych drewien, na okrągłym stole, w tłumnym nieładzie skupiały się książki rozwarte i zamknięte, podarte, zmięte i nowe, z licznemi nadpisami na marginesach, bezładnie, nie wyraźnie, drżącą znać, słabą często jakby niecierpliwą ręką kreślonemi.

Kajetan Orchowski, po odejściu swej żony, długo siedział nad tym stosem zadrukowanego i zakreślonego papieru, nieruchomy, zmęczony, oddychając ciężko, z czołem ukrytem w dłoni i głęboką zadumą w oczach. Wyciągnął potem rękę i pocisnął sprężynę stojącego wśród książek dzwonka. Srebrzysty, donośny dźwięk, poruszeniem tém wywołany, nie umilkł jeszcze w powietrzu, gdy w bocznych drzwiach stanął mężczyzna, z głową okrytą białemi jak mleko włosami.

— Czy Mieczysław nie przyjeżdżał dziś do dworu? łagodnym głosem zapytał pan Kajetan starego sługi.

Starzec wzruszył ramionami.

— Albożby pan nie wiedział o tem, gdyby pan Mieczysław tu przyjeżdżał? Alboż pan Mieczysław choćby raz jeden nie był u pana, będąc we dworze?

— To prawda mój, Tomaszu, to prawda... myślałem tylko, że może, może zapomniał.

— Niech pan będzie pewny, że pan Mieczysław prędzej o własnej głowie, niż o panu zapomni.

— A Kamil? ciszéj i spuszczając oczy, zapytał Orchowski.

Stary sługa poprawił zasłonę u lampy, przysuwał do

stołu dwa staroświeckie krzesła o wysokich poręczach i milczał chwilę. Na twarzy jego pomarszczonéj, lecz rumianéj i czerstwéj, zjawił się wyraz przymusu, z pewnem nadąsaniem połączonego. Po chwili rzekł tonem krótkim i mrukliwym:

— Pan Kamil przyjechał z Warszawy parę godzin temu. Kazał urządzić sobie kąpiel i podać wieczerzę. Teraz leży w łóżku i książkę czyta.

— Czy pytał się o mnie? zcicha wymówił Orchowski a powieki i usta jego lekko zadrżały.

— A pytał się, odparł sługa — i pragnąc jakby uwolnić się od dłuższego mówienia w tym przedmiocie, dodał: Może pan potrzebuje czego? może ogień rozpalić lepiej? albo ziółek od kaszlu przynieść? A może książkę którą z szafy dostać i podać?

Pani Leontyna tymczasem, opuściwszy pokój męża, przebyła znowu wielką salę i przez szereg mniejszych już, ale równie ponurych i mrocznych pokojów skierowała się w inny koniec domu.

Tam, z za drzwi zamkniętych, doleciały jéj ucha dźwięki dwóch świeżych głosów, z których jeden był wyraźnie głosem młodej kobiety, drugi wychodził z nawpół dziecinnéj jeszcze, dziewczęcéj piersi.—Głosy te rozmawiały ze sobą żywo, wesoło, wznosząc się chwilami w swywolnéj niby sprzeczce, to znowu przyciszając się, jakby w poufnych zwierzeniach. Raz zmieszało się z niemi parę skocznych taktów polki czy walca, wygranych na fortepianie dorywczo i mimochodem; potem zabrzmiał długi srebrzysty wybuch śmiechu; potem jeszcze lekkie stopy przebiegły po posadzce jakby ktoś uciekał od czyjéjś pogoni, a szmerowi temu towarzyszyły stłumione chichoty i ciche, urywane, z głośnemi wykrzyknikami pomieszane szepty; aż nakoniec rozmowy, śmiechy, muzyka i swywolna zabawa umilkły.

Pani Leontyna weszła do pokoju, w którym prócz fortepianu, dwóch łóżek śnieżnie zasłanych, kanap i krzeseł dość starych i zniszczonych stał pośrodku wielki stół okrągły z książkami, w szarej podartéj oprawie, z poplamionemi i porozdzieranemi zeszytami, ze szklanym kałamarzem i kilku piórami atramentem powalanemi, niecierpliwą ręką jakąś połamanemi i rozrzuconemi. Był to więc widocznie pokój nie tylko do spania ale i do nauki młodéj główki jakiéjś przeznaczony. Że zmieniał się on téż niekiedy w miejsce zabawy, świadczył o tém nieład napełniający go w téj chwili, krzesła porozrzucane i dwie doniczki z rosnącemi w nich roślinami przewrócone.

Wśród tego wszystkiego znajdowały się dwie osoby: młoda kobiéta, piękna, wysoka, z bogato rozwiniętą kibicią, wymównemi oczami i lasem kasztanowatych loków w około szyi i młodziuchne, najwyżej piętnastoletnie dziewczę. Wdzięki kobiéty dorosłej, jakkolwiek niepospolite, bladły wobec olśniéwającéj piękności dziewczyny dorastającéj. Była to piękność smukłéj, gibkiéj brzozy i zarazem iskry, która wnet wybuchnąć ma płomieniem. Blask dwóch świec palących się na stole padał wprost na twarz jéj ściągłą, alabastrowo białą; ukazywał usta pąsowe jak krew, wypukłe, wilgotne; przeglądał się w wielkich, czarnych źrenicach, pływających na ciemno-błękitnych białkach; połyskiwał nakoniec w bujnych, czarnych paciorkach, dwoma rzędami otaczających szyję białą i opadających na pierś w pełnych już kształtach rysującą się wśród fałd czarnego stanika. Włosy krucze, kędzierzawe, odrzucone z czoła w sposób pełen zalotnéj niedbałości, dwoma olbrzymiemi splotami spadały na plecy dziewczyny, tonąc w fałdach spódniczki krótkiéj, o wiele jeszcze ziemi nie dotykającéj.

W chwili gdy pani Leontyna ukazała się we drzwiach

pokoju, dziewczę stało na krześle, z głową w tył odrzuconą, rękę napełnioną cukierkami podnosząc w stronę młodéj kobiéty, jakby ją gradem trzymanych w dłoni przysmaków orzucić chciała. Młoda kobieta zaś, zmęczona znać ucieczką czy pogonią, z rumieńcami na śniadych policzkach, rzuciła się na sofę i z twarzą wzniesioną ku sufitowi, z uszami roztwartemi swywolnym śmiéchem, groziła białą ręką młodziutkiéj figlarce. Nagle porwała się z sofy i stanęła wyprostowana, zmięszana nieco. Dziewczyna zeskoczyła także z krzesła, ale nie zakłopotana bynajmniéj, parą poskokami znalazła się obok wchodzącéj i głośny pocałunek wycisnęła na jéj ręku:

— Jesteś zawsze tak żywa, Lilo! wymówiła pani Leontyna zwykłym sobie, zniżonym, przewlekłym głosem a zbliżając się ku stojącem u pośrodku pokoju stołowi, dodała.

— Jak widzę, bawicie się wesoło.

— Lila uczyła się dziś pilnie, odpowiedziała młoda kobiéta o śniadéj twarzy, pracowała wiele i sądziłam, że dobrze będzie, jeśli się trochę rozmową i zabawą ze mną rozerwie.

— Zapewne, zapewne, mówiła pani Leontyna, nie jestem znowu tak bardzo przeciwną wszelkiéj wesołości, abym jéj córce swojéj wzbraniać miała, tém bardziéj jeśli bawi się ona w towarzystwie pani, panno Grejs. Mój Boże młodość ma swoje prawa...... i ja także niegdyś wesołą byłam.... chociaż znowu wolałabym, aby Lila wiedziała o tem z góry, że życie nasze jest tylko jednym ciągem smutku, cierpień i zawodów.

Przy ostatnich słowach pani Leontyny uśmiéch nawpół figlarny, nawpół szyderski roztworzył usta młodziutkiéj dziewczyny; wstrząsnęła głową tak energicznie, aż za-

brzęczały rzędy czarnych, świecących paciorków i chciała coś powiedzieć, gdy nagle pani Leontyna tonem zdziwienia zapytała:

— Co to jest? zkąd to masz, Lilo?

Przedmiotem który pytanie to wywołał, były cukierki na stole rozsypane, do połowy jeszcze napełniające duże, całkiem nowe, bardzo wytworne i kosztowne pudełko.

— Zkąd te cukierki? Lilo, powtórzyła pytanie swe matka młodéj dziewczyny.

Oczy nauczycielki i uczennicy skrzyżowały się szybkiém niespokojném spojrzeniem.

— Kamil przywiózł mi je dziś z Warszawy, odpowiedziało dziewczę z pewną jakby determinacyą, krzyżując na piersi ramiona.

Pani Leontyna ściągnęła brew z niezadowoleniem.

— Nie lubię tego, rzekła sucho. Strzegę cię od wszelkich zbytków i blasków o ile mogę, bo wiem z doświadczenia, że są one rzeczą znikomą i nie pozostawiają po sobie nic, prócz żalu. Nie nosisz innych sukien jak czarne, nie znasz innego świata prócz cztérech ścian naszego domu, łakoci nie miéwasz nigdy.... Jednakże skoro brat chciał tym sposobem dowieść ci swéj pamięci, niech już przynajmniej panna Grejs zachowa u siebie te przysmaki.... Ależ co to znowu? mój Boże!

Tym razem, nowe pytanie pani Leontyny, połączone z wykrzykiem większego jeszcze niż przedtém zdziwienia szkarłatny rumieniec wywołało na twarz pięknéj nauczycielki. Ale Lila rzuciła na nią bystre spojrzenie, jakby powiédzieć chciała: bądź spokojną.

— To także Kamil przywiózł mi dziś z Warszawy, wymówiła tonem zupełnie stanowczym i spokojnym.

Nowym tym dowodem mniemanéj pamięci braterskiéj

była złota bransoleta, ozdobiona piękném spięciem z pereł i z czarnéj emalii.

Pani Leontyna z bardzo już żywém niezadowoleniem wzruszyła ramionami.

— To szczególne, rzekła. Kamil postanowił znać skrzywić kierunek, jaki życzę sobie nadać twoim usposobieniom. Pragnę abyś wiedziała ile marnemi są błyskotki i miała je w pogardzie...

— To też, moja mamo, przerwała dziewczyna, nie myślę zachować dla siebie téj bransolety, chociaż podoba mi się ona bardzo... prosiłam pannę Grejs, aby chciała przyjąć ją odemnie.

Rumieniec na twarzy nauczycielki zwiększył się jeszcze na te słowa. Nie powiedziała jednak nic i piękne swoje, wymowne oczy ukrywała wciąż pod spuszczonemi powiekami.

— Jesteś nazbyt samowolną, Lilo, tonem lekkiego upomnienia rzekła matka, wolałabym abyś przed rozrządzeniem podobną rzeczą zapytała mię o pozwolenie. Ponieważ jednak wiem, że kochasz swą nauczycielkę i że wiele postąpiłaś przy niéj tak w językach, jak w muzyce, miło mi będzie jeśli panna Grejs przyjmie od ciebie tę pamiątkę.

Nauczycielka ukłoniła się w milczeniu. Nie podniosła jednak powiek, które w dół kłoniło nieprzezwyciężone jakieś zmieszanie.

— A teraz, Lilo pójdź ze mną odmówić wieczorne pacierze. Dobranoc, panno Grejs.

Z temi słowami pani Leontyna zwróciła się ku drzwiom. Lila pozostała jeszcze przez parę sekund w pokoju, mrógnęła ku nauczycielce swéj, na znak poufnego i zarazem figlarnego porozumienia, westchnęła, główką skinęła żałośnie,

a potem poskoczyła i za progiem już zaczęła iść obok matki w milczeniu i powoli.

Panna Grejs przywróciła do porządku cukierki i książki, popatrzyła przez chwilę na bransoletę, rzuciła ją na stół z gestem zniechęcenia i rzekła z westchnieniem:

— Cóż z tego wszystkiego, kiedy nie kocham go? nie, nie, nie kocham! Pięknie byłoby wprawdzie zostać panią Orchowską, panią tego domu, ale taka zwyczajna kolej życia.... taki zwyczajny, pospolity człowiek...

Po kwandransie wbiegła Lila, zadyszana i śmiejąc się, błyskając czarnemi oczami, rzuciła się na szyję swej nauczycielki.

— O jakże przelękłam się! wołała przyciszonym nieco głosem, moja najdroższa panno Julio, gdy mama zobâczyła te cukierki, a szczególniej tę bransoletę. Gdyby téż mama była dowiedziała się, że Kamil przywiózł to wszystko nie dla mnie ale dla....

— Cicho! cicho! z przestrachem upominała guwernantka.

— Nie pozwoliłaby abyś dłużej została zemną, ciągnęła daléj dziewczyna, tuląc twarz swą do piersi panny Julii. Odebraliby mi ciebie... rozłączyli by nas, a ja nie przeżyłabym tego!..

Uścisk i szept jéj gwałtowny był, namiętny, objawiła się w nich natura nerwowa, zapalna, nawskroś nurtowana ogniami, z których lada chwila wybuchnąć mogły burze i pożogi.

Panna Grejs kilka gorących pocałunków złożyła na czole i ustach dziewczyny.

— Dziękuję ci, szepnęła, uratowałaś mię od wielkiego wstydu.

— Jabym za pannę Julię w ogień wskoczyła! odpowiedziała Lila. Ale cóż znowu—zawołała nagle z wyrazem gniewu i niecierpliwości, dlaczegóż bo ten Kamil nie oświadcza się już formalnie o rękę panny Julii!.. Czy panna Julia kocha Kamila? proszę powiedzieć! proszę, proszę! czy bardzo pani jego kocha? Czy tak jak Małgorzata kochała swego *jeune homme pauvre?* proszę powiedzieć.

Stała przed guwernantką swą z ramionami zarzuconemi w koło jéj kibici, z z twarzą podniesioną ku jéj twarzy. W oczach jéj gorzała niecierpliwa ciekawość, usta roztwierały się uśmiechem swywolnym trochę, lecz więcej czułym i marzącym.

Panna Julia nie miała czasu na danie odpowiedzi, bo do pokoju wbiegła służąca młoda, ładna dziewczyna, z twarzą rumianą, oczami błyszczącemi i sporém pudełkiem w ręku. Zbliżyła się do panny Grejs i zniżonym głosem szepnęła:

— Pan Kamil pyta się, czy nie będzie dziś miał odpowiedzi od pani.

Guwernantka wzruszyła niecierpliwie ramionami.

— Powiedz, że dziękuję, nic więcej...

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy Lila pochwyciła z rąk służącej kartonowe pudełko i otworzyła je.

— Ho! ho!—zawołała, jakie ładne szpilki do włosów! I pierścionek z turkusem! Ciekawam czy naprawdę złoty? I wstążka różowa. Zkądże to wszystko masz, Brygisiu?

— Przyniosłam to właśnie dlatego, aby panienkom pokazać. Walenty przywiózł mi wszystkie te piękne rzeczy z Warszawy, z tryumfującą miną odparła garderobiana.

Lila włożyła w czarne swe włosy dwie wielkie, pozłacane zapewne strzały i przeglądała się w lusterku małem, jedynem jakie znajdowało się w pokoju.

— Ten Walenty musi cię bardzo kochać, Brygisiu, jeżeli i w Warszawie nie zapomniał o tobie. Czy prędko pobierzecie się?

— Nie wiem, panienko, może ja wcale za niego nie pójdę.

— Cóż znowu!—dlaczego? jeśli on cię tak kocha....

— Ale ja jego niebardzo... prosty lokaj!—wzgardliwie układając pąsowe usta, rzekła dziewczyna.

— Wiem! wiem! zawołała Lila figlarnie, mrugając oczami, tobie co innego w głowie.

Pochwyciła służącą za oba ramiona, okręciła ją w kółko parę razy i z wybuchem śmiechu szepnęła jéj na ucho:

— Widziałam jak brat mój Mieczysław pocałował cię raz... tam.... koło starego dębu w ogrodzie.

Garderobiana spłonęła szkarłatem, wysunęła się zgrabnie z drobnych lecz silnych rąk i wpół rozpromieniona, wpół nadąsana, pochwyciła pudełko swe z kosztownościami:

— Nie wiedzieć co doprawdy panienka wygaduje! Pójdę ot prędzej, bo Walenty czeka w garderobie na odpowiedź od panny Julii dla pana Kamila.

Ze słowami temi wybiegła żwawo i fertycznie.

Panna Grejs zamyślona, widocznie rozdrażniona trochę i zaniepokojona, rozbierała się powoli. Lila zdjęła także czarne paciorki z szyi i rozpinała stanik sukni.

— Czy poczytamy dziś trochę? ozwała się po chwili guwernantka.

— A jakże, panno Julio! zawołała Lila, koniecznie, koniecznie! Umieram z ciekawości dowiedzenia się o tém co się stanie z tą piękną Klotyldą i nieszczęśliwą Maryą. Niech panna Julia położy się cichutko, wygodnie. Ja drzwi pozamykam.

Zasunęła w istocie zasuwki u drzwi, przysunęła stoliczek

ze świecą do łóżka guwernantki, umieściła przy nim najwygodniejszy ze znajdujących się w pokoju fotelów i z książką w ręku, w białém rannem ubraniu, usiadła w nim, zwinięta jak kotek; panna Grejs leżała w pościeli, z twarzą, zwróconą ku sufitowi, z cieniutkim papierosikiem w ustach.

— Czytaj, Lilo! rzekła głosem rozmarzonym nauczycielka.

Lila zaczęła czytać romans francuzki. Czytała biegle, z przejęciem się, z zapałem; policzki jéj zapałały pod wpływem wrażeń, płynących z kart książki, oczy czerwieniły się od zmęczenia, ale gorzały, błyskały, migotały. W pokoju tym cichym, zamkniętym, słowo *kochać* powtarzało się co chwila, wymawiane ustami piętnastoletniej dziewczyny. Eros, różowy, marzący Eros wszechwładnie panował w tym przybytku zaledwo rozwijającej się z pączka, w surową czarną suknię ubranej młodej dziewczyny; kołysał zmysły jéj fantazją daremnie z innéj strony straszoną smutkiem życia i znikomością wszystkiego co ziemskie.

W innej części domu, w pokoju oświetlonym ostatniemi blaskami dnia, stała u okna pani Leontyna. Urządzenie pokoju zdradzało dwa usposobienia zamieszkującéj go osoby: przyzwyczajenie do wytworności, zbytku i przechylanie się ku surowemu, ascetycznemu prawie obyczajowi. Zwierciadła w pokoju tym nie było żadnego, łóżko okrywała pościel szczupła i twarda; na jednej ze ścian wisiał wielki krzyż czarny, z rażącą białą figurą Chrystusa i z klęcznikiem dźwigającym kilka ciężkich ksiąg do nabożeństwa. Ale naprzeciw łoża stała nizka, miękka kanapka, z podobnemiż fotelami i stoliczkiem pełnym kolorowych kanw, jedwabiów, błyszczących nesseserów; naprzeciw żałobnego krucyfiksu znaj-

dowała się szafka rzeźbiona z różanego drzewa, połyskująca z za szkieł złocistemi oprawami malutkich, leciuchnych książeczek, wielce światowej treści. Pod krucyfiksem na klęczniku bielała trupia główka, uwieńczona różańcem; obok kanapki zaś na etażerce stało pudełko wykładane perłową konchą, ze złoconym napisem u dołu: *mes souvenirs.*

Kobieta ta która zwykła była w pokoju tym odmawiać różańce pod krucyfiksem i czytywać romanse na miękkiej kuszetce, z twardego łoża przypatrywać się trupiej czaszce i z hebanowego pudełka wyjmować pachnące wiosną, światem pamiątki młodości — stała teraz u okna, z dłońmi splecionemi i opartemi o szybę, z czołem złożonem na dłoniach.

Widok na który spoglądały zapadłe, smutne jej oczy, bardzo był piękny. Dzień letni skończył się, ale gorące ognie i barwy jego ulatywały jeszcze gdzieniegdzie po widokręgu, pasem purpury i złota dzieląc na zachodzie niebo od ziemi, różową łuną, migocąc na dalekich łąkach i śród zielonego liścia poblizkich drzew. Dwór, na szerokiej przestrzeni rozłożony, z mnóstwem rzuconych w okół budowl i bujnie wzrastającą roślinnością, wydawał się o tej wieczornej porze przybytkiem piękna, obfitości i bogato rozwiniętego życia.

A jednak kobieta, której wszystkie te skarby i piękności oddawna były własnością, obojętném, żałością omglonem okiem patrzyła na nie, wzdychając i szepcząc.

— Mój Boże! jak smutne, bezbarwne, puste jest życie moje! Pocóż żyłam.... pocóż żyję.... i cóż znaczę teraz na świecie?

II.

Przy świetle dnia, uwyraźniającém przedmioty, dwór orchowski wyglądał o wiele mniej pięknie i zamożnie, niż pośród niepewnych blasków i cieniów wieczora.

Była to siedziba staroszlachecka. Pierwsze podwaliny jéj zakładał któś kiedyś z rozumem i dobrym smakiem. Oko artysty lub przyrodoznawcy strudzić by się mogło, rozpatrując niezliczone kształty, barwy i odcienia tych drzew, krzewów, traw, które wzrastały tu w takiém nagromadzeniu i poplątaniu, że zdala ta massa roślinności wydawać się mogła lasem. Smukłe topole, rozłożyste kasztany, dęby i lipy o pniach stuletnich, żółtém kwieciem osypane klony, modrzewie smutne i płaczące brzozy splatały się i obejmowały wzajem, otaczając staw wielki, w głębi ogrodu ukryty. Poniżej było państwo krzewów kwiecistych i jagodowych: bzów, róż, jaśminów, malin i agrestów, a niżej jeszcze ziemia żyzna wzdymała się lasem traw gęstych i bujnych. Dokoła tej spójnej masy roślinnej leżały pola jak okiem sięgnąć, żółtawéj teraz od pozostałéj po ściętem zbożu ścierni, szlakami miedz i pasami łąk porznięte. Na skraju widokręgu szarzał niewyraźny zarys o parę wiorst odległego miasteczka

i siniały wzgórza jodłą porosłe, z dwóch stron wieńczące wązkie, głębokie koryto Niemna. Bliżéj, pomiędzy dwiema wioskami, w małych dolinkach rozrzuconemi, wiła się, szumiała rzeczka, wązka, lecz bystra i głęboka, a przy jednym z jej zakrętów wnosiły się resztki istniejącego tam niegdyś młyna.

Wszystko zresztą co zaliczało się nie do dzieł przyrody, ale ludzi, było tu niegdyś; dziś nie istniało wcale, albo co najwięcej istniało w stanie upadku przemienienia się w gruzy.—Dom mieszkalny, głąb dziedzińca zajmujący, w wieniec gęstej zieloności ujęty, zdala już ukazywał liczne rany i szramy, okrywające poważne jego oblicze. Poważną téż w istocie była ta budowa, stawiana znać z myślą nie o popisie i lada jakiém błyszczeniu, lecz o wygodzie i prawdziwym dostatku. Był to wzór wiejskich litewskich domów. Na wysokiém podmurowaniu, z mocniejszego nad mur drzewa wzniesiony, z wysokim gontowym dachem, licznemi oknami i długiemi gankami, o kilka wschodów nad poziom podniesionemi a szeregiem grubych słupów podtrzymywanemi, z dwiema salkami o weneckich oknach i napowietrznych balkonikach u szczytu—powierzchownością swą zdradzał wnętrzne obszerne, jasne, najwybredniejsze żądania i życia rodzinnego i szerokiej gościnności zadowolić mogące.

Teraz jednak piękny niegdyś dom ten wyglądał jak skielet odarty z ciała, lub żebrak, z którego opadają szmaty dostatnich niegdyś sukien. Z podmurowania wypadłe kamienie i cegły uściełały ziemię białemi płatami i okruchami wapna. W nadpróchniałych ramach okien tkwiły szyby przepalone od słońca, mętne od pyłu, popękane w wielu miejscach, w innych nieobecne już wcale i szmatą żółtej bibuły lub zadrukowanej gazety zastąpione.

Stan gospodarskich budowl odpowiadał w zupełności temu, w jakim znajdował się dom mieszkalny. Połowa wielkiej niegdyś, w czworokąt budowanej stodoły, od dość już dawnych znać czasów obalona wichrem, rozpościerała na ziemi szczątki swe w postaci zgniłej słomy, zgniłego drzewa i w proch skruszonych cegieł; druga połowa pochylona, kilkunastu drągami słabo podparta, oczekiwała widocznie pierwszéj lepszej sposobności ułożenia się także do wiecznego spoczynku.

Z innéj strony dziedzińca sterczały dwa rzędy słupów z kamienia murowanych, więc trwałych, lecz teraz już żadnego pożytku nie przynoszących, bo drewniane ściany, którym dawniej służyły za spojenie i podparcie, spalone pożarem, zniknęły przed laty, a na ich miejsce nikt już nic nie zbudował.

Wśród ogólnej ruiny, napełniającej miejsce to niewymownym smutkiem i bezładem, był jednak kącik jeden, odznaczający się nietylko porządkiem, ale nawet niejaką pięknością i wykwintem. O kilkadziesiąt kroków od mieszkalnego domu znajdowała się oficyna, mogąca zawierać w sobie pięć lub sześć pokoi. Połowa budynku tego, nietyle zgrzybiała od starości, ile od zaniedbania w jakiem ją pozostawiono, zgadzała się odartą i smutną swą postacią z otaczającém ją tłem ogólném; druga zato połowa, podtrzymywana starannie, przyozdobiona, wycackana niemal, świeciła białemi jak śnieg ścianami, nowym dachem, wielkiemi i przezroczystemi jak zwierciadła szybami okien. Pod oknami temi krzewy wzrastały i kwitły nie dziko, jak gdzieindziej, lecz owszem w nazbyt może prawidłowej symetryi kształtów i barw. Dwa wielkie kasztanowe drzewa, ocieniające mały ganek, miały gałęzie obcięte, w górę podniesio-

ne, zaokrąglone w sposób sztuczny i dla oka lubiącego w naturze swobodę dość nieprzyjemny. Za oknami zwieszały się prawidłowo też zaokrąglone festony białych sztorów i pąsowych firanek.

Niewiele przed południem otworzyło się na oścież jedno z wielkich błyszczących okien oficyny, na które rozłożysty kasztan gęsty cień rzucał. W oknie stanął mężczyzna bardzo starannie, wytwornie nawet ubrany. Wiek człowieka tego nie wypisał mu na powierzchowności wyraźnej cyfry. Sądząc z wyprostowanej i krzepkiéj jego postaci, z czerstwości jego policzków i blasku oka, nie mógł on mieć więcej niż lat trzydzieści; ale lekkie wyłysienie nad czołem i nie tyle otyłość, jak raczéj pulchność i miękka okrągłość wszystkich form ciała czyniły go znacznie starszym. Twarz jego, dość regularnie zarysowaną i ze wszelkiego zarostu starannie ogołoconą okrywała cera czerstwa i zdrowa, lecz bez białości ni rumieńca, śniadawa i zimna; zimnym też był, lubo silnym, połysk oczu jego małych i głęboko schowanych pod brwią jasno-płową; usta pąsowe, wydęte, zdradzały temperament zmysłowy i pyszne wzgardliwe usposobienie umysłu. Fizyognomii téj zresztą nie brakowało wyrazu myśli i pojętności. Szerokie czoło objawiało zdolności umysłowe niemałe; w szarych, ruchliwych oczach malowała się bystrość pojęcia i spostrzegania; duch sarkazmu i sofizmatu zdawał się zamieszkiwać w uśmiechu ust wzgardliwych.

Obie ręce białe, pulchne, ze świecącemi i ostro zakończonemi paznogciami, oparł o krawędź otwartego okna i przechylony nazewnątrz, spojrzał ku gankowi domu. W tejże chwili, jakby za daniem umówionego znaku wbiegła na ganek ten młodziutka dziewczyna w czarnej sukni, z heba-

nowemi włosami, żarzącemi się oczami i dwoma rzędami brzękających czarnych paciorków wokoło białej szyi. Szybka jak strzała, zbiegła ze wschodów ganku, które zakołysały się pod lekkiemi jej stopami, i przebywszy małą przestrzeń dzielącą dom od oficyny, znalazła się przed oknem w którym stał mężczyzna. Rosnące tu krzaki bzu i jaśminu otworzyły się przed smukłą jéj postacią i wnet zamknęły za nią liściaste swe ramiona, tak iż dla każdego ktoby patrzył za nią z okien domu, była zupełnie niewidzialną.

— Dzień dobry, Kamilku, półgłosem i z niejaką niespokojnością oglądając się w około, szepnęło dziewczę.

Wyraz twarzy jéj oznaczał niezmiernie zajęcie, pośpiech; głos i ruchy były tajemnicze.

— Odnoszę ci książkę, mówiła daléj. Panna Julia już ją przeczytała i prosi cię o inną.

Mówiąc to, wyjęła niewielki tomik w fałdach szerokiego rękawa starannie dotąd ukryty, i podała go bratu.

— Słuchaj, Kamilku, szczebiotała z cicha i pośpiesznie, daj tylko co pięknego.... zajmującego... czułego!.. Doprawdy, żeby nie te książki, które ty nam dajesz, albo które ja z mamy pokoju kiedy niekiedy pochwycę, my obie z panną Julią umarłybyśmy chyba z nudów. Jak tu u ciebie ładnie! ciągnęła dalej, wspinając się na palce i zaglądając do wnętrza pokoju. Lubię takie obicie na meblach w wielkie bukiety... wesoło robi się, patrząc na nie... U nas wszystko ciemne, szare, czarne...

Przerwała sobie nagle i niespodziewanym, gwałtownym ruchem obie ręce zatopiła w czarnych swych kędziorach.

— Ach! zawołała z wybuchem, świat! świat! Twoje mieszkanie, Kamilku, światem pachnie!

Oparła czoło na dłoniach i ciekawemi oczami wodziła po obrazach i kobiercach, napełniających mieszkanie brata. On tymczasem, nie zważając na szczebiot i wykrzyki, usunął się nieco na stronę, rozwinął ćwiartkę papieru znajdującą się w przyniesionej przez siostrę książce, szybko przebiegł oczami nakreślone na niéj słowa i z uśmiechem na ustach przeszedł do innego pokoju.

Lila, przyjrzawszy się do woli przedmiotom obudzającym zachwyt jéj i ciekawość, poczęła widocznie niecierpliwić się już i nudzić, gdy we drzwiach pokoju ukazał się Kamil z książką w ręku. Lila wyciągnęła obie dłonie nie ku bratu, ale ku książce.

— Złoty, drogi, kochany! zawołała, wiedziałam dobrze, że dasz nam znowu co ładnego. Słuchaj-dodała ciszej i z figlarnem spojrzeniem, a jest tu co w tej książce dla panny Julii?

— Wracaj czemprędzéj do domu, odparł brat, patrząc na drogę wijącą się za bramą, Mieczysław jedzie. Mama wyjść może na jego spotkanie i zobaczyć cię w ganku z tą książką.

Dziewczę zaśmiało się zcicha.

— Jakiś ty zabawny, Kamilku! alboż mama wychodzi kiedykolwiek na spotkanie twoje lub Mieczysia, gdy przyjeżdżacie do domu? Nie wiem nawet czy mama była choć raz w twojem mieszkaniu, odkąd wróciłeś z Dorpatu i tak ładnie się urządziłeś. Najpewiej nie była, bo gdyby była, nie pozwoliłaby ci mieć takich jasnych, wesołych obić na ścianach i meblach.

Kamil palił wonne cygaro i spoglądał na szczebioczącą siostrę ze zwykłym sobie wyrazem twarzy, trochę obojętnym, trochę zadowolonym, trochę wzgardliwym.

— Mama może pozwalać lub wzbraniać różnych rzeczy tobie, ale nie mnie, rzekł niedbale.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że jestem dorosłym mężczyzną.

Lila zamyśliła się.

— A jednak, rzekła, jestem pewna, że gdyby mama przychodziła czasem do twego mieszkania, wyglądałyby ono jakoś inaczéj.

Dziewczę to mówiło prawdę, nie rozumiejąc bynajmmniéj całéj jéj doniosłości. W nazbyt kawalerskiej swobodzie, panującej w urządzeniu mieszkania najstarszego syna domu, znać było moralną nieobecność matki rodziny. Nieobecność ta wpływów macierzyńskich objawiła się może i w zimnym blasku oczów Kamila, i w suchej pogardliwości jego uśmiechu.

Tentent cwałującego konia dał sie słyszeć tuż za bramą. Lila białe paluszki przytknęła do ust, rzuciła niemi pocałunek bratu i wązką ścieżyną, ukrytą wśród dzikich krzewów i traw wysokich, okrążyła dom, aby wejść doń bocznemi drzwiami.

Na dziedziniec wjeżdżał jeździec na dzielnym siedzący koniu. Zatrzymał się przed domem, zeskoczył z konia i rzucił lejce kredensowemu wyrostkowi, który w podartéj surducinie, z twarzą bladą i chudą, wyszedł przed ganek nadąsany i niechętny. W sieni obszernej, wielkiemi oknami oświetlonej, lecz zupełnie prawie pustej, spotkał przybyłego stary Tomasz.

— Pan pytał się o panicza wczoraj.. paniez tak dawno nie był już u nas.

— Jakże się ma mój ojciec? z pośpiechem zawołał młody człowiek, szybko postępując w głąb domu.

Jak zwykle, jak zwykle. Wczoraj było gorzej, dziś trochę lepiej. Czyta jakąś nową książkę, którą pan Kamil przywiózł z Warszawy.

Mieczysław Orchowski nie był wcale podobnym do brata. Wysoki szczupły, chociaż silnie zbudowany, włosy miał gęste i ciemne, cerę twarzy ogorzałą, czoło białe, wysokie, oczy ciemno-siwe, z otwartem i wesołem spojrzeniem, ciemny gęsty wąsik, ocieniający łagodne usta. Głos jego brzmiał dźwięcznie i wesoło. Ubiór trochę zaniedbany, niby myśliwski, uwydatniał dobrze jego męzkość i raźność postaci; chód i ruchy objawiały żywość charakteru, młodzieńczość usposobień, rozwijającą się zbyt swobodnie może, ale otwarcie, szczerze, bez przysłon obłudy.

Promienie słońca wsuwając się przez okna, na wpół już tylko zasłonięte grubemi sztorami, rozweselały trochę poważną, smutną komnatę, w której upływało niemniej smutne życie chorego pana domu. Postać za to i twarz tego ostatniego wyglądała przy tych blaskach żywych i świetnych bardziej jeszcze niż przy bladawem świetle lampy wyniszczoną, zesłabłą. A jednak zwiędłe usta pana Kajetana drgnęły uśmiechem i w zapadłych oczach jego zapłonęła iskra radości, gdy drzwi, szczelnie zawsze zamknięte, otworzyły się i wszedł przez nie Mieczysław. Jednocześnie na twarzy młodzieńca spadł cień zasmucenia. Szybkim krokiem przebył pokój i tkliwy, serdeczny pocałunek złożył na wychudłej ręce ojca.

— Długo, długo nie byłem u ciebie ojcze, rzekł, prostując wysoką, gibką swą postać; biję się w piersi z żalem i skruchą. Trzy dni nie widzieć cię, siedząc o małą mile od Orchowa-to wstyd i żal doprawdy! Wyłaj mię ojcze! jestem grzesznik wielki. Hulałem całe te trzy dni na zabój.

Ręczyc wyprawiał kawalerską zabawę, tak jak on to umié, z końmi, winem i polowaniem. Lataliśmy po polach i lasach jak szaleni i... piliśmy trochę zawiele. Wczoraj wróciłem do Rydlówki i wieczorem mógłbym tu być; ale musiałem dziś z rana gospodarstwo swoje obejrzeć. Trzy dni nieobecności, to nie żarty! Szczęście że wyjeżdżając zaleciłem najsrożej, aby próby bezemnie nie młucono.

Wypowiedział to wszystko jednym tchem, ze swobodą, przyćmioną tylko na chwilę lekkim rumieńcem zawstydzenia, który zabarwił ogorzałe policzki jego i białe czoło, w chwili gdy mówił o hulance.

Pan Kajetan patrzył na syna z widoczną przyjemnością; zdawać się mogło, że oczy jego, zmęczone i smutne obejmując długiem spojrzeniem twarz tę młodzieńczą, używały z rozkoszą chwili spoczynku, że rozlane na twarzy tej życie bujne i młode, przechodziło w źrenice jego, rozświecając zadumane, posępne ich głębie.

— Ja cię tam za zabawę łajać nie będę, ozwał się ojciec, podczas gdy syn układał sztory przy oknach tak, aby przez nie więcej słońca do pokoju wejść mogło; wolałbym tylko abyś bawił się gdzieindziej, nie w domu Ręczyców.

Mieczysław zwrócił się ku ojcu.

— Czy nie obawiasz się czasem, kochany ojcze, aby serce moje nie uwięzło przy której z panien Ręczycówien?.... O, bądź zupełnie o to spokojnym! Takie dwudziestokilkoletnie gołąbki niewinności, nie mogą mi się podobać. Konio dobry chłopiec, ale pustak i ograniczony... człowiekiem nie będzie, choćby sto lat żył... Ciocia zaś dobrodziejka a raczej babunia, która każe nam dla skrócenia tytułować się ciocią no... znasz ją ojcze.

— Znam panią Malwinę, odpowiedział zwolna pan

Kajetan, na którym rozmowa o rodzinie Ręczyców przykre zdawała się sprawiać wrażenie. Czy panny Ręczycówny ładne są? nie widziałem ich odkąd dorosły.

—Dorosły? ze śmiechem powtórzył Mieczysław. Coby też to ciocia powiedziała, gdyby słyszała, że ktokolwiek córki jéj nazywa dorosłemi! Róża, mój ojcze, starsza, ma lat siedemnaście, odkąd ja ze szkół wróciłem, to jest od lat mniéj więcej dziewięciu, a młodsza od niej o rok Flora chodzi jeszcze w krótkiej sukni i kończy edukacyą. Mają tam te panie jakąś guwernantkę, biedne stworzenie młodsze od nich obydwóch z pewnością. Poniewierają nią też, aż smutno patrzyć...

Przestał nagle mówić i spoglądał przez chwilę w ziemię z zamyśleniem.

— Biedne stworzenie! mówił dalej, ale poważnie już i nawet trochę smutnie. Byłem wczoraj świadkiem przykréj sceny, gdy ciocia głośno wyrzucała guwernantce swéj aż nadto dorosłéj córki, że nie posiada dobrej maniery, a Konio żartował z niej w sposób ubliżający. Ująłem się zcicha za nią przed ciocią Malwiną... a ciocia bardzo uprzejma jest dla mnie i dla Kamila, bo może widzi w nas nie tylko dalekich swych kuzynów, ale i przyszłych zięciów. Konia zaś zawstydziłem tak kilku słowy, że umilkł, jak zmyty. Biedne to stworzenie z taką wdzięcznością na mnie spojrzało!....

Zamyślił się znowu, ale tym razem oczy jego, rozpromienione miłą jakąś myślą, utkwiły w oknie, za którem rozłożysta lipa wstrząsała lekko liśćmi ozłoconemi słońcem.

— Mój ojcze! rzekł nagle, czy nie duszno ci w tym pokoju? zdaje mi się, że powietrze tu ciężkie i nie dobrze odświeżone. Dziś tak ciepło na świecie, wonno, takie łagodne,

orzeźwiające powiewy ulatywały nad polami gdym tu jechał. . Sprobuję otworzyć jedno okno... W Sierpniu i u nas bywa jak w Nizzy lub Neapolu... odetchniesz, ojcze, swobodniéj.

Mówiąc ostatnie słowa, otworzył jedno z okien ostrożnie i zwolna, jakby obawiał się zbyt nagłą zmianę sprawić w temperaturze pokoju. Fala powietrza ogrzanego słońcem, zaprawionego woniami pól poblizkich, rozpłynęła się po duszném wnętrzu komnaty; złocista płachta słonecznych blasków padła na przeciwległą ścianę, roziskrzyła szyby szaf oszklonych, powróciła dawną światłość barwom starego obrazu, zaigrała na posadzce mnóstwem ruchomych kółek i szlaków, a parę strzał ognistych rzuciła aż na stół obciążony książkami i w okopconą głąb komina.

Pan Kajetan odetchnął głęboko i z widoczną ulgą. Mieczysław wyciągnął rękę i zerwał jednę z gałęzi lipy, które gęstym, chłodnym jeszcze od porannej rosy liściem obrosłe, cisnęły się do otwartego okna.

— Piękne, kochane drzewa! wymówił z zamyśleniem w oku i uśmiechem na ustach. Rosłem, patrząc na nie. Ileż razy gałęzie ich służyły mi za gimnastyczny przyrząd, a szczyty za łoże, z których ogarniałem wzrokiem okolicę naszą w całéj jéj rozciągłości! Czy wiesz, mój ojcze, że ze szczytu téj oto topoli widać miasteczko jak na dłoni i skręt Niemna w dolinie?...

Minął wzrokiem rzędy słupów obdartych, czerwonawych, po spalonéj pożarem budowie pozostałych i powolne spojrzenie wodził po polach dwór otaczających, po skraju widokręgu, siniejącym dalekiemi wzgórzami i lasami.

Pan Kajetan patrzył na syna długo i w milczeniu. Zorane czoło jego wygładzało się, na twarz zchorzałą wstę-

pował wyraz ukojenia, pierś oddychała ciszéj, swobodniéj.

— Prawda, rzekł po chwili, że dzień dziś piękny i pogodny... po raz piérwszy od dni wielu lżéj mi na głowie i piersi.

Na głos ojca Mieczysław odwrócił wzrok od rodzinnego krajobrazu. Zamyślenie jego zniknęło.

— A widzisz, ojcze, zawołał, jaki ze mnie dobry lekarz! Wiem przecie że atmosfera ściśnięta, duszna szkodzić musi, w lecie szczególniéj, i zdrowym i chorym. Dlaczego w taką piękną porę okien tych nie otwiérają częściéj?

— Cóż chcesz? z uśmiechem odparł chory, ja, gdy jestem sam, czytam lub myślę, a gdy zaczytam się i zamyślę, o wszystkiém zapominam... Stary mój Tomasz nie zna się na takich rzeczach i gdyby mógł, przez obawę i troskliwość zamknąłby mię w pudełku napełnioném watą.

Mieczysław uczynił niecierpliwe poruszenie.

— Ale, zawołał, czyż oprócz Tomasza nie ma tu nikogo coby...

Umilkł nagle, spuścił oczy i przygryzł zlekka dolną wargę, jakby tym sposobem usiłował powstrzymać wyrazy jakieś, cisnące się mu na usta. Brwi jego ściągnęły się, na czole powstały dwie zmarszczki i poraz pierwszy odkąd tu wszedł na twarzy jego otwartéj, łagodnéj, wesołéj zjawił się wyraz gniewnéj goryczy, tajemnéj lecz głębokiéj niechęci.

Krótko to jednak trwało. Fakt który wprawił go w smutne i gniewne uniesienie musiał mu być zbyt znanym, aby potrzebował długo zastanawiać się nad nim; pojął może zresztą, że nie po to tu przybył, aby kłaść nacisk na fałszywe tony dom ten napełniające i raniące chorą pierś jego

ojca. Zbliżył się do stołu i ze swobodą naprawdę odzyskaną, lub może udaną, mówić zaczął:

— Wistocie, ojcze, zazdroszczę prawie Kamilowi, że mieszka stale w Orchowie. Sam wprawdzie po powrocie swoim z Marymontu pragnąłem osiąść i gospodarować w Rydlówce, ale i cóż miałem robić? Orchów jest wydzierżawionym, a nie mogłem przecież siedzieć tak bez żadnego zajęcia. W Rydlówce robię różne agronomiczne doświadczenia. Śmieją się ze mnie sąsiedzi, ale mnie dotąd jedno zaledwie na dziesięć zawiodło. Ot i dziś młucili przy mnie próby żyta i pszenicy. Powiedz sam, ojcze, czy było kiedy przedtem takie ziarno w Rydlówce?

Mówiąc to, wydobył z kieszeni czamarki kilka starannie owiniętych w papiér prób rozmaitego zboża.

— Przywiozłem to umyślnie, aby ojcu pokazać.. Patrz! to żyto, które zasiałem po grochach, a to pszenica z przeszłorocznego ugnoju.. jaka bujna, czysta jak łza!.. Łąki kilkadziesiąt morgów oczyściłem, ale cóż kiedy grunt mokry znowu zarasta łozą i wierzbiną... trzebaby koniecznie irygować...

Przerwał sobie nagle i jakby uderzony nową myślą, zawołał:

— Czy wiész, ojcze, że ten Eli Makower wcale nieźle gospodaruje w Orchowie. Ktoby się to spodziewał, że Żyd może być dobrym rolnikiem? Dziś właśnie, jadąc tu, widziałem jak orze pod ugór... wybornie... Na przyszłą wiosnę nadejdzie ostatni termin kontraktu Makowera. Czy oddasz mu, ojcze Orchów nadal w dzierżawę? czy może Kamil zechce sam gospodarować?

— Na przyszłą wiosnę odparł spokojnie pan Kajetan,

rozporządzicie się już sami Orchowem i wszystkiem; mnie już tu nie będzie.

Mieczysław pochwycił rękę chorego.

— Nie mów tak, drogi ojcze, rzekł z powstrzymywaném wzruszeniem; nie jest ci wcale gorzéj, niż było zeszłego lata i od lat kilku... Co do mnie, oczekuję z upragnieniem długich zimowych wieczorów, które przepędzać będę znowu, jak przeszłéj zimy, z tobą ojcze i z twojemi książkami.

Pan Kajetan dłoń rozpaloną położył na ręku syna i głosem chrypką tłumionym, powolnym mówić zaczął.

— Jakiemikolwiek byłyby uczucia serca twego, Mieczysławie, o chwili w któréj dla mnie skończy się wszystko na téj ziemi powinieneś myśleć spokojnie... będzie ona dla mnie niczém inném, jak uwolnieniem od różnorodnych cierpień, wspomnień i wyrzutów. Ludzi w moim wieku choroba piersiowa nie zabija prędko... to też od długich lat trzyma mię ona przykutym do tego miejsca niemocą i bólem... Teraz jednak zbliża się kres ostatni, czuję to, wiem... ale nim nadejdzie, muszę mieć z tobą kiedy długą rozmowę. Jesteś bardzo podobny do mnie... zupełnie prawie taki, jakim ja byłem w młodości. Trzeba abyś spojrzał w przeszłość moją, w głębie mojego sumienia, w wieczne rany méj pamięci.

I znowu chrapliwy oddech zatrząsł jego piersią; suchy ciężki kaszel przerwał mu mowę, a cicha rezygnacya, napełniająca wygasłe jego oczy, zniknęła przed gorączkowym blaskiem rozbudzonej goryczy.

— O! zawołał, drżącą dłoń przyciskając do czoła zmarszczonego, gdyby można było odrodzić się i żyć poraz drugi pragnąłbym żyć... odzyskać... naprawić....

Znużona głowa jego opadła na poręcz fotelu, nabrzękłe powieki okryły źrenice, w których wielka łza paliła się w ogniu tajemnej jakiejś, niewygasłej nigdy żałości.

Mieczysław patrzył na ojca z głębokiém spółczuciem i przywiązaniem. Po chwili wziął jedną z książek leżących na stole i jakby wiedział czém najlepiéj uspokoić może wzburzone uczucia chorego, otworzył ją na załamanéj karcie.

— A! rzekł zcicha, Szyller... Wallenstein... Czytałem ci to, ojcze, głośno zeszłéj zimy... ale radbym i teraz parę ustępów przeczytać.... czy pozwolisz?

Pan Kajetan podniósł powieki; spojrzenie jego ukojone, pełne miłości i wdzięczności, spoczęło na twarzy syna.

— Czytaj! rzekł, nie podnosząc głowy. Wielkie myśli geniuszów budzą zawsze dobre uczucia

Mieczysław pochylił się nad rozwartą książką i przerzucał zwolna jej karty, szukając zapewne téj, o której wiedział że najprędzej ukoi cierpienia fizyczne i gorzkie myśli ojca. Młody ten, żywy i wesoły zwyczajnie chłopak, stał się w tej chwili mężczyzną z poważnem zamyśleniem na szlachetném czole i w jasném oku.

Nagle ojciec i syn podnieśli głowy i wytężyli słuch w stronę drzwi zamkniętych, pokój pana Kajetana od szeregu dalszych pokojów rozdzielających. W głębi domu podniosła się wrzawa, śród której rozpoznać można było trzy głosy kobiece. Jeden z głosów tych przemawiał poważnie i monotonnie, ale dobitnie, z oburzeniem widoczném; drugi głos, młodszy od piérwszego, zawodził żale jakieś i wyrzekania, prośby złączone z wyrzutami; trzeci głos najmłodszy, najdźwięczniejszy, krzyczał poprostu z całej mocy piersi silnéj, upartéj, gwałtownéj. W trzecim tym głosie czuć

było potoki łez, wulkany gniewów, uporczywe opieranie się czemuś, namiętne błaganie.

Mieczysław porwał się z krzesła.

— Co się tam stało? zawołał. Mama upomina kogoś a Lili krzyczy jak opętana.

Ze słowami temi na ustach, udał się śpiesznie w głąb domu, lecz w trzecim zaledwie czy czwartym pokoju wzrok jego uderzony został widokiem dość szczególnym.

W saloniku przytykającym do pokojów Lili i jéj guwernantki stała plecami o ścianę oparta panna Julia Grejs. Na twarzy jéj bladość przestrachu i gniewu mieniła się z gorącym rumieńcem wstydu i upokorzenia; włosy w nieładzie opadały na ranny biały ubiór. Wyrazy płynęły potokiem z ust jej trzęsących się i pobladłych; jedną ręką przytrzymywała na piersi fałdy przezroczystego kaftanika, drugą odsuwała zlekka od siebie Lilę. Młodziutka dziewczyna jedną tylko ręką czepiała się rąk i sukni swej nauczycielki, drugą bowiem trzymała silnie uwięzioną w swéj dłoni pani Leontyna. Poważna, wysoka pani w czarnych szatach, z głową dumnie wzniesioną, ze wzgardą w oku i na ustach, ująwszy rękę córki, próbowała pociągnąć ją za sobą, ale z dziewczyną silną i do najwyższego stopnia podniesioną gniewem niełatwo było poradzić. Zgięta ku ziemi, Lila z całej mocy opierała się matce, wzrok pełen miłości podnosząc na twarz swéj nauczycielki.

— Nie pójdę! nie pójdę! krzyczała, nie porzucę jej! pojadę z nią! Jeśli ją wypędzają, niech i mnie wypędzą także! Jam winna wszystkiemu! Mamo, zlituj się! przebacz jej! niech zostanie! nie wytrzymam! umrę! zabiję się!

— Pani! wołała panna Julia, pozwól mi pozostać choć trzy dni jeszcze! niech ludzie nie widzą wstydu mego! nie

zamykaj przedemną drzwi uczciwych domów! nie odbieraj wszelkiéj nadziei przyszłości.

Kończąc ostatnie wyrazy, spostrzegła wchodzącego Mieczysława, podniosła ręce do twarzy oblanéj szkarłatem i łzami, odwróciła się szybko i zniknęła za zamkniętemi drzwiami. Lila wydała okrzyk rozpaczy, ale scena ta trwała już dość długo, aby wyczerpać jej siły. Zesłabła, łkająca, tchu i głosu pozbawiona, poddała się pociągającej ją ręce matki.

Pani Leontyna wyprostowana i wyniosła, z okiem niezwykle błyszczącém i zaciśniętemi usty, zaledwie widzialnymi znakami rumieńców gniewu i wzruszenia na twarzy, ciągnęła przez czas jakiś córkę za sobą, niby przedmiot pozbawiony życia i ruchu, aż wreszcie weszła z nią do swej sypialni i starannie za sobą drzwi zamknęła.

Mieczysław z osłupieniem spoglądał dokoła, nie dorozumiewając się bynajmniéj powodów burzliwej sceny, któréj był świadkiem. Zaciekawiła go ona jednak przez wzgląd czy na zrozpaczoną siostrę, czy też na piękną w zmieszaniu swem i zaniedbaném ubraniu guwernantkę. Postanowił widać doczekać się jakiegokolwiek wytłumaczenia, bo usiadł w saloniku, oglądając się za czemś, czemby mógł zapełnić chwile oczekiwania. Ale pokój ten, którego sprzęty wytworne niegdyś, spłowiałe były i szare od pyłu, nie zawierał nic, coby życie objawiać lub do życia pobudzać mogło: ani książki, ani albumu żadnego na stołach, pokrytych siatkami z białej bawełny.

Młody człowiek nie znosił znać bezczynnego siedzenia na jednem miejscu, bo po kilku minutach poruszył się niecierpliwie, jakby miał wstać i odejść, gdy w perspektywie dwóch przyległych pokojów umieszczone drzwi otworzyły

się i pani Leontyna zwykłym swym powolnym, cichym krokiem weszła do saloniku. Wyglądała w téj chwili jak wcielona melancholia, jak ofiara okrucieństw losu i ludzkich nieprawości. Wejrzenie jéj brzemienne było smutkiem, brew ściągnięta, i głowa pochylona, gdy zbliżywszy się do syna podała mu ćwiartkę welinowego papieru, zapełnioną męzkim pismem, wprawnem, lecz krętém i niewyraźném.

— Oto co znalazłam dziś w ręku Lili.... Siostra twoja, Mieczysławie, czytała te słowa, które brat jéj przesłał przez nią jéj guwernantce... Oczy córki mojéj zetknęły się z widokiem zepsucia toczącego serca ludzkie!

Wyrzekłszy to takim głosem, jakby o wydarzoną katastrofę obwiniała wszystkich i wszystko na świecie, prócz siebie, skrzyżowała ramiona na piersi i stała w nieruchoméj postawie.

Mieczysław przebiegł okiem wyrazy nakréślone na ćwiartce papieru ręką brata. Był to w całém znaczeniu tego wyrazu tak zwany przez Francuzów *billet doux*. Napisany po francuzku, zabarwiony zlekka bladą czułością i różową galanteryą, nie zawiérał w sobie ani jednego słowa któreby oznajmiało że prawdziwe, żywe uczucie powodowało ręką, która kreśliła w nim kuszące oświadczenia i prośby. Znajdowała się tam bardzo zręcznie i elegancko wyrażona prośba o widzenie się sam na sam „w ogrodowej altanie" a parę wyrażeń takich, jak: *la belle cruelle, la fière enchanteresse*, dowodziło, że w stosunku jaki zachodził pomiędzy dwojgiem tych młodych ludzi było dotąd pociąganie tylko i kuszenie z jednéj strony, opór zaś szczery, lub też z wyrachowania płynący z drugiej.

Po ustach Mieczysława przewinął się zrazu uśmiech taki, z jakim mężczyźni młodzi i nie zupełnie jeszcze na seryo

biorący życie spoglądają zwykle na sprawy podobne, wtedy zwłaszcza, gdy udział w nich przyjmuje kobiéta powabna a szacunku ich w zupełności nie posiadająca. Przy końcu jednak czytania przyszła mu znać do głowy myśl niepokojąca, niemiła. Położył kartkę na stole i wahając się jeszcze pomiędzy żartem a niezadowoleniem, rzekł po chwili:

— Po prawdzie, nie bardzo ja się dziwię, Kamilowi... ta panna Julia.... Ale mniejsza o to.... źle zawsze, bardzo źle zrobił, wtajemniczając Lilę w rzecz podobną.... Czy wié mama, że ja od jakiegoś czasu uważniéj zacząłem patrzyć na Lilę i doprawdy obawiam się bardzo, aby nie wyrosła na taką płochą, rozromansowaną dzierlatkę, jakich....

Mieczysławie, przerwała mu pani Leontyna, pamiętaj o tem, że rozmawiasz z matką, i staranniéj wybieraj swe wyrażenia! Nie mam w sobie bynajmniéj dumy, ani zarozumiałości; świat i lata nauczyły mię pokory. Sądzę jednak iż zdolną jestem wychować córkę swoją religijnie i moralnie. Samo już to klasztorne życie, jakie tu wiodę, musi być dla Lili przykładem i nauką. Czarne wełniane suknie okrywają nas obie. Ani ja, ani Lila nie położyłyśmy się do snu ani razu, bez ukorzenia się przed Bogiem, bez wielokrotnego powtarzania w modlitwach i rozmyślaniach imienia wiary, cnoty, cierpliwości...

Mieczysław słuchał ze spuszczonemi oczami. Na twarz jego spadł wyraz przykrego przymusu.

— A jednak, rzekł, spostrzegłem w Lili wady bardzo niebezpieczne. Jest ona nazbyt gwałtowną, niecierpliwą, niezastanawiającą się nad niczem i przerażająco, jak na swój wiek, ciekawą rzeczy... rzeczy... które głowę zawrócić jéj mogą.

— A więc sucho i wyniośle powiedziała pani Leonty-

na, jeżeli tak dobrze umiész spostrzegać przywary swéj siostry, bądź-że łaskaw powiedzieć mi w czém i jakie widzisz na nie lekarstwo?

Tym razem twarz Mieczysława także drgnęła lekkim zniecierpliwieniem.

— Nie wiem, rzekł, odpowiadając na ironiczne pytanie pani Leontyny, nie zastanawiałem się dotąd nigdy nad sposobami moralnego kształcenia młodych dziewcząt. Zdaje mi się tylko...

Zawahał się nieco z dokończeniem swej myśli, po chwili jednak mówił dalej:

— Zdaje mi się, że jeden z tych sposobów znajduje się tuż obok. Czy nie sądzisz, mamo, że Lila powinnaby częściéj przebywać z chorym ojcem; że przysługi oddawane mu przez nią zapełniłyby dobrze czas, zbywający jéj od nauk i przyzwyczaiły ją do cierpliwości; że samo wreszcie towarzystwo ojca, rozmowy z nim mogłyby zwrócić jéj uwagę na wiele rzeczy całkiem nieznanych jéj dotąd, a widok cierpień jego złagodziłby może zbyteczną jej żywość i skłonność do romansowych wrażeń?

Zapalał się, mówiąc. Znać myśl jego natrafiła na żywo dźwięczącą strunę jego serca. Ale twarz matki jego surową była i pełną obrazy. Tu także, w piersi, w sumieniu może téj kobiety, istniała struna tajemna a drażliwa; słowa syna szarpały nią dotkliwie.

— Jeżeli sądzisz że nie pojmuję jakie są obowiązki córki dla ojca, to mylisz się bardzo. Niéma prawie dnia abym o nich Lili nie mówiła. Ale wszak powinnam oddawna wiedzieć, że nie istnieję dla ciebie, że patrząc na mnie, rozmawiając ze mną, myślisz tylko o ojcu....

Tym razem w głosie pani Leontyny drgnął wyrzut bo-

lesny, żal zamglił czarne jéj oko, które mniéj suchem niż zwykle spojrzeniem ogarnęło piękną twarz syna. Czoło Mieczysława zaszło chmurą.

— Nie chciałem obrazić cię, mamo, rzekł ze smutkiem w głosie. Zagadnęłaś mię sama o rzecz obcą dla mnie poniekąd. Powiedziałem na razie to com myślał. Jestem pewny, że Lila z ust twych, mamo, słyszy jedynie zasady pełne moralności. Sądziłem tylko że dla dziewczyny téj, takiéj żywéj, płochéj, gwałtownéj.... trzebaby prócz upomnień i modlitw, jakiegoś zajęcia.... jakiegoś uczucia... nie wiem doprawdy, litości może... choćby dla ojca...

Pani Leontyna słuchała ze spuszczonemi oczami i cierpkim uśmiechem na ustach.

— Dość tego, rzekła. Nie rozumiemy się, jak zwykle; ty lekceważysz wszystko co dla mnie ma wagę najwyższą, ja zaś nie pojmuję wcale twoich myśli i żądań. Ze wszystkich prób które podobało się Panu zesłać na mnie, jedną z najboleśniejszych jest ten rozdział nieprzebyty i niepojęty, który stanął pomiędzy mną a moimi synami. Nie jestem nikomu na świecie potrzebną i nikt mię nie kocha.

Odeszła obrażona, rozżalona, znękana. Mieczysław pozostał chwilę jak przykuty do miejsca. Wesołość i szczera otwartość jego zniknęły w zetknięciu z matką. Sam dom ten, do którego niedawno przybywał tak śpiesznie i radośnie, który w pamięci jego wyrył się ze kształtami wszystkich starych drzew swych, z rysunkiem wszystkich ścieżek i zakątków wydał się mu w téj chwili niemiłym i smutnym.

Po kilku minutach, które przepędził w pokoju pana Kajetana, widziéć go można było wyjeżdżającego za bramę

i pędzącego przez pola, jak gdyby uciekał od rozdźwięków napełniających dom jego rodzinny.

Okna oficyny, a raczéj wyświeżonéj i przyozdobionéj jéj połowy, były nie tylko zamknięte, ale jeszcze wzorzystemi sztorami ściśle osłonione. Nie widać tam było ani wewnątrz ani zewnątrz najmniejszego ruchu, tak iż zdawać się mogło że zamieszkujący miéjsce to starszy syn domu spał lub był nieobecny. W rzeczywistości zaś było inaczéj. Kamil nie spał i znajdował się w ozdobnéj swéj sypialni, gdzie leżał w głębokim fotelu, paląc cygaro i od czasu do czasu zwolna i niedbale rozcinając kartki książki, na nowiutkiéj okładce noszącéj tytuł jednego z najświeższych dzieł popularnéj filozofii francuzkiéj. Patrząc na niego, ani przypuścić by można, że nie dawniéj, jak przed godziną stał się on bezpośrednim sprawcą burzliwéj i upakarzającéj sceny domowéj.

Wśród ciszy głębokiéj i łagodnego półcienia, rozweselonego barwami obicia na ścianach i sprzętach, leżąc na fotelu i rozcinając karty nowéj książki, zdawał się najzupełniéj nie wiedziéć o tém, że w przestrzeni i czasie istnieje albo istnieć może ktokolwiek lub cokolwiek, oprócz niego samego i jego mieszkania.

W całym dworze zresztą panowały cisza i spokój. Przed stajnią tylko zakładano do kocza cztéry konie, w pokoju panny Julii słychać było tłumione łkanie, ładna Brygisia krzątała się około układania w tłómoki rzeczy odjeżdżającéj guwernantki, a z sypialni pani Leontyny dolatywały odgłosy monotonnie wymawianych wyrazów.

— A teraz, rzekła pani Leontyna, kończąc przemowę swoją do córki o nieuniknionéj potrzebie posłuszeństwa, łagodności i pogardy dla wszystkich marności tego świata —

a teraz uklęknij i odmów koronkę do przemienienia Pańskiego, na intencyą aby Bóg odmienić raczył twój charakter.

Dziewczyna, zmęczona i wyczerpana wzruszeniami, nie opierała się rozkazowi. Wstała z ziemi i rozogniona, nadąsana, spłakana, uklękła na klęczniku matki, przed krucyfiksem i trupią głową. Ta ostatnia nie czyniła na niéj najlżéjszego wrażenia, koronkę zaś umiała na pamięć i zaczęła odmawiać ją półgłosem. Coraz odnawiające się jednak łkania przerywały jéj modlitwę, a załzawione oczy wybiegały co chwila za okno w stronę stajni, przed którą zakładano konie do powozu. Widocznie zalecany przez panią Leontynę środek poprawczy nie działał na córkę jéj ze spodziewaną mocą.

— Modlisz się bez uwagi, upominała ją pani Leontyna, która, siedząc na kanapie, pilnie przysłuchiwała się modłom córki; opuściłaś jedno *Zdrowaś Marya* i dwa razy nie powiedziałaś *Amen*.

Zbliżyła się do klęcznika, usunęła nieco córkę za siebie, a sama klękając na jéj miejscu, dodała:

— Pomodlimy się razem. Spodziewam się że za głosem matki łatwiéj ci będzie podnieść serce i myśl ku niebu.

Otworzyła książkę do nabożeństwa i przeczytawszy głośno parę modlitw, zaintonowała:

— Jezu nazarański, królu żydowski, zmiłuj się nad nami!

Lila oderwała wzrok od okna, za którém dał się słyszeć turkot podjeżdżającego pod ganek powozu, i głosem pełnym rozjątrzenia powtórzyła zaintonowane wyrazy.

Duch pani Leontyny podnosił się widocznie i rozogniał, w miarę jak na usta jéj powracały jedne i te same zgłoski, wymawiane głosem przeciągłym i śpiewnym. Oczy

jéj tkwiące zrazu w krucyfiksie, spoczęły aż u szczytu wysokiéj ściany, zapłonęły iskrą i omgliły się wilgocią; ręce splotła i przycisnęła do stóp krzyża; westchnienia i ciche jęki podnosiły pierś jéj, wzdymającą się coraz wyżéj.

Monotonia słów modlitwy, połączona z ciszą panującą w pokoju, sprowadziły reakcyą w nerwowym systemie spłakanego i zmęczonego dziewczęcia. Lila osunęła się na posadzkę i z głową opuszczoną na nizki taburet usnęła tak twardo, że nie słyszała jak powóz unoszący jéj towarzyszkę raczéj niż nauczycielkę odjechał z przed ganku.

Modły pani Leontyny trwałyby długo jeszcze, do późnego wieczora może, ale przed samym zachodem słońca zastukano do drzwi i głos służącego oznajmił podany obiad i zarazem przybycie pani Malwiny Ręczycowéj z córkami.

III.

Do wielkiego dziedzińca, zawierającego w sobie dom mieszkalny i główne gospodarskie budowle, przytykało w Orchowie podwórze mniejsze, tak zwane folwarczne, z oborami, chléwami, pomniéjszemi spichrzami dokoła, a z folwarczną oficyną w głębi.

W oficynie mieszkał dzierżawca Orchowa Eli Makower, ze spólnikiem i szwagrem swoim Efroimem Lejbowiczem. Oficyalistów, jako to ekonomów, namiestników, gumiennych, dwaj Izraelici nie trzymali wcale, sami bowiem pełnili osobiście wszystkie powyższe funkcye; ale rodziny mieli tak liczne, że zaledwie pomieścić się mogły w połowie niezbyt obszernéj budowy, któréj drugą połowę, złożoną z wielkiéj izby zwanéj piekarnią i dwóch komórek, zajmowała czeladź męzka i żeńska.

Zkąd wziął się we dworze takim jak Orchów dzierżawca Żyd? Dla mieszkańców okolic kraju oddalonych, nieznających ekonomiki i najbliższych dziejów prowincyi w któréj znajduje się Orchów, fakt ten byłby niezrozumiałym, bez kilku słów wytłumaczenia.

Dwa lata zaledwie minęły od pory, w której sposób prowadzenia gospodarstwa rolnego w rozległych prowincyach zaniemeńskich uległ zmianie, obalającéj do gruntu jego

podstawy. Praca przymusowa usunęła się w przeszłość, bez możebności powrotu, lubo nie bez pozostawienia za sobą głębokich i trwałych śladów, tak w ustroju ekonomicznym kraju, jak w moralném usposobieniu jego mieszkańców; na miejscu jéj stanęła praca wolna, jako siła społeczna, którą odtąd w ruch wprawiać, nabywać, zużytkować mógł tylko kapitał. Zmiana ta, w połączeniu z innemi, niemniéj wpływowemi wypadkami i okolicznościami, była katastrofą mącącą uśpiony w objęciach rutyny byt społeczny, przedewszystkiém zaś byt jednéj z klas społecznych, — nakształt kamienia rzuconego nagle na spokojną powierzchnię wody.

Po błoniach litewskich, tradycyjnie dotąd dzielonych na trzy części, z których corocznie dwie zasiewały się, a trzecia spoczywała; po lasach starych siekierą zdawna już szczerbionych; po dworach, wyglądających z pozoru jak przybytki wszelakich rozkoszy, lecz w gruncie pod niejednym względem zagrożonych upadkiem; po gabinetach szczególniej, w których możnowładni dotąd dziedzice po raz piérwszy w życiu zapełniać poczynali cyframi stronice ksiąg rachunkowych; po wszystkich słowem miejscach, kędy dotąd, sztucznie podtrzymywane przez upadły dziś przywilej panowały obfitość, okazałość, przepych niekiedy, dostatek i spokój o jutro zawsze—rozległ się powszechny, przeciągły, pełen zdumienia i trwogi okrzyk; ratuj się kto może! Uciekał się też każdy do czego mógł, ratował się czém mógł.

Jako piérwsza ucieczka przed nowemi całkiem a naglącemi troskami przedstawiał się kapitał a jedynymi w kraju posiadaczami kapitału byli Żydzi. Drugą ucieczkę i drugi ratunek musiał koniecznie stanowić duch przedsiębierczości, oszczędności, wytrwałości w pracy zmudnéj i ciężkiéj, prze-

biegłości nakoniec i pewnéj giętkości tak karku jak charakteru, która pozwala człowiekowi ku czemuś dążącemu podleść tam, gdzie przejść lub przeskoczyć nie można—a jedynymi posiadaczami przymiotów tych byli znów Żydzi. Owi dziedzice, którym zapisany w księgach ich *credit* i *debet* bardzo smutne prawił rzeczy, puste mieli kieszenie, wiecznie rozsznurowane sakiewki, duchy niecierpliwe a nowością wszelaką gardzące, karki twarde, odziedziczone po przodkach, którzy gdy nie zdołali kędy swobodnie przejść, przebili się, przerąbali, jeśli mogli, ale podłazić, pełznąć nie umieli, nie chcieli. Zachodziła przecież zrazu wątpliwość, ażali klasa ludzi, którzy w kieszeniach, głowach i karkach swoich dzierżyli wyłącznie siły i przymioty mogące gospodarstwo rolne czasowo przynajmniéj podeprzeć, zechce ku celowi temu zwrócić swe starania. Wiedziano dokładnie, że korzyść lub strata, utrzymanie się lub zaginienie społeczeństwa, były to dla niéj rzeczy zupełnie obojętne. Pozostawał więc tylko interes czysto osobisty, materyalny; ale interes ten w formie takiéj, jaką przedstawiały warunki gospodarstwa rolnego, był dla niéj gruntem zupełnie nowym, dotychczas nienapoczynanym. Żydzi w okolicach tych nie trudnili się rolą nigdy. Obyczaj i prawa krajowe stały pomiędzy nimi a tym kręgiem działalności tak długo, że zdawało się jakoby nie posiadali nawet odpowiednich ku temu pochopów i zdolności.

Okazało się jednak, że Żydzi mieli pociąg do wszelkiego interesu, który mógł być zyskownym i że do uprawiania świeżo otwierającego się przed nimi pola działalności garnąć się zaczęli pośpiesznie a tłumnie. Pole to zresztą nie otworzyło się przed nimi ze stron wszystkich. Właścicielami gleby nie mieli oni prawa zostawać, tak te-

raz jak dawniéj, ale mieli prawo, możność i tysiące sposobności zostawania jéj dzierżawcami.

Zaledwie okrzyk troski i popłochu rozległ się po szerokich obszarach prowincyi, aliści w bramie dworu zjawiał się Żyd i zdejmując jarmułkę, a kłaniając się w pas, zapytywał, czy jaśnie lub wielmożny pan nie puści mu majątku w arendę?

Jaśnie więc i wielmożni panowie majątki swe *puszczali*, bo i cóż mieli czynić, skoro utrzymać ich we własnych rękach nie umieli, a po prawdzie bardzo często i nie mogli. Wyrywały je im z rąk grzéchy przeszłości, a także różne różności teraźniejsze, których spisaniem zajmie się kiedyś historija.

Jednym z pierwszych majątków *puszczonych* tak w arendę był Orchów; jednym z pierwszych Izraelitów, którzy na Litwie całéj spostrzegli ów z ziemi wyrastający interes, obliczyli możebne zyski jego i wyciągnęli doń ręce, zatrudnione dotąd faktorskiemi lub handlarskiemi czynnościami, był Eli Makower.

Pochodził on z miasteczka Orchowa, stanowiącego dziedziczną własność pana Kajetana, gdzie ojciec jego, od lat wielu nazywany w okolicy starym Judelem, był krawcem męzkim, a w gwałtownéj potrzebie i damskim.

Ludzie zamieszkujący wsie sąsiednie znali Elego oddawna, najprzód jako Żydziaka-podrostka, który w brudnym chałacie, w podartych butach albo i bez butów, z rozczochranym rudym włosem i rozdziawioną gębą trawił ranki, dnie i wieczory, stojąc lub siedząc na kamieniu przed wrotami miasteczkowych karczem, kędy zajeżdżały wozy chłopskie, a czasem karety, kocze i najtyczanki pańskie. W koło niego wrzały rozmowy, krzyki, pohulanki, dokonywały się tar-

gi i umowy; sporządzały sprzedaże, kupna, kontrakty; panowie spotykali się, witali, sprawy swe załatwiali, w bilard grywali, a nie rzadko popijali miód lub szampana, gwarząc hucznie o stosunkach swych, zabawach, rozmaitych wypadkach ogólnych i szczególnych; faktorzy kręcili się koło panów, jak pszczoły koło kwiecia, stręcząc i pośrednicząc, a śród całego tego, nigdy prawie nie ustającego gwaru i zawichrzenia, Żydziak-podrostek bosy, rozczochrany, chudy, jak siedział tak siedział przed wrotami to jednéj karczmy, to drugiéj, rozdziawiając gębę i oczy wytrzeszczając. co fizyognomii jego nadawało podobieństwo do wrony, lub przynajmniéj istoty ludzkiéj biédą i ciemnotą zidyotyzowanéj.

Nikomu zapewne na myśl wtedy nie przychodziło, że owe karczmy, przez rozwarte na oścież wrota i okna ziejące wrzawą głosów ludzkich, były zakładem wychowawczym, w którym Żydziak ów otrzymywał piérwsze wiadomości o świecie otaczającym go i mającym być polem przyszłéj jego życiowej działalności.

A jednak tak było. Powtarzające się wciąż koło niego widoki i dźwięki wpadały w wytrzeszczone oczy jego i w brudne uszy, aż utorowały sobie drogę do umysłu. Rozdziawiona gęba stawała się coraz mniéj rozdziawioną, wytrzeszczone oczy coraz mniéj szklanemi, uszy nawet jakby w żądzy lepszego słyszenia, wydostały się z mszystych włosów, w których dotąd tonęły niepostrzeżenie.

W każde południe szedł on zwykle na obiad, a każdego wieczora na noc do domu ojca swego, krawca Judela, gdzie edukacya jego dopełniała się jeszcze innemi pierwiastkami. Bądź co bądź, przyszedł dzień, w którym gęba jego zamknęła się już całkowicie, a oczy strzeliły pojętnością bystrą i ciekawą; zamiast stać lub siedzieć przed wrotami karczmy,

chłopiec wsunął się do jéj wnętrza, przylgnął do ściany głównéj izby i odtąd tam już obrał sobie stanowisko obserwacyjne. Dziury świeciły mu zawsze jeszcze na łokciach i kolanach, palce u nóg wyłaziły z butów, ale nie był to już idyota, nie był to nawet Żydziak-podrostek, ale Żydek dorosły, młody, z rudawym wąsikiem nad wargą cienką i ruchliwą, z błyskawicą sprytu i tajemnych pożądań, lub z głębokim namysłem w dużych, błękitnych oczach.

W tym samym czasie odbyły się zaślubiny jego z Chają, córką przywódzcy i dziekana miéjscowych faktorów Jednocześnie z przed wrót karczmy i z pod ściany głównéj jéj izby zniknął Żydziak, o którego imieniu i pochodzeniu nikt nie wiedział, natomiast zaś w okolicy pojawił się nowy faktor, imieniem Elko. O nazwisko jego nikt nigdy nie zapytywał, bo pocóż komu znać nazwisko faktora? Elko z Orchowa i koniec. Zdawało się jednak, że nie był to jeden Elko, ale że w osobie jego mieściło się stu, dwustu Elków. Był on zawsze, wszędzie i na każdem miéjscu: w miasteczku na rynku pomiędzy chłopskiemi wozami na targ przybyłemi; przy drzwiczkach przejeżdżających koczów i karet, z czapką w ręku i językiem obrotnym; w oberżach gdzie popasali i nocowali podróżujący panowie; pod płóciennemi budami kupieckich furgonów; na trzęsącéj biédce śród pocztowego gościńca; pieszo śród drożyn ku wsiom wiodących; na dziedzińcach dworskich, w oficynach z ekonomami, w oborach z pachciarzami, w przedpokojach z lokajami, w gabinetach dziedziców nakoniec przy drzwiach, o pół kroku od progu, z wyprostowaną postawą, z bystrem spojrzeniem, latającém szybko dokoła, lecz długo i głęboko zatapiającém się w twarzach ludzkich, z usłużnym, zachęcającym, pokornym lub żartobliwym uśmiechem na ustach.

W owéj porze nie miał on o swój byt powszedni troski żadnéj, albowiem teść jego, dziekan okolicznych faktorów, przez wzgląd na wielkie ubóstwo starego Judela, przyjął był zięcia i córkę do siebie *na stół i mieszkanie*, co znaczyło, że Elko, Chaja i przychodząca na świat w piérwszych latach małżeńskiego pożycia ich progenitura mieli u rodziców kąt i strawę darmo. Co do strawy zresztą, téj nadużyciem Elko teścia swego do bankructwa przywieśćby z pewnością nie mógł, wpadał bowiem do domu raz lub parę razy tygodniowo, na pół dnia, na godzinę, przywitał się z Chają, cmoknął głośno każde z dzieci, najmłodsze ponosił po izbie, podrzucając je aż pod nizki sufit, naradził się w kącie z teściem o sprawach bieżących, potem zajrzał jeszcze do ojca, starego Judela, i daléj w drogę! Co jadł i czy jadł cokolwiek, było to dla wszystkich taką samą tajemnicą, jak to kiedy spoczywał i czy spoczywał kiedykolwiek. Wistocie zaś wpadał niekiedy do przydrożnéj karczmy i załatwiając z chłopami lub z szynkarzem jaki interes, przełykał oschły obwarzanek, albo kawałek czarnego chleba z solą, śledziem, z ząbkiem czosnku lub główką cébuli; niekiedy pachciarz jaki dworski poczęstował go ogórkiem kwaszonym, lub misą kwaśnego mleka. Spał wszędzie, gdziekolwiek noc go zaskoczyła; w izbie szynkowéj na twardej ławie, na trzęsącéj biédzie, z głową schowaną pomiędzy wysoko podniesione kolana, rozciągnięty na drabiniastym chłopskim wozie, na worach ze zbożem, na beczkach z okowitą, na gołéj nawet ziemi. Było to biédne, twarde, znojne życie, opylone kurzawą dróg, spieczone skwarem słońca, oblane potem trudów, ściérające pyły i brudy z podłóg karczemnych, z ław czeladnych, z rynków miasteczkowych pełnych śmiecia, z przedpokojów pańskich pełnych... upokorzeń.

Nikt jednak w czasie tym na niego nie zważał, bo i któż faktora Żyda, mającego opinią sprytnego i nieodbicie potrzebnego szachraja, wziąćby chciał sobie za przedmiot studyów i rozwagi?... powieściopisarz chyba, albo rodzajowy malarz. Powieściopisarzy wszakże ani malarzy w okolicy nie było; nikt przeto Elka nie badał, a gdyby nawet dziwna ta myśl komu przyszła, nie spostrzegłby w nim nic innego, jak gonitwę za zyskiem, żądzę zbierania pieniędzy. Gonitwa to była gorączkowa, niezmordowana, uporczywa, buchająca ogniem nie tylko przez oczy, ale przez skórę na twarzy, która w pewnych chwilach rumieniła się i drgała nerwowo, przez wargi latające konwulsyjnie, gdy szło o wmówienie komuś czegóś, przez ręce drżące, gdy zarobek był tuż, tuż, lecz jeszcze w nie nie wpadł. Czy oprócz téj gonitwy, oprócz téj żądzy oko badacza dostrzedzby mogło w Elku i inne jeszcze uczucia: przywiązania, namiętności, nadziei? Może, lecz aby dokonać odkrycia takiego, trzebaby było spuścić się głęboko w nurty jego najbliższych stosunków, najcodzienniéjszych obyczajów, najtajniéjszych uczuć, w nurty szczególniéj téj podwójnéj edukacyi jego, któréj jednę połowę odebrał przed wrotami gwarnych, ludnych karczem, drugą pod dachem ojca swego, starego Judela. Owocami pierwszéj téj połowy edukacyi jaką otrzymał Elko, były właśnie owa gonitwa za zyskiem, owa żądza pieniędzy; druga połowa także bezowocną nie pozostała, ale o owocach jéj—późniéj.

Trwało tak długie lat dziesięć; poczem z okolicy zniknął faktor młody i zwinny, tak jak niegdyś zniknął z okolicy podrostek żydowski, bosy i gapiowaty—a natomiast zjawił się kupiec z gęstą, kędzierzawą brodą, w chałacie całym zupełnie, jeżeli nie zupełnie czystym, stąpający poważ-

nie, mówiący zwolna i z namysłem, mniéj już przebywający w szynkowniach i na miasteczkowych rynkach, rzadziéj trzęsący się na biédkach i drabiniastych wozach, krótsze stacye odbywający w przedpokojach, a w gabinetach pańskich nie o pół kroku już, jak poprzedzający go faktor, ale o dwa lub o trzy kroki od progu stający, niekiedy zaś, w czasie spisywania umów naprzykład, albo przy dokonywaniu wypłat piénięžnych, przystępujący tuż do stołu lub biurka, przy którém siedział dziedzic. Przestał już nosić zdrobniałe imię Elki, a przedstawiał się jako kupiec Eli. Niekiedy, ale wtedy tylko, gdy zachodziła urzędowa tego potrzeba, występować zaczęło już i nazwisko jego, Makower. Jeździł zawsze wiele, ale nie tak nieustannie jak wprzódy; znał wszystkich, ale nie ze wszystkimi wdawał się w poufałe stosunki. Klasę chłopów, szynkarzy i pomniéjszych oficyalistów dworskich, która stanowiła główny punkt usiewów i zbiorów dla faktora—kupiec pozostawił niejako na stronie, zachowując tylko drobne i poboczne z nią związki, całą zaś uwagę skupił na mniéj lub więcéj zamożnych domach szlacheckich, najściślejszym kręgiem swéj działalności otoczył do dworów tych należące spichrze, stodoły, gorzelnie, lasy. Handlował zbożem, drzewem, okowitą, małą ilością przedmiotów tych zrazu, znaczniéjszą potém, a w końcu bardzo już znaczną.

Miasteczko Orchów, z kilku tysiącami mieszkańców swych, współplemienników i współwyznawców jego, służyło mu w trudnych razach za bank pożyczkowy.

Kredyt jego wzrastał, a zarazem wzrastała zamożność akcyonaryuszów banku, z którego czerpał. Wzrastanie zamożności nie mogło tu jednak bynajmniéj stosować się do drugiéj ze stron przedstawiających się w interesach,

które prowadził Eli, a mianowicie do właścicieli owych spichrzów, gorzelni, lasów. Ale też względy na ich zamożność, lub biédę, straty lub korzyści, dobro słowem lub zło w najmniéjszéj rzeczy nie wchodziły w skład myśli, obrachowań i dążeń Eliego.

Aliści przyszła pora, w któréj nietylko już spichrze i gorzelnie, znajdujące się w dworach szlacheckich, ale gleba płodami swémi zapełniająca pierwsze i zasilająca ostatnie, przedstawiła się jako materyał, z którego sporządzać można było dobre interesa. Eli-kupiec przemienił się w Eliego Makowera, dzierżawcę dóbr Orchowskich z wyjątkiem jednego do dóbr tych należącego folwarku Rydlówki, nad którym zarząd objął młodszy syn pana Kajetana.

Taka była w najpobieżniéjszym zarysie historya Eliego i dróg, któremi szedł, nim doszedł do zamieszkania w oficynie folwarcznéj orchowskiego dworu. Oficyna ta zresztą miała prawdopodobnie przedstawiać w życiu jego stacyą tylko, punkt wyjścia ku innym stacyom, był to bowiem człowiek w pełnéj jeszcze sile męzkiego wieku, lat cztérdziestu niespełna, z postacią więcéj krępą niż wysmukłą, nie otyłą jednak bynajmniéj, lecz owszem jędrnością muskułów, grubością i wyprężeniem żył znamionującą organizacyą krzepką, zahartowaną, pełną sił żywotnych i o ruch ustawiczny dopominających się niecierpliwie. W źrenicach jego, więcej szarych niż błękitnych, panował wyraz ciągłego prawie zamyślenia, w chwilach jednak, w których się ożywiał, strzelał z nich jakby promieniem blask żywy i przenikający.

Taką przedstawiała się powierzchowność Eliego, w chwili gdy wychodził z nizkiego, małego domku, stojącego przy jédnéj z uliczek miasteczka Orchowa.

Dom, z którego wychodził Eli, miał dach z nadgniłéj słomy, wklęsły do koła jedynego okopconego komina, dwa małe okienka w spróchniałych ramach, o łokieć wyniesione nad poziom i podwórko ciasne, śmieciem zarzucone, kilku innym domowstwom wspólne.

Eli nie był sam jeden. Tuż za nim trzéj Żydzi, z których dwaj równego mu wieku, trzeci bardzo młody i bezwąsy, przestąpili zgniłe berwiono, w poprzek drzwi miasto progu umieszczone. Za progiem, na wpółciemném tle sionki, ukazały się głowy dwóch dziewcząt dorosłych, z włosami w nieładzie, i pomarszczona, oliwkowéj barwy twarz podżyłéj Żydówki, otoczona dwiema szlarkami zrudziałéj czarnéj materyi, zastępującéj perukę.

O kilka kroków od drzwi domku stał wózek zgrabny, na zielono pomalowany, w małego ale tłustego i silnego konika zaprzężony. Byłby to zaprząg wcale przyzwoicie wyglądający, gdyby nie uprząż konia z wózkiem łącząca, utworzona ze zrudziałych rzemieni i powrozów grubych, niezgrabnemi węzłami pozwiązywanych.

— *Wo ist der furman?* rzekł jeden z towarzyszących Eliemu Izraelitów, rzucając spojrzenie na niezajęty koziołek wózka.

— Posłałem go do karczmy po wódkę, równie szwargotem żydowskim odpowiedział Eli. Dożynają dziś u mnie jęczmień i otawę koszą. Stu rokotnika i pięć...

Wymawiając ostatnie słowa, włożył ręce w kieszenie chałata i podniósł głowę, z wyrazem dumnego zadowolenia.

— *Herste!* zawołał jeden z Izraelitów, sto i pięć robotnika! A zkąd ty ich wziął tyle?

— Ztąd, odparł Eli, uderzając dłonią po kieszeni.

— A wiele ty im płacisz? zapytał drugi z towarzy-

szów, poruszając się żywo i biegające oczy z ciekawością topiąc w twarzy Eliego.

— Czterdzieści kopiéjek i pół kruczka wódki wieczorem, niedbale i patrząc w stronę widniejącéj zdaleka karczmy odparł Eli.

Żyd, który pytał o cenę robotnika, obiema dłońmi uchwycił się za brodę.

— Aj! aj! zawołał. A ja w Ręczynie płacę 50 kopiéjek i kruczek wódki! Zkąd ty ich wziął takich tanich?

Eli, nie zmieniając kierunku wéjrzenia, wyjął jednę rękę z kieszeni, wskazujący palec przyłożył do czoła i rzekł:

— Ztąd.

Młody, bezwąsy Żydek, z rysów twarzy podobny bardzo do Eliego, zaśmiał się na to słowo z głębokiem zadowoleniem i z wyrazem tryumfu w oczach spojrzał na starszego Żyda, wyrzekającego iż płaci robotnikom drożéj niż Eli. Dwie dziewczyny stojące za progiem mrocznéj sionki spojrzały także po sobie i pokiwały głowami, uśmiechając się, jakby gestem tym i uśmiechem mówiły do siebie wzajém: jaki on mądry!

— Nu! czemu on nie wraca? mnie pora jechać! z niejaką niecierpliwością rzekł Eli.

W téj saméj chwili na środku uliczki zjawił się człowiek jakiś, wyglądający z postawy i ubrania na zagrodowego szlachcica.

— Czy jegomość nie idziesz czasem do Chaima? zagadnął Eli po polsku przechodzącego i palcem wskazał karczmę.

— A pójdę, odparł, zatrzymując się, szlachcic. Dzień dobry, panie Makower, dodał potém, dotykając czapki.

Eli powtórzył gest i pozdrowienie szlachcica.

— Tam poszedł po wódkę *mój człowiek*, ciągnął da-

léj. Bądź jegomość łaskaw powiedzieć *memu człowieku*, żeby prędzéj wracał, bo mnie pora już jechać.

Mówiąc *mój człowiek*, włożył znowu ręce do kieszeni, a niemłoda Żydówka, z głową oblepioną czarną materyą, rozjaśniła uśmiechem twarz pomarszczoną i spoglądając na sto-jące obok dziewczęta, szepnęła:

— Herste! *jego człowiek!*

Dwaj starsi Żydzi zamienili tym czasem pomiędzy sobą kilka słów półgłosem wymienionych.

— Nu, Eli, rzekł głośniéj jeden z nich, pamiętaj o mnie, jak będziesz gadał z Łozowiczem.

— A czemu ja nie mam pamiętać? Ale to jeszcze z tym Łozowiczem daleki interes.

— Niech sobie będzie daleki; ale jaby chciał bardzo Łozowę z tobą trzymać.

— Niewiadomo jeszcze czy ja sam będę ją trzymał.

— Nu, a jak będziesz? Jaby chciał bardzo być twoim spólnikiem.

— Czemu nie, wyrzekł, uśmiechając się, młody Żydek.

— A co z Efroimem będzie, jak ja ciebie za spólnika wezmę? zapytał Eli.

— Ty *Efroimu* drugi interes znajdziesz. Niech Ręczyn bierze.

— A Josiel?

Drugi ze starszych Żydów wzruszył ramionami.

— Ja jemu Ręczyn ustąpię. Kiepski interes. Wielka kobyła, ale chuda.

Ostatnie słowa wymówił po polsku. Eli uśmiechał się.

— Ja to odrazu wiedział, że z Ręczynem interes zły. W Orchowie to grunt! pluń tylko, a pszenica wyrośnie.

— Aj! Aj! z zachwytem ozwali się Żydzi. A Łozowa to jeszcze lepsza jak Orchów, tylko że mniéjsza.

W téj chwili do rozmawiającego towarzystwa zbliżyło się jeszcze dwóch Żydów, niemłodych już, poważnie stąpających. Wyciągnęli ręce i dotknęli palcami palców Eliego, przyczém kiwnęli głowami, nie dotykając czapek.

— Interes dobrze idzie? z przyjaznym uśmiechem zapytał jeden z nich Eliego.

— Czemu ma źle iść? dobrze idzie. Twój procent, rebe Abram, pewny... na piérwszy septembra, a tobie rebe Widger, na Nowy rok wszystko oddam.

Dwaj nowoprzybyli uśmiechali się z zadowoleniem i przyjaźnie kiwali głowami.

— Nu, nu! mówili, tyle biédy co to! Czy my nie wiemy jak ty interesa robisz? czy my kiedy bali się o nasze pieniądze, jak były w twojéj kieszeni?

— On kładnie do kieszeni kopiejkę, a wyjmuje z niéj rubla, zauważył dzierżawca Ręczyna, zwany Josielem.

Na te słowa wszyscy roześmieli się chórem. Jeden z nich rzekł:

— Takie już jego szczęście.

— Co to szczęście! to nie szczęście, tylko rozum! zawołał niespodzianie milczący dotąd i mimiką tylko uczucia swe wyrażający młody, do Eliego podobny Żydek.

Słowom jego zawtórował cichy chichot niemłodéj Żydówki, stojącéj za progiem sionki, chichot wyrażający uczucie niewymownego zadowolenia, złączonego z podziwem.

Na ulicy zjawił się parobczak w szaréj świtce, dźwigający sporą, gorzałki pełną beczułkę. Był to człowiek Eliego.

— Nu, Wasyl! *a czeho* tak długo w karczmie siedział, z polska po rusińsku zawołał do *człowieka swego* dzierżawca Orchowa.

Parobczak, nie odpowiadając nic, umieścił w wózku beczułkę z płynem. Eli zabiérał się do odjazdu.

Postąpił był właśnie ku wózkowi, gdy Młody Żydek położył mu rękę na ramieniu.

— Eli, rzekł, czy ty mi tylko zrobisz to co przyrzekłeś? he? Przyjm mię do swoich interesów, albo pojadę gdzieindziéj szczęścia szukać.

Żyd zwany Mowszą, trącił młodego żydka w bok łokciem.

— Co ty mu czas zabierasz? zawołał. On twój brat, to o tobie i sam pamiętać będzie, a nam trzeba z nim pogadać.

— My *wszystkie* do niego interesa mamy.

— *Elieczkie!* zawołała piskliwie młoda Żydówka z sieni, ja będę czekać na *twego obietnice*... moje małe wnuczki sierotki będą za ciebie pana Boga prosić.

— Ny, a jak do Łozowéj pojedziesz, to pamiętaj, że Mowsza chce bardzo twoim wspólnikiem być.

— A jeżeli Łozowicz tobie Łozową *puści* to u mnie masz kredyt, *verstehst*.

— Czemu ja nie mam takiéj dobréj rzeczy rozumieć, śmiejąc się, odpowiedział na ostatnie słowa Eli.

Siedział już na wózku i nogi opierał o beczułkę z wódką, która mu siedzenie niewygodném czyniła. To téż postawa jego, z podniesionemi zbytecznie kolanami, ścieśniona pomiędzy dwoma worami z jakiemś zbożem, które parobek na siedzeniu umieścił, przypominała dawnego faktora jeżdżącego na króciutkiéj biédce, wypakowanéj rozmaitym ładunkiem. Wyraz twarzy za to był podobny do tego, który okrywa twarz naczelnika, znajdującego się pomiędzy podwładnymi i brata otoczonego braćmi. Rozpromieniały ją: duma zadowoleniem z siebie, życzliwość dla tych, którzy gromadą otaczając wózek, podnosili oczy ku jego twa-

rzy, dotykali rękami rąk i ubrania jego. Kiwał głową k r Mowszy i uśmiechał się.

— Dobrze! dobrze! ja pogadam z Łozowiczem o *arendę*, to dam tobie wiedzieć co z tego będzie.

Josiel za chałat go pociągnął.

— Niech Efroim Ręczyn bierze... ja będę u ciebie gorzelnię w Łozowéj pędził.

— Pogadam o tém z Efroimem.

— Elieczkie! zawołała Żydówka z sieni.

— Ny, ny! Sura! furmanka jutro po ciebie przyjedzie... a tam już miéjsce na kram najęte.

Młody Żydek położył znowu rękę na jego ramieniu.

— To ty już mię z pewnością na zimę do Orchowa bierzesz?

Eli obrócił się ku niemu.

— Co ty mnie o to sto razy pytasz? czy ty nie słyszał jak mnie *stary* prosił, żeby ja ciebie do Orchowa wziął i handlować uczył? A czy ty nie wiész, że jak mnie stary co powié, to już ja muszę zrobić to co on chce, choćbym miał pod ziemię wléźć?

— Gut! gut! chórem zawołali Żydzi; kiedy ojciec o co prosi, to trzeba tak zrobić jak on chce.

— Nu, Wasyl, do domu! rzekł Eli.

Wasyl cmoknął na konia. Zanim jednak wózek ruszył z miéjsca, Eli poprzez głowy otaczających go osób szukał czegoś. Szukał, znalazł, kiwnął głową, uśmiechnął się i podniesionym głosem zawołał:

— Gut Nacht, Tate! gut Nacht!

Wózek potoczył się zwolna błotnistą uliczką. Żydzi rozeszli się, a stara Żydówka z pomarszczoną twarzą i młode dziewczęta rozczochrane zniknęły w głębiach mrocznéj sionki.

Przedmiotem, który przyciągał do siebie spojrzenie Eliego w chwili odjazdu i wywołał na usta wykrzyk „gut Nacht, Tate!" — była twarz starego Żyda, widniejąca z za mętnéj szyby małego okienka, Gęste, białe jak mléko, tu i owdzie tylko żółtawemi smugami przerznięte włosy, otaczały czoło wysokie, zmarszczkami w różnych kierunkach wyżłobionemi zorane, tak iż wydawało się zmiętą latami i zużyciem kartą zżółkłego pargaminu. Takaż broda srebrna dwoma długiemi pasmami spuszczała się od ust cienko zarysowanych, tak bladych, jakby w nich kropli krwi nie było, i ocieniała policzki ściągłe, żółtawe, zapadłe. z pod brwi siwych dwie błękitne źrenice, na zaczerwienionych białkach pływające, świéciły blaskiem łagodnym, przygasłym, a jednak przenikającym, blaskiem właściwym oczom, które pracowały ciężko i długo, łez wiele przelały, a przestawszy już pracować i płakać, zwróciły się ku tajemnym światom wewnętrznych przypomnień, rozwag i rozpamiętywań. Twarz ta, w któréj było coś patryarchalnego i ascetycznego zarazem, cóś głęboko znużonego i mistycznie radosnego, promieniała uśmiechem rozlanym na ustach, w źrenicach, w samych nawet wklęsłościach chudych policzków, w chwili, gdy Eli, siedząc na wózku, rozdawał otaczającym go ludziom przyrzeczenia i skinienia głową, niby dowody łaski i przyjaźni.

Kiedy Eli zawołał! „gut Nacht, Tate!" cienkie, blade wargi starca poruszyły się i wydały przeciągłą, śpiewną odpowiedź: „gut Nacht, Eli!" W odpowiedzi téj zadźwięczało echo głosu Jakubowego, spływającego gorącém błogosławieństwem na głowę ulubionego Benjamina.

IV.

Parę jeszcze godzin zostawało do zachodu słońca, gdy wózek wiozący dzierżawcę Orchowa wtoczył się na folwarczny dziedziniec orchowskiego dworu i stanął przed starą oficyną.

Z za ogrodzenia otaczającego ogród warzywny rozległy się okrzyki; „Tate! Tate!” Jednocześnie na szczycie płotu zjawiło się dwoje dzieci, pięcioletnia dziewczynka w grubéj koszuli, przewiązanéj sznurkiem i o parę lat starszy od niéj chłopak, w spencerku bez rękawów. Obie głowy dziecinne osypane były gęstemi jak las kędziorami włosów złocistéj barwy.

Przed oficyną do pni zdala od siebie rosnących topól przymocowany, rozciągnięty był sznur, a na nim wisiały wilgotne szmaty rozmaitych kształtów: płachty płócienne do cedzenia mléka służące, kliniaste worki do robienia serów, kolorowe spłowiałe chusty do obwiązywania głów i dziecinne sukienki z perkalu, niewiadoméj barwy. Wszystkie te przedmioty wyjmowała z balii przed progiem stojącéj, średnich lat Żydówka, rozwieszając je na sznurze. Była to Chaja, żona Eliego.

Na dziedzińcu porosłym trawą wydeptaną w jednych miéjscach, w innych zgłuszoną ostami i széroko rozrosłémi

kępami chrzanu i łopuchu, aż pod obory ciągnęły się źdźbła gnijącéj słomy; pod płotem, na którego szczycie zawisło dwoje dzieciaków, wznosiły się mniéjsze i większe wzgórza, z nagromadzonego śmiecia powstałe; przed małym gankiem o dwóch wykrzywionych słupach stały mętne i niemiłą woń wydające wody dwóch wielkich kałuż.

Eli wysiadł z wózka i lekceważące spojrzenie rzucił na balią i sznur obwieszony wilgotnemi szmatami.

— Chaja! dlaczego ty to robisz sama? na co tobie tego? czy sługi nie masz? zapytał głosem podniesionym.

— A co to szkodzi, że ja sama tego robię? odpowiedziała Żydówka i przybiérała się do wyjmowania z balii ostatniéj znajdującéj się tam szmaty płótna; ale Eli zawołał na nią:

— Pójdź do izby ja cóś dobrego przywiózł.

Wyjął z pod siedzenia znajdujące się tam zawiniątko i uśmiechając się, powoli przestąpił próg oficyny. Za nim udała się Chaja, otarłszy wprzód o spódnicę ręce okryte szarą pianą mydlaną.

W sieni oficyny, na glinianéj podłodze, siedziała Żydówka, podobna do Chai z ubrania i powierzchowności, wielkim nożem siekąc na desce ziele do karmienia gęsi przeznaczone.

Eli kiwnął ku niéj głową.

— *Wo ist Efroim?* zapytał.

— Gdzie un ma być? stoi na polu przy robotnikach, nie przerywając zajęcia swego, odpowiedziała żona współdzierżawcy Orchowa.

Z jednéj strony sieni znajdowały się drzwi na oścież otwarte, prowadzące do wielkiéj izby czeladnéj, zwanéj piekarnią. Tam przed olbrzymim piecem, opatrzonym w czar-

ny od okopcenia kaptur stała dorosła dziewczyna żydowska, pilnując strawy warzącéj się przy ogniu; czworo dzieci różnego wieku, rozczochranych i w szare koszule lub kaftany bez rękawów poubieranych, bawiło się z gromadą małych kociąt. Na jednéj z ław wkoło ścian spało trzech Żydków, z których najstarszy mógł mieć lat piętnaście, najmłodszy dziesięć. Oprócz krzyku dzieci, miauczenie kociąt, miarowego stuku noża Żydówki siekącéj ziele i chrapania śpiących podrostków, nic więcéj dokoła słychać nie było. Czeladź dworska znajdowała się w polu i na łąkach, bydło ze swymi dozorcami na pastwiskach.

Eli nie udał się do piekarni, ale otworzył drzwi znajdujące się z drugiéj strony sieni. Były to dwie izby dość obszerne, któreby można było zrazu wziąść za hurtowy skład pościeli wszelkiego rodzaju, tyle tam stało łóżek, napełnionych piernatami i poduszkami, których stosy wznosiły się prawie aż pod belkowy sufit. Pośrodku sufitu pierwszéj izby wisiał mosiężny czteroramienny świecznik, a pod oknem stała kanapka stara, podartym perkalem okryta i wielki stół czarno pomalowany.

Eli siadł na kanapie, położył zawiniątko przed sobą na stole i zaczął je rozwiązywać powoli i z uśmiechem. Chaja o dwa kroki stojąc, głowę naprzód pochylała i ciekawemi oczami śledziła ruch rąk mężowskich. Nagle ku stołowi skoczyła, rękami plasnęła i krzyknęła:

— Och! Och!

Twarz jéj zwiędła i ogorzała promieniała radością, podziwem. Eli wyjął z zawinięcia i w dwóch palcach, ostrożnie, z rodzajem głębokiego poszanowania trzymał zawieszony w powietrzu mały surducik z granatowego sukna, ze sré-

brnemi wypustkami i guzikami. Był-to mundur szkolny, mogący służyć dla chłopca lat dwunastu mniéj więcéj.

— To dla Abramka? — po chwili niemego osłupienia wymówiła Chaja.

— A dla kogóżby? odparł Eli, lubując się widocznie przedmiotem trzymanym w ręku i wrażeniem jakie on na Chai wywierał.

Chaja stała wciąż z postacią naprzód podaną. Parę razy wyciągała rękę i już, już dotknąć miała mundurka, ale cofała ją wnet i przechylając tylko głowę na obie strony zawołała nagle:

— A jak *un* będzie w tym wyglądał?

— Otóż to, jak *un* będzie w tym wyglądał—powtórzył Eli. A gdzie *un*?

— *Un* śpi w piekarni. Ja jego zawołam.

W kilka minut po téj rozmowie czerwone piernaty, do połowy zasłaniające ściany izby, służyły za dekoracyą scenie tłumnéj i gwarnéj. W izbie, oprócz Eliego, który z rękami w kieszeniach siedział rozparty na kanapie, znajdowała się gromada kobiét i dzieci równego wieku. Osoby te, w liczbie kilkunastu, tworzyły półkole, rozwarte ze strony kanapy, na któréj siedział Eli. Była to grupa podobna do tych, jakie skupiają się na ulicach miast mniejszych, a nawet i większych, dokoła pajaca, pokazującego uczone psy lub skaczące małpy. Jak w owych grupach, tak i w téj głowy patrzących wysuwały się naprzód z ciekawością, usta roztwierały się uśmiechami podziwu i zadowolenia, mniejsze dzieci, wdrapywały się na plecy i ramiona większych, aby lepiéj widziéć, dorośli szturchali jedni drugich w łokcie szepcząc: „siech! siech!" Tylko że przedmiotem powszechnego zajęcia nie był tu ani pies uczony, ani małpa w czerwony

kaftanik przybrana, lecz dwunastoletni chłopak, w nowiutkim mundurku szkolnym, dziwnie odbijającym przy bosych jego nogach, przy włosach, splątanemi pasmami wysuwających się z pod zrudziałéj jarmułki, i przy twarzy pokrytéj taką warstwą brudu i sadzy, że z za niéj, jak z za gęstéj przesłony, zaledwie przeglądały delikatne, ładnie wykrojone, bladawą cerą pokryte rysy dziecka. Ręce trzymał w znacznem oddaleniu od ciała, gębę roztwierał i osłupiałemi oczami wodził po swém nowem ubraniu, a szczególniéj po błyszczących wypustkach i guzikach.

— *Gaj a weg!* krzyczała Chaja za każdym razem, gdy które z dzieci, pociągnięte ciekawością, próbowało przekroczyć linią półkola i zbliżyć się do Abramka, sama zaś oczów od niego oderwać nie mogła. Uśmiech niebiańskiego zachwycenia rozléwał się na jéj twarzy.

— Och! och! mówiła, jak *un* wygląda! jak obraz! jak lustro! jak... panicz!

Eli uśmiechał się, milcząc.

Nagle Abramek skrzywił się, ręce podniósł do jarmułki, przysiadł, otworzył usta szeroko i — wrzasnął. Czy czuł że mu w mundurku ciasno i niewygodnie, czy pomyślał o tém, że przywiezienie go przez ojca zwiastuje mu blizki odjazd do szkoły, dość że niespodziewanie śród zachwycenia powszechnego wrzasnął i zalał się obfitemi łzami.

— *Abramkie! libeczkie! klejneczkie!* zawołała Chaja, z otwartemi rękami przypadając do siedzącego na ziemi i wrzeszczącego syna.

W téjże chwili wszedł do izby Efroim. Nie był on podobny do Eliego i przedstawiał inny typ żydowski. Wysoki, barczysty, przygarbiony nieco, włosy, oczy i brodę miał czarne jak noc, cerę twarzy ciemną, a pomiędzy krzaczyste-

mi brwiami dwie głębokie, mięsiste zmarszczki, które na całą fizyognomią, jego rzucały wyraz surowy i ponury.

— *Wos is dues?* zapytał Efroim, stając na środku izby i patrząc na wrzeszczącego wciąż Abramka, którego Chaja, postawiwszy na stołku, tuliła w objęciach, całowała, łajała i z mundurka rozbiérać zaczynała.

— To ty jego naprawdę myślisz do szkoły oddać? zwrócił się przybyły ku Eliemu.

— A dla czego nie mam oddać? wzruszając ramionami, odparł Eli.

Zmarszczki na czole Efroima pogłębiły się, czarne oczy jego strzeliły ku Eliemu błyskiem szyderskim, gniéwnym.

— A na co jemu tego? mówił, czy tobie źle, choć ty w szkołach nie był?

— Możeby było lepiéj jeszcze, gdybym był, z jednostajnym zawsze spokojem odparł Eli.

— A co ty z niego zrobisz, jak on bardzo *nauczny* będzie?

Eli po raz piérwszy podniósł uważny wzrok na twarz wspólnika i zarazem wyprostował się na kanapie.

— Co ja z niego zrobię, jak on będzie *nauczny*, powtórzył i zamyślił się.

Wątpliwość jakaś zapadła mu znać w umysł. Efroim uśmiechał się złośliwie i niechętnie.

— Ja tobie mówię, Eli, że to na nic. Jego tam oduczą tylko Żydem być, a potem co? niech *oni* swoje dzieci do szkoły posyłają... ty weź dla Abramka *szpektora*, to on go Boga chwalić i liczyć nauczy.

Eli milczał. Po chwili podniósł głowę i rzekł:

— Mój *stary* dawno mnie już gada, żeby ja Abram-

ka do szkoły posłał, a ja w mego starego rozum wierzę.... Ja i w swój rozum wierzę, a ot jak on mnie gada: a czemu to mój syn nie ma wszystkiego wiedzieć co panowie wiedzą? a czemu on nie może chodzić kiedyś po wielkich miastach i wielkim *purycem* być—i nie kopiéjki zbierać, jak ja, ale złote półimperyały — i nie przy progach panów stać, jak ja, ale siadać wszędzie gdzie oni siadają — i żeby oni kłaniali się jemu a nie on im? A czemu tak nie może być? A kiedy do tego trzeba nauki, to ja jemu dam naukę. Ot jak mój rozum gada.

Rozum Eliego gadał zupełnie takim językiem, jakim przemawia próżność i ambicya. Ukazywał on mu obraz syna jego, przechadzającego się po ulicach nie małych już miasteczek, ale miast wielkich; otoczonego nieokreśloną jakąś aureolą rozumu, elegancyi, swobody, otrzymującego grzeczne ukłony od tych, którym ojciec jego nizko kłaniał się przez życie całe. I zarobki w postaci złotych półimperyałów grały w ojcowskich marzeniach Eliego rolę pewną ale - podrzędną. O przyszłéj moralnéj wartości chłopca, o wewnętrznéj treści i źródłach téj aureoli wyższości, która go kiedyś otoczyć miała, rozum Eliego nie gadał mu ani słowa.

Efroim nie spuszczał oczu z zamyślonego swego spólnika. W wejrzeniu jego tkwił niepokój i wzgardliwe jakby politowanie.

— Nu, rzekł, to tylko dobrze, że jego może do szkoły nie przyjmą.

Eli wstrząsnął się cały.

— Dlaczego nie mają przyjąć? zawołał. Czy to teraz takie czasy, żeby Żydków do szkoły nie przyjmowali?

— A co on umie? szydersko zapytał Efroim.

— Co on umie? jak echo powtórzył Eli. Nu, dwa lata już uczy się szpektora w Orchowie.

— A ezego szpektor jego nauczył?

Eli podniósł się z kanapy jak sprężyną ruszony, i stał chwilę przy stole, zamyślony głęboko.

Nagle, jakby mu myśl jakaś przyszła do głowy, wziął czapkę i zwrócił się ku drzwiom. Od progu zapytał:

— A kto przy robotniku stoi?

— Mój syn Jankiel, odparł Efroim.

— A czy on dopilnuje akuratnie?

— Czemu on nie ma dopilnować? ja jego do szkoły nie posyłał, to on pilnuje tego z czego chléb.

Nie zważając na ostatni szyderski pocisk spólnika, Eli opuścił izbę powoli, w zamyśleniu przeszedł folwarczny dziedziniec i postępując śladami drogi, szérokiéj niegdyś i żwirowanéj, dziś trawą zarosłéj zwrócił się ku oficynie, w któréj mieszkał Kamil Orchowski.

Kamil leżał jeszcze w fotelu głębokim i doczytywał właśnie pierwszego rozdziału książki, która go mocno zainteresowała, gdy miłą tę ucztę umysłową przerwało mu wejście lokaja Walka.

— Makower przyszedł i prosi, czy nie mógłby widzieć się z panem.

Kamil wzrok od książki oderwał i usta wykrzywił w sposób wyrażający uczuty niesmak.

— A czego on tam chce? nie pytałeś? rzekł, marszcząc czoło.

— Pytałem, ale powiedział że ma taki interes, o którym chciałby z samym panem pomówić.

Zdawało się zrazu że młody pan w fotelu leżący ręką niedbale skinie i powie; „niech przyjdzie późniéj." Ale

Makower jako dzierżawca Orchowa, trzymający w kieszeni swéj finansowe sprawy całéj rodziny, a zatem i Kamila, był figurą zbyt często potrzebną, aby ją tak bez ceremonii ode drzwi odprawić wypadło.

— Niech wejdzie, rzekł Kamil.

Eli wszedł, postąpił kilka kroków, zatrzymał się na środku pokoju, z rękami w tył założonemi, i oddał ukłon niebardzo nizki, niebardzo pokorny, trochę jednak i nizki i pokorny. Kamil ani postawy, ani miny skwaszonéj nie zmienił, skinął tylko głową dość uprzejmie.

— A co powiész, panie Makower? rzekł.

— Ja do wielmożnego pana z jednym interesem przyszedł... z moim własnym interesem. Mam wielmożnego pana o *czegoś* prosić.

— O cóż takiego?

— Ja chciałby wielmożnego pana prosić, żeby mnie pan powiedział to, czego ja nie wiem...

— Czego nie wiesz? z żartobliwym uśmiechem przerwał Kamil. Ja ciebie, panie Makower, mam za takiego rozumnego człowieka, który wszystko wié.

— Wielmożny pan żartuje, obojętnie odparł Żyd. U nas napisano że niéma takiego człowieka i niéma takiego rozumu, coby wiedział wszystko. Ja chwalić Boga wiem co do mnie należy, ale to o *czego* ja chcę wielmożnego pana pytać, do mnie nie należy.

— Więc jest jeszcze na świecie coś takiego, co do was nie należy? A ja myślałem że wszystko już, na co spojrzéć, należy do was Żydów.

— *Jest* takie rzeczy, na które człowiek patrzy oczami i takie, które delikatnym tylko rozumem zobaczyć może..

— Alboż ty, panie Makower, nie masz delikatnego rozumu?

— A zkąd ja jego mógł dostać?... Ale ja chcę żeby jego miał mój syn.

Młody Orchowski zaśmiał się lekko.

— Czy przyszedłeś do mnie po rozum dla swego syna?

— Ja przyszedł dlatego, żeby wielmożny pan mnie powiedział, jak jemu ten rozum dać.

Obejście się Kamila pod osłoną żartobliwości kryjące wzgardliwe niemal lekceważenie, nie zrażało Eliego do dalszéj rozmowy. Doświadczał on w téj chwili tego tylko, do czego z dawien dawna przywykł. Nie można jednak zaręczyć, aby do głowy mu nie przyszło porównanie stojącéj postawy, jaką zajmował o kilka kroków od rozciągniętego w fotelu młodego dziedzica, z tą w jakiéj przed parą godzinami znajdował się w rodzinnem miasteczku, pośród sprzyjających mu, podziwiających go spółwyznawców. Porównaniu temu towarzyszyć koniecznie musiała myśl, że tam był on *ze swoimi*, tu zaś rozmawiał z człowiekiem *cudzym*. Pomocy jednak *cudzego* człowieka tego w téj chwili potrzebował, o minę więc jego i żartobliwe słowa nie dbał.

— Wielmożny pan ciągle książki czytuje, i na wielki świat często jeździ, i sam bywał w szkołach i w uniwersytecie, to wielmożny pan wié tego o co ja chcę pytać.

— No, no, żartobliwym zawsze tonem zachęcał Żyda do mówienia Kamil.

— Ja mego syna chciałby do szkoły oddać. Mój ojciec.... wielmożny pan wié, stary Judel krawiec, uszył już dla niego nawet mundurek, choć on teraz dla nikogo nie szyje... Ale ja nie wiem czy mego syna przyjmą do szkoły, bo on jeszcze bardzo mało umié. To ja chciałby wielmożnego

pana pytać, *czego* to on powinien umieć, żeby jego przyjęli, bo nasze Żydki o *tego* nic nie wiedzą. A jeszcze ja chciałby wielmożnego pana pytać, co mój Abramek będzie mógł robić, jak on szkoły skończy? czy jego potém koniecznie do uniwersytetu posyłać, czy niekoniecznie? i czego jemu.... co jemu.

Zająknął się Eli. Oczy mu połyskiwały żywo; szyję naprzód wyciągał i w twarzy młodego pana topił spojrzenie proszące, ciekawe, prawie chciwe.

Kamil słuchał pośpiesznych i błagalnych słów Żyda z jednostajnym na ustach uśmiechem. Gdy Eli umilkł, wyprostował się nieco na fotelu i krótko zapytał:

— I na co ci to wszystko, panie Makower?

Żyda pytanie to jakby zimną wodą oblało.

— Jakto na co? zapytał ciszéj i z trochą zdziwienia w głosie.

— Jesteście i tak dosyć rozumni, mówił młody dziedzic Orchowa; w waszych rękach wszystko: handel, rzemiosła, a teraz i ziemia. Macie wiele sprytu i umiécie dobrze rachować, bez szkół i bez uniwersytetów.

Zdawało się że te słowa, których słuchał z obojętną twarzą, nie czyniły na Elim wrażenia żadnego.

— Z przeproszeniem wielmożnego pana, rzekł powoli, a co to szkodzi jeżeli tam gdzie jest dziesięć rublów, znajdzie się drugie dziesięć?

— Otóż to, zaśmiał się Kamil, chcecie nauki, aby z jéj pomocą pomnożyć w dwójnasób wasze bogactwa. Chwalebny zamiar. Nie mam nic przeciw niemu. Dziwię się jednak że żądasz, panie Eli, abym ci poradził jaka nauka najstosowniejszą być może dla tego celu. Naucz swego sy-

na tak biegle rachować, jak sam rachujesz, a on z twoich dziesięciu rubli zrobi z pewnością dwadzieścia.

— *Tego* naukę *un* już ma, prostując się nieco, odparł Eli. *Un* tak dobrze liczy, że kiedy ja jemu wczoraj powiedział: Abramek, a czy ty przeliczysz wiele ja jaśnie panom Orchowskim *pieniądzów* na arendę dał, a wiele oni mnie winni? to *un* pomyślał, palcami poruszał i powiedział akurat tyle ile trzeba.

Mówiąc to, Eli miał wyraz twarzy zupełnie spokojny, zwyczajny, lekkim tylko uśmiechem zadowolenia rozjaśniony. Najbieglejszy badacz nie odkryłby w fizyognomii jego ani cienia ukrytéj, złośliwéj myśli. Sama jednak treść słów jego nie mogła być przyjemną dla Kamila. Powiódł téż dłonią po czole, z gestem pewne znudzenie objawiającym.

— Widzisz więc panie Eli, że syn twój dość jest mądry na swój wiek, a ty sam edukacyą jego przyszłą najlepiéj pokierować potrafisz.

Chwila milczenia zapanowała pomiędzy dwoma ludźmi. Kamil patrzył na książkę, którą w ręku trzymał, jakby przez to okazać chciał Żydowi, że pilno mu do niéj wrócić. Eli namyślał się, patrząc w ziemię.

— To ja niczego nie dowiem się od wielmożnego pana? wymówił, podnosząc zwolna głowę.

Na twarzy Kamila skwaszenie i znudzenie zastąpiło całkowicie uprzednią żartobliwość.

— A czegóż dowiedzieć się odemnie możesz, panie Makower? Już téż spodziewam się, że ludzie tak dojrzali i doświadczeni jak ty nie potrzebują guwernerów, którzyby rządzili domowemi ich sprawami. Jeżeli zresztą chcecie wchodzić, czy tam dzieci swoje wprowadzać na drogę wyższego ukształcenia, co zresztą bardzo się wam pochwala, to już

powinniście poznać przedewszystkiém zasadę uznaną powszechnie w teraźniejszéj ekonomii: że popędy do reform i postępów powinny iść z dołu, nie z góry. Jeżeli my udzielać wam będziemy rady i zachęty, będzie to popęd z góry i na nic się wam nie przyda.

Skończył i z czołem zmarszczoném patrzył znowu na karty książki. Eli z niewzruszoną twarzą słuchał wyrazów dla niego w większéj połowie niezrozumiałych. Zrozumiał to tylko, że niéma poco mówić dłużéj z człowiekiem, który żądania jego nie pojął, lub pojąwszy je, przez lekceważenie niechęć czy lenistwo spełnić nie chciał. Stał jeszcze chwilę, aż wreszcie ukłonił się i powiedział:

— Upadam do nóg wielmożnego pana.

— Adieu, adieu! odrzekł Kamil, podnosząc oczy z nad książki.

Eli opuszczał dworski dziedziniec powoli; tym samym zupełnie krokiem i z tym samym wyrazem na twarzy, z jakim wstępował nań przed rozmową z Kamilem, i od czasu do czasu zrywał nawet jakby dla zabawy listek jakiś z krzaku lub wyżéj od innych wzrastającą trawę. Po bardzo tylko blizkiém baczném przyjrzeniu się możnaby było dostrzedz, że po ustach jego, przykrytych rudawym wąsem, błądził cień szyderskiego uśmiechu.

Kamil pozostał w na wpół ciemnym swym pokoju i zagłębił się znów w czytaniu książki ślicznym stylem napisanéj, traktującéj o jednym z najciekawszych zadań filozofii tegoczesnéj.

Kiedy Eli wrócił do folwarcznéj oficyny, Chaja spotkała go we drzwiach izby, w któréj za czarnym stołem siedział także Efroim, kreśląc cyfry w poliniowanéj i pokratkowanéj księdze.

— A co? spytała Żydówka, patrząc na męża ciekawemi oczami.

— Nu co? obojętnie odpowiedział jéj pytaniem mąż, zdejmując czapkę i zbliżając się do spólnika.

— Co *un* powiedział?

— Nic nie powiedział.

Efroim podniósł głowę. Czarne oczy jego żywiéj błysnęły.

Chaja niespokojną była i ciekawą. Stanęła tuż za mężem, który zatrzymał się przy stole.

— Co teraz będzie z Abramkiem? zapytał Efroim, trzymając w ręku pióro, aż po skrzydło uczernione atramentem.

— A co ma być? odrzekł Eli. Za tydzień odwiozę go do N. i oddam do szkoły.

Uśmiech błogiego rozradowania rozlał się po twarzy Chai.

— Ty jego do szkoły oddasz? raz jeszcze zapytał Efroim.

— Oddam, rzekł, siadając, Eli, tak już musi być. Już ja tak postanowił.

— Gut, gut, Eli, nagle zawołała Chaja. Mnie serce boli, że Abramek pojedzie, ale ja chcę żeby *un* jechał, bo za to jak *un* wyrośnie, będzie *wielki puryc.*

W téj saméj chwili na drodze okalającéj dziedziniec folwarczny głucho zaturkotały koła i dało się słyszeć rozgłośne dwa razy powtórzone klaśnięcie z bata. Dwaj Żydzi twarze ku oknu zwrócili. Tuż za dworem toczył się kocz otwarty, sześciu pięknemi końmi ciągniony. Zaprzęgiem tym powoził młody mężczyzna w krótkim spencerku w kraty i w czapeczce oryginalnego kształtu, z fantazyą na bok wło-

żonéj. Obok powożącego siedział stangret bezczynny, w liberyi ze srebrnemi guzikami, w koczu zaś jechały cztery kobiéty. Tuż za powozem ukazały się dwa jeszcze konie. Na jednym z nich siedział człowiek jakiś wąsaty, w ubiorze niby kozaka, niby masztalerza, i prowadził za uzdę drugiego konia, osiodłanego i wielką białą siatką od głowy do ogona i od grzbietu do kopyt prawie okrytego. Było tam tedy koni wszystkich razem osiem.

Żydzi ścigali oczami tę kalwakadę, która, minąwszy bramę, zdążała ku gankowi domu. W połowie dziedzińca powożący młody człowiek stanął na koźle, rękę podniósł, bat olbrzymiéj długości rozwinął i w powietrzu, niby wystrzały pistoletowe, rozległy się dwa klaśnięcia.

— Ręczyce! rzekł Eli. Matka, córki, syn i *guwernantkie.*

— Aj! aj! co tu *koniów!* mówiła Chaja. A gdzie *un*? zapytała ciekawie.

— Kto?

— Syn, młody Ręczyc?

— *Un* tam, gdzie powinien być furman, odparł Eli.

Efroim uśmiechał się, oczami błyskał i krzaczystemi brwiami ruszał. Wyciągnął wskazujący palec w kierunku młodego człowieka, który właśnie w téj chwili na koźle stawał i bat rozwijał.

— Sieh, Chaja! rzekł. *Un* w szkole był, i ot jaki z niego *puryc* zrobił się. Kiedy pan Bóg jego stworzył panem, to on gwałtem lézie tam, gdzie furman powinien być.. Czy ty by chciała żeby twój Abramek takim był *purycem*?

Eli wyprostował się z uśmiechem i ręce do kieszeni włożył.

— Na co jemu tego? rzekł. Jak *un* będzie miał *swego*

kocza i konie, to *un* na kozioł nie wlezie, tylko będzie siedział w koczu rozparty, a konie będą jego ciągnąć.

Jaśniejszy niż zwykle uśmiech rozświecił ciemne rysy Efroima. Podniósł na Eliego spojrzenie.

— A Ręczyc będzie wtedy furmanem i siądzie u niego na koźle?

— Może, obojętnie odparł Eli, i zabierając miejsce na kanapie, zwrócił się do spólnika.

— A chcesz ty Ręczyn w arendę wziąć?

Efroim obu rękami objął czarną swą brodę. Źrenice jego zamigotały i przenikliwém, chciwém spojrzeniem utonęły w twarzy Eliego.

— A Josiel? zapytał przeciągle.

— *Un* tobie Ręczyn ustąpi... jemu tam źle... *un* nie umie koło Ręczyna chodzić. Ty potrafisz...

Efroim głową skinął i białe zęby w uśmiechu dziwnie radosnym ukazał.

— A jak to może być? zapytał. Ile Josiel odstępnego chce? ile *un* tam jeszcze lat ma siedzieć?

— Ot jak to może być, rzekł Eli, ja tobie *tego* powiem. Chaja! *giéj* do dzieci, *oni* tam czegoś płaczą.

V.

— *Figuruj*, sobie tylko, moja duszo, jaką ja satysfakcyą w tych dniach miałam. Konio uprosił mię, abym do N. jechała, bo mu tam trzeba było jakiegoś zrzeczenia się z méj strony części majątku, przypadającéj mi po nieboszczyku mężu. Dlaczegóżbym zrzec się nie miała? jemu to do interesów potrzebném było, nie wiem już do jakich, bo ja do rzeczy podobnych nigdy inklinacyi nie miałam. Otóż pojechałam do N. z Różą, z Florą i naturalnie z Koniem. Figuruj sobie że odżyłam! Nie stolica to zapewne, ale zawsze gubernialne miasto, ludzie, ulice, domy murowane i teatr. Ach, teatr! pamiętasz, kochaneczko, jakeśmy to z tobą w teatrze warszawskim bywały, kiedyś tam, kiedyś, nim cię Kajetan odemnie porwał? Byłaś wtedy w żałobie po obojgu rodzicach, biédactwo! ale to nic nie szkodziło. Czarny kolor był ci zawsze do twarzy; ja cię nawet i teraz mam w podejrzeniu, filutko, że ubierasz się czarno, bo wiész, że ci z tém ładnie. Nazywali cię wtedy w Warszawie piękną sierotą, pamiętasz?.. A przypominasz sobie hrabiego Kalieksta?... przepadał za tobą i byłby się oświadczył z pewnością, gdybyś posag większy miała. A propos, figuruj sobie, ten poczciwy Łozowicz przyjeżdża do nas wczoraj i mówi do mnie *avec son air penché*: „widziałem przeszłéj niedzieli

w kościele pannę Lilią Orchowską. Jaka piękna czarna lilia!" Poczciwy Łozowicz! moję Florę porównał niegdyś do hesperyjskiego ogrodu, jak włożyła na głowę ten kapelusz, co to z Warszawy jéj sprowadziłam, z gałęzią dojrzałych czereśni, dwiema gałązkami winogron i marchewką ukrytą pomiędzy trzema jabłuszkami. Naiwny kapelusik, stosowny do jéj wieku, ma sie rozumiéć. Ale gdzie Lila? przy obiedzie jéj nie było i teraz nie przychodzi? gdzież moja czarna lilia?

Tak mówiła pani Malwina Ręczycowa, siedząc na kanapie obok gospodyni domu. Twarz jéj świéża, pomimo licznych zmarszczek, okrągła, pulchna, różowa, migotała uśmiéchem i połyskami siwych biegających oczów.

— Gdzie Lila? powtórzyła pytanie, rozkładając szeréj fałdy jasnéj sukni i poprawiając na ramionach szal niemniéj barwny, jaskrawo odbijający przy czarnéj w półzakonnéj szacie pani Leontyny.

— Lila, kochana ciociu, tak mi się dziś rozkaprysiła, że nie pozwoliłam jéj wyjść do gości. Tak jest gwałtowną... upartą...

— Rozrywek by jéj trzeba, duszo moja! przerwała pani Malwina, rozrywek koniecznie! Wierz mi, że niéma lepszego lekarstwa na kaprysy, upór, nieposłuszeństwo...

— Ja znowu sądzę, ciociu, że umartwienia ciała bywają bardzo zbawiennemi.

— Nie wierz w to, kochaneczko, nie wierz ani trochę! Umartwienia nigdy do niczego nie prowadzą. Pamiętasz jakeś po śmierci rodziców swoich przyjechała do mnie pod moją opiekę?... Byłaś smutna, zamyślona, zwyczajnie jak piękna sierotka. Nie miałaś wtedy więcéj jak lat 15.... ale ja cię prędko z melancholii wyleczyłam. Zaczęłam cię rozrywać.... pamiętasz?

Pani Leontyna westchnęła.

— To prawda, rzekła zcicha, młodość moja szczęśliwą była przy tobie, droga ciociu. Teraz zato czuję taką pustkę, taki żal jakiś niewytłumaczony, takie głębokie zniechęcenie do wszystkiego!

— Rozrywek, kochaneczko, rozrywek trzebaby ci koniecznie! Któż-bo widział, aby osoba tak młoda jak ty zerwała już ze światem.

Pani Leontyna podniosła twarz i wzruszyła ramionami.

— Ja młoda?

— A cóż, duszo moja, naturalnie, że młoda. Ileż ty możesz mieć lat? no... trzydzieści i jakich tam parę może.

— Kamil, ciociu, ukończył już lat 28.

— Ale co mówisz?.. napadła cię jakaś mania robienia się starą! Kamil nie ma więcéj jak lat 24.

— Cztéry lata już jak wrócił z uniwersytetu...

— A boście go w kołysce jeszcze do książki zaprzęgli. Ależ ja dobrze pamiętam.... Róża moja urodziła się w siedem lat po nim, a teraz ma rok siedemnasty, Flora zaś przyszła na świat we dwa lata później.... Zresztą co tam z temi latami!

Osoby, o których dwie panie nadmieniły w rozmowie, to jest Róża i Flora Ręczycówny i Kamil Orchowski, siedziały zdala od głównéj kanapy, na długim szezlągu. Kamil zajmował miéjsce pomiędzy dwiema siostrami, a postawa jego niedbała i twarz rozjaśniona okazywały, że mu w tém otoczeniu bardzo przyjemnie.

Róża i Flora były wcale ładnemi pannami. Kształty ich, okryte ubraniem prawie dziecięcém, zdradzały jednak zupełną dojrzałość i lekką skłonność do tycia. Z tem wszystkiém twarze białe i zaokrąglone, usta pąsowe, oczy błękitne,

ramiona pulchne, przeglądające z za niewinnie przykrojonych muślinów, czyniły powierzchowność ich dość ponętną. Obie obchodziły się z siedzącym pomiędzy niemi kuzynkiem z pokrewieńską poufałością i uprzejmością szczególną. Ta tylko w obejściu się ich zachodziła różnica, że Róża siedziała poważnie, spoglądała z zamyśleniem, przemawiała powoli i z głębokim jakby namysłem; Flora zaś trzpiotała się, białemi ząbkami co chwila w głośnym śmiechu błyskała, wachlarzem uderzała kuzyna po ramieniu i z pod sukni po dziecinnemu niedotykającéj ziemi zalotnie wysuwała nóżkę niezbyt zgrabną, ale wytwornie obutą. Trudno było na pierwszy rzut oka odgadnąć, czy różnica ta w znajdowaniu się dwóch panien pochodziła z rzeczywiście różnych ich temperamentów, czy też była skutkiem obmyślonéj z góry taktyki Kamil przechylał się widocznie ku stronie żwawszéj i weselszéj. Patrzył w twarz Flory oczami rozpromienionemi, żywą znać uczuwaną przyjemnością.

— Czy kuzyn ma u siebie książkę pod tytułem *Dieu et la nature?* przemówiła Róża. Ja zaczęłam teraz ją czytać..

— Zbyt poważna to rzecz dla pięknéj kobiécéj główki, zaśmiał się Kamil.

— O nie! ja tak lubię czytać!.. odparła Róża.

Kamil patrzył na rączkę Flory, uwijającą się z wachlarzem około jego ramienia.

— Zkąd masz ten pierścionek kuzynko?

— Który?

— Ten z turkusem.

— Proszę zgadnąć.

— Zkądże mogę wiedzieć?

— Od narzeczonego.

— Którego nie masz?

— Właśnie że mam. Zaręczyłam się wczoraj.

— To być nie może.

— Dlaczego?

— Ja na to nie pozwolę!

Ostatnie słowa Kamil wymówił zcicha, pochwycił zarazem rączkę z wachlarzem i przytrzymał ją w swojéj ręce. Flora zarumieniła się gwałtownie; chciała zaśmiać się, ale nie mogła. Westchnęła zato, a lubo znać było, że skryć to westchnienie usiłowała, Kamil je dostrzegł i uśmiechając się ciągle, pochylony nieco, spojrzał głęboko w zmącone w téj chwili jéj oczy.

Wachlarz Róży zaszeleścił rozgłośnie.

— Jak ci się podoba, kuzynie, dzieło Buckla? zapytała.

— Nie znam go, odparł Kamil, niezadowolony że pytanie to zmusiło go do wypuszczenia z dłoni ręki Flory i odwrócenia wzroku od spłonionych jéj jagód.

— Jak można nie znać tak pięknego dzieła! Mama sprowadziła je niedawno dla mnie.

— Figuruj sobie, kuzynie, że ja dla téj małéj muszę ogromne wydatki na książki ponosić, odezwała się z kanapy pani Malwina; Róża przepada za *lekturą...* stosowną do swego wieku, ma się rozumieć.

— O, ja bez czytania żyćbym nie mogła! rzekła Róża.

— Tak piękne oczy jak twoje, kuzynko, nie powinny trudzić się wyczytywaniem brzydkich drukowanych liter szepnął do starszéj siostry Kamil.

— A jednak, odpowiedziała, okrywając go powłóczystém spojrzeniem, sam wiele umysłowo pracujesz kuzynie.

— Tak piękne oczy, powtórzył Kamil, jeżeli już czytać koniecznie mają, to powinny czytywać o miłości....

— Kuzynie! zawołała Flora, bądź tak grzeczny i zapnij mi bransoletę... o mało jéj nie zgubiłam,

Pani Malwina, rozmawiając wciąż z gospodynią domu bardzo żywo i bezładnie, częste spojrzenia rzucała w stronę szezląga i siedzących na nim osób. Znać było, że widziała i słyszała wszystko, co działo się tam i mówiło. Siwe, ruchliwe jéj oczy, zwracając się w tę stronę, nabiérały wyrazu pewnéj przenikliwości, a w uśmiechu, którego przeważną cechą była prostota i zalotność, zjawiała się linijka jakaś krzywa, przebiegła, filuterna.

— Żebyś wiedziała moja duszo, jakie sklepy powstały teraz w N. Fiu! fiu!.. Ale czy ty teraz wiész o czém, co się dzieje na świecie? Pamiętasz jakeśmy niegdyś razem jeździły po magazynach? Byłaś już dawno mężatką, kiedyśmy sprawiły sobie te pąsowe beduiny, pamiętasz? Ty w swojéj wyglądałaś jak Cyganka, a o mnie mówili, że nabieram w niéj charakteru Szkotki... Karwoni powiększył skład swój galanteryjny i śliczne ma drobiazgi. Kupiłam ich trochę i przywiozłam tu z sobą, aby ci je pokazać. Panno Michalino! bądź pani tak grzeczną i powiédz tam komu w przedpokoju, aby mi z powozu przynieśli mój worek podróżny i dwa kartonowe pudełka.

Na wezwanie to pod oknem powstała szczupła, z bladą twarzą kobiéta. Młodą była, więcéj niż lat 22 miéć nie mogła, ale ani w rysach jéj powleczonych cerą znużoną, ani w postaci przyodzianéj sukienką wełnianą, ciemną, nie było uśmiéchów i ożywienia młodości. Kasztanowate włosy bujne i jedwabiste, zaczesane gładko nad kształtném jéj czołem, opadały z tyłu dwoma poprostu splecionemi i ułożonemi warkoczami.

Szła przez salon krokiem lekkim, szybkim i dość

wdzięcznym, choć trochę nieśmiałym. Głowa jéj była pochylona, a oczy ukryte za spuszczonemi powiekami. Niebawem wróciła i usiadła na dawném miéjscu przy oknie, niczyjéj nie zwracając uwagi i na nikogo nie podnosząc oczu. W parę minut potém ukazał się lokaj, dźwigający wielki wór włóczką wyszywany i parę kartonowych pudełek.

Pani Malwina rękę białą, pulchną, mnóstwem pierścionków świecącą, zapuszczała we wnętrze worka.

— Zobacz tylko, moja duszo, te antuanetki! biała z pąsowém, popielata z błękitném, liliowa w cień... a krawaty teraźniejsze damskie widziałaś? Gdzie tam! ty biedaczko w habicie chodzisz! Z *crêpe de Chine!* medaliony emaliowane... pamiętasz jaką furorę robiłyśmy kiedyś na balu u K...ów naszemi medalionami w kształcie katedry kolońskiéj?.. Tu turkus, a tu szmaragd.. dla Flory z perełkami... stosownie do jéj wieku, ma się rozumieć.

Pani Leontyna oglądała ukazywane sobie przedmioty najróżnorodniejszéj natury i najróżniejszego smaku z zajęciem większem, niż można się było spodziewać po jéj surowéj powierzchowności i wyrzeczeniu się wszelkich błahostek światowych.

— Na cóż ciocia kupiła te igielniki? aż osiem! Nie widziałam nigdy żeby ciocia szyła cokolwiek.

— A cóż to szkodzi, kochaneczko, cóż to szkodzi? niech sobie będą! Widzisz jakie ładne! Ten mosiężny a świeci jak złoto! a ten błękitny, jakby z turkusu rznięty. Nic prawie nie kosztują, po parę rubli każdy... dwa razy osiem szesnaście. Pamiętasz jak to pan Julian wyśmiewał nas kiedyś za to, że rachować nie umiemy... mówił że drobiazgi najbardziéj rujnują... ale nie wierz w to, moja duszo, nie wierz ani trochę. Ci panowie są czasem wielkimi pedantami....

Oto lusterko w srebrnych ramkach... *presse papier* marmurowe i pieczątki emblematyczne.

W téj właśnie chwili, gdy pani Malwina ustawiała na stole parę tuzinów pudełeczek i otwierając je z kolei, pokazywała pani Leontynie pieczątki z bukietami, barankami, motylami, pasterzami i innemi podobnemi godłami, otworzyły się ze stukiem drzwi saloniku i zarazem dały się słyszéć męzkim głosem wymówione wyrazy:

— Ależ kasztanka kuzyny zajeździli na nic! kuleje i zdaje się że nosacizny dostanie. Niech kuzyna jaknajprędzéj po weterynarza poszle, bo koń zmarnieje.

Słowa te wymówił młody, około trzydziestoletni człowiek, dość wysoki, dość szczupły, w spencerze i dalszém ubraniu sporządzone z materyału w wielkie kraty szare, na tle ciemno-zielonem. Zbudowany był dobrze, ruchy miał niezgrabne, zamaszyste, rysy twarzy dość prawidłowe i oczy pięknie wykrojone z ciemną, żywo błyszczącą źrenicą.

Na widok wchodzącego kuzyna, Kamil wstał z szezląga i z ironicznym uśmiechem, który często gościł na jego ustach, położył rękę na ramieniu młodego człowieka.

— Konrad, rzekł, zwiédził już nasze stajnie, i ręczę że miałby wielką ochotę pójść na łąkę, gdzie obecnie znajduje się stadnina.

— Figuruj, sobie moja duszo, zwróciła się do gospodyni domu pani Malwina, że Konio kupił w N. dwa śliczne *gris-pommelés*.. Jak tylko przyszlą mi z Warszawy kabryolet, który sobie ztamtąd od Rentla wypisałam, przyjadę nim po ciebie.

— Czy wiész, Kamilu, zawołał Konrad, że jak Boga kocham twoje dwa siwki akurat jakby stworzone do tych, które ja teraz w N. kupiłem... Wiész co? handlujmy: dam

ci swego kasztana... masztalerz właśnie przyjechał tu na nim...i karosza tego, wiész, co to z żelwiańskiego jarmarku..

— Ależ ja końmi nie handluję i trzymam je tylko dla własnéj wygody, śmiejąc się, przerwał Kamil.

— Figuruj sobie, kochaneczko, zaśmiała się pani Malwina, że u nas na stajni 20 koni stoi... Konio ma taką pasyą do tych zwierząt, a ja z niego żartuję czasem, że *un jour* tyle ich będzie, iż dla nas miejsca w Ręczynie zbraknie.

— No! Kamilu! nalegał Konrad — pójdźmy do stajni.

Kamil brał za czapkę.

— Bardzo to grzecznie dla jakichś tam koni opuszczać nasze towarzystwo, szepnęła z wymówką Flora.

— Interesa przedewszystkiém, żartobliwie odparł Kamil i ciszéj dodał: postarem się wrócić jak najprędzéj.

Wyszli. Dwie panny powstały z szezląga i zmierzały ku drzwiom od ogrodu.

Panno Michalino, ozwała się pani Malwina, bądźże tak grzeczną i idź do ogrodu z memi córkami. Obserwuj szczególniéj Florę; ona taka żywa i roztrzepana, stosownie do swego wieku, ma się rozumiéć.

Młoda dziewczyna w wełnianéj ciemnéj sukni, z bladą twarzą i grubemi warkoczami, podniosła się znowu z pod okna i lekkim swoim, cichym krokiem postąpiła za odchodzącemi pannami. Pani Malwina ścigała ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła za oszklonemi drzwiami sali.

— Ambaras mam, moja duszo, z tą dziewczyną, rzekła po chwili. Żadnéj maniery, idee dziwne, oryginał! Boję się żeby mi oryginalnością swoją Róży i Flory nie zaraziła. Do młodych wszystko lgnie...

— Dlaczegóż ją ciocia trzyma? zapytała pani Leontyna.

— A ot widzisz, duszo moja, rzecz jest taka. Znasz Szyłłę, *ce pauvre diable*, plenipotenta z N?. Zdaje się że on i wam pomaga w interesach... Szyłło jest plenipotentem Konia... młodych ludzi nudzą interesa, nie można od nich wymagać aby byli statystami... Konio winien Szylle bagatelę... cóś około półtora tysiąca rubli zdaje się... za plenipotencyą, zastępstwa jakieś... nie wiem już za co, bo nudzi mię to śmiertelnie... Ale czasy ciężkie, wiész moja duszo, płacić długi trudno.. Ta Michalina to synowica Szyłły, wzięłam ją z jego domu...

— Ciocia więc oddalić jéj nie chce, z powodu jéj stryja?

— A tak, tak, duszo moja. Czasy to już takie, że musiémy obchodzić się z tymi ludźmi jak z ogniem.... Gdyby ją tak można z domu do domu gdzie ulokować, byłoby gładziéj... bo koniec końców, jemu to musi być wszystko jedno gdzie ona jest, byle u niego nie była... ale tak odsyłać...

Pani Leontyna zamyśliła się.

— O czem tak dumasz? zapytała pani Malwina.

— Myślałam w téj chwili o tém, że mogłabym ją wziąć dla Lili.

— Jakto, chciałabyś ją wziąć do siebie? Ach, prawda, przypominam sobie żem spotkała odjeżdżającą twoję pannę Julią. Odprawiłaś ją?

— Odprawiłam.

— Ach! duszo moja, a ja ci jéj zawsze tak zazdrościłam.

— Dlaczego, ciociu?

— Nazywała się Grejs.

Na to niespodziane oświadczenie pani Leontyna po-

mimo całéj zwyczajnéj sobie obojętności, z niejakim zdziwieniem na mówiącą spojrzała.

— Cóż ztąd ciociu?

— Grejs, Grejs, kochaneczko, to brzmi niby coś zagranicznego, a przytem jakie ona miała maniery!

— Nie mogłam trzymać jéj dłużéj. Nie mam szczęścia do guwernantek. Lila uczy się od lat siedmiu, a nauczycielek dla niéj zmieniłam już z osiem... Żadna dłużéj nad dziesięć miesięcy nie była. To to, to owo. Jednéj nudno, druga religii nie ma, trzecia trywialna, czwarta romansowa... słowem biédę mam z tém taką, że mi to nawet nie raz w modlitwie dystrakcyą sprawia. O te matki! te matki! ile one cierpiéć muszą, ile przenieść trosk, niepokojów. przykrości!...

— Bo nie bierz sobie tak do serca tego wszystkiego, duszo moja.. Pomiędzy nami mówiąc, o co tu tak bardzo iść może? Na guwernantki przecież córek swoich nie kierujemy... Trochę więcéj, czy trochę mniéj będą umiały, to wszystko jedno.

— Prawda, ciociu; ależ znowu trudno abym Lilę zostawiła bez nauczycielki.... świat by mię zakrzyczał, że zaniedbują jéj edukacyą...

— A no to bierz Michalinę odemnie. Wiész co, zrobisz mi tém nawet wielką łaskę.. Mam okazyą wziąść teraz do Flory Francuzkę... figuruj sobie tylko, Francuzkę rodowitą... jest tu w sąsiedztwie. Odprawiają ją, bo edukacyą panny skończyła; mogłabym ją wziąść, ale ta mi na głowie.

— Pani Leontyna myślała jeszcze chwilę.

A więc niech ciocia bierze sobie tamtę Francuzkę, a ja pannę Szyłło dla Lili zaangażuję, jeżeli ona zgodzi się na to.

— A dla czegóż nie ma zgodzić się? duszo moja. Alboż to może jeszcze wybierać? Byle kawałek chleba miała. Ot wiész umówcie się i ja ci ją dziś zaraz tu zostawię.

W téj chwili trzy panny wróciły z ogrodu, a jednocześnie innemi drzwiami wszedł Kamil.

— Sprzedałem Konradowi swoje siwki, rzekł młody Orchowski, zbliżając się do kobiét.

Pani Malwina uderzyła w białe dłonie.

— Ach! zawołała, Konio ma taką pasyą do tych zwierząt... Ale gdzież on się podział?

— Poszedł na łąkę, aby stadninę naszę obejrzeć.

Pani Leontyna z niezadowoleniem patrzyła na syna.

— Nie wiedziałam dotąd, że lubisz podobne afery... zaczęła.

Ale Kamil zajęty już był dwiema kuzynkami, a raczéj jedną z nich młodszą.

Pani Malwina mrugnęła ku gospodyni domu, na znak porozumienia, i zwróciła się do guwernantki, która stojąc u okna, zapuszczała wzrok w bujną cienistą gęstwinę ogrodu.

— Niech panna Michalina przejdzie z nami do saloniku.

Podniosła się z kanapy żywa, fertyczna, jakkolwiek otyła trochę, a z nią powstała gospodyni domu. Guwernantkę wezwanie, chociaż niespodziane, nie zdawało się dziwić; przywykła być wzywaną, oddalaną, posyłaną bez żadnéj widocznéj dla niéj przyczyny. Milcząca jak zwykle, przestąpiła we wskazanym kierunku.

Trzy kobiéty stanęły w wielkiéj sali pod oknem. Na tle mętnéj szyby zarysował się profil młodéj dziewczyny, blady, nieruchomy, o ustach ściśniętych i spuszczonych oczach, Naprzeciw stanęła pani Malwina i żywo gestykulując rę-

ką, w puszysty wachlarz uzbrojoną, szybko a długo przemawiała to do gospodyni domu, to do guwernantki.

Pani Leontyna wtrącała też kiedy niekiedy słów parę; potém obie panie umilkły i pytającym wzrokiem patrzyły na guwernantkę.

W wyrazie twarzy młodéj dziewczyny nie było ani zdziwienia, ani zasmucenia, ani uradowania. Przez jedno mgnienie oka tylko zdawać się mogło, że doświadczyła uczucia przestrachu najprzód, potem ulgi. Przestrach zjawił się na twarzy jéj wtedy, gdy pani Malwina oświadczyła, iż dłużéj jéj trzymać u siebie nie będzie; ulgi zaś doznała słysząc że pani Orchowska ofiaruje jéj miejsce w swoim domu. Pochyliła głowę, na znak zgodzenia się. Pani Leontyna wyciągnęła rękę i końcami palców dotknęła jéj dłoni.

— Panna Michalina dziś już zostać może w Orchowie, mówiła pani Malwina, wracając do saloniku. Rzeczy odeszlę zaraz... do Ręczyna mamy godzinę drogi..

— Może pani wolałabyś dziś jeszcze wrócić do Ręczyna? zapytała gospodyni domu.

— Uczynię takjak pani zechce, odpowiedziała guwernantka.

Głos jéj miał brzmienie czyste, łagodne, stłumione nieco. Czuć w nim było zupełną obojętność. Mogła jechać tam, lub pozostać tu, wedle woli tych, u których znajdowała schronienie i zarobek. Posiadała znać długie i gorzkie doświadczenie tułaczki. Żadne miejsce nie nęciło jéj zbytecznie, po żadném nie obiecywała sobie więcéj, prócz—dachu i kawałka chleba.

W kilka chwil potém całe towarzystwo zajęte było herbatą i konfiturami, które właśnie lokaj wniósł do saloniku. Przybory porcelanowe i kryształowe stały na tacach sré-

brnych. Były to zabytki dawnych, lepszych czasów, poszczerbione nieco tu i owdzie, lub śniedzią zaszłe, wcale jednak okazale jeszcze wyglądające. Lokaj który przyniósł herbatę, zatrzymał się u drzwi. Miał na sobie liberyjny surdut, wytarty trochę, ale zawsze liberyjny. Pani Leontyna, od lat dziesięciu dopiéro zacząwszy wyrzekać się próżności światowych i marności ziemskich, nie miała jeszcze czasu wyrzec się ich w zupełności.

Było już po zachodzie słońca, kiedy rodzina Ręczyców opuszczała Orchów. Kocz zaprzęgnięty w sześć koni wytoczył się za bramę i cztery rozgłośne klaśnięcia z bata rozległy się w powietrzu. Tym razem jednak stangret już powoził panią Malwinę i jéj córki, Konrad zaś jechał konno przed, a masztalerz za powozem. Za masztalerzem chłopiec stajenny prowadził dwa nabyte od Kamila siwe konie. Długi ten orszak okrążył znowu nizkie ogrodzenie folwarcznego dziedzińca, ale nikt już nań, jak wprzódy ciekawych nie rzucał spojrzeń. Przed starą oficyną wysypała się liczna gromada włościan, mężczyzn i kobiet, z sierpami, kosami lub grabiami. Na ganku stał Efroim, z dużym workiem napełnionym drobną miedzianą monetą. Wyjmował pieniądze, liczył je i rozdawał zbliżającym się doń z kolei włościanom. Na ławce rzędem ustawiono butelki z wódką. Chaja i Efroimowa, z cynowemi czarkami w rękach, krążyły pomiędzy gromadą. Włościanie pili, zapłatę za dzień roboty brali i w poufały, żartobliwy sposób gwarzyli z dwiema żydówkami, które odpowiadały im i same często ich zaczepiały, łamanym polsko-rusińskim językiem. Efroim umawiał robotników na dzień jutrzejszy i na długi szereg dni następnych. W oknie oficyny migotało się słabe światełko.

Na kanapie, przy czarnym stole, siedział Eli. Przed

nim leżała roztwarta księga rachunkowa i żółta łojówka paliła się w lichtarzu mosiężnym, zaśniedziałym, niewidzialnym prawie pod warstwą zastygłego na nim łoju. Eli kreślił w książce z prawa w lewo rzędy cyfr i liter kruczkowatych, zygzagowatych dla niepoświęconego oka przedstawiających nieodgadnięte hieroglify. Pisał z namysłem powoli, chwilami podnosił głowę i przysłuchiwał się rozmawiającym nazewnątrz głosom włościan i Żydów. Czuwał znać pilnie nad czynnościami Efroima, nad dokonywanemi wypłatami i zawiéranemi umowami. W cieniu pod ścianą troje dzieci spało w koszach z łozy uplecionych; Abramek bosy, w spencerku bez rękawów i jarmułce na głowie, siedział skurczony w kącie na ziemi, z sennemi oczami i otwartą gębą; w przyległéj izbie, przy świetle zapalonego i za belkę sufitu zatkniętego łuczywa, rozczochrana dziewczyna nakrywała stół szarą szmatą płótna i umieszczała na nim misę krupniku z kartoflami, kilka wyszczerbionych talérzy, cynowe łyżki, trochę pokrajanéj surowéj cébuli, szczyptę soli w papiérku i bochenek razowego chléba. Była-to codzienna wieczerza dwóch rodzin żydowskich. Wprawdzie na szafie w pierwszéj izbie stał spory samowar mosiężny, przedstawiający jedyny sprzęt zupełnie czysty, jaki znajdował się w tém mieszkaniu, ale ten widocznie był tu przedmiotem, w szczególnych tylko okolicznościach używanym.

W domu głównym tymczasem, po odjeździe gości, pani Leontyna znalazła się na chwilę sam na sam z synem.

— Nie jestem wcale rada, Kamilu, z twojéj dzisiejszéj afery z Konradem—rzekła. Ten chłopak i bez tego ruinuje się na konie...

Kamil siedział w niedbałéj postawie na tym samym

szelągu na którym tak wesołą rozmowę prowadził z kuzynkami.

— A dla czegóż ruinuje się, rzekł z drwiącym uśmiechem. Któż mu zabrania mieć głowę na karku?

— Taką on ma głowę jak i inni spokojnie odparła matka; ale jako młody człowiek, może oddawać się pewnym pasyom...

— A więc niech się im nie oddaje. Co do mnie, nie widzę dlaczego miałbym nie sprzedać mu koni, które są mi prawie niepotrzebne, a za które zapłacił mi półtora raza tyle, ile były warte.

— Kamilu! zawołała pani Leontyna, słuchając cię, możnaby sądzić, że to nie Kamil Orchowski, ale jakiś handlarz przemawia.

Kamil wzruszył ramionami.

— Moja mamo, rzekł— ja trzymam się tylko pojęcia, które stanowi podstawową zasadę społecznego gospodarstwa. Wymiana powinna być wolną. Nie idzie o to jaką jest zwykła cena przedmiotu na targu, ale o to, jaką cenę względną przywiązuje do przedmiotu tego ktoś pragnący go nabyć. Głos ludzki naprzykład jest zasobem naturalnym, stałéj ceny nie posiada żadnéj, a jednak śpiewaczka obdarzona pięknem *soprano*, otrzymuje zapłatę ogromną, będącą w stosunku nie do rzeczywistéj wartości jéj śpiewu, któréj określić niepodobna, ale do wartości jaką do niego przywiązują ludzie spragnieni muzykalnych wrażeń. Pisał o tém Bastiat w swoich Harmoniach. Wszelka wymiana dobrowolnie dokonana, uwalnia od jakiegokolwiekbądź zarzutu strony, które ją zawarły.

Tyrady téj wysłuchała pani Leontyna w milczeniu, stojąc z brwią ściągniętą i spuszczonemi oczami. Gdy Ka-

mil przestał mówić, westchnęła, wzniosła oczy w górę, jakby gorące błaganie zasyłała do nieba i—odeszła.

Lila, uśpiona zrazu w pokoju matki, resztę wieczora przepędziła z ładną Brygisią, siedząc w garderobie na małym stołeczku, z łokciami opartemi o kolana i rękami zapuszczonemi we włosy.

— Mama myśli, że bardzo mię ukarała, nie pozwalając mi wychodzić do gości, mówiła; co mi po gościach, co po świecie całym, kiedy mojéj najdroższéj panny Julii niéma!

I zanosiła się namiętnym spazmatycznym płaczem.

— Niech się panienka uspokoi; mama usłyszy—napominała Brygisia.

— Niech usłyszy—już mię teraz nic nie obchodzi. Ja tego nie przeżyję! téj nocy umrę!

— Jeżeli panienka będzie tak ciągle płakała, to oczy panienki od łez zupełnie spłowieją.

Lila odjęła chustkę od oczu i mocowała się ze łzami, aby je powstrzymać.

— Pamiętaj, Brygisiu, mówiła daléj, łkając, jak ja umrę, to powiédz mamie ostatnią moję wolę. Chcę być pochowaną w białéj muślinowéj sukni. Niech mi włosy w długie loki uczeszą, pomiędzy włosami dwie białe róże.. nie, jednę różową, drugą białą.. a na piersi niech mi położą fotografią panny Julii... O moja droga, moja złota panna Julia!

Nieprędko dopiéro Brygisia z wielkim trudem zdołała uprosić ją, namówić, aby poszła do swego pokoju, gdzie oczekiwała na nią nowa guwernantka. Ociągając się z twarzą nadąsaną i od płaczu obrzękłą, Lila stanęła w progu pokoju, w którym jedna świeca paliła się na stole, a druga stała na posadzce, pomiędzo małym skórzanym tłómoczkiem,

a znacznie większém drewnianém pudłem. Były to rzeczy guwernantki, przed chwilą przybyłe z Ręczyna. Tłomoczek leżał zamknięty jeszcze, nietknięty, ale pudło drewniane było otwarte. Guwernantka pochylała się nad niem i wyjmując z niego książki różnej wielkości, w okładkach prostych po większéj części, zniszczonych, układała je na półkach niewielkiéj oszklonéj szafki. Czynność tę spełniała cicho, spokojnie, ale z pewną systematycznością, objawiającą zamiłowanie.

Na widok książek jaśniejszy promień strzelił z załzawionych i gniewnych oczu Lili. Zbliżyła się do guwernantki, która wejścia jéj nie spostrzegła, i głosem ochrypłym od płaczu i krzyku wyrzekła cicho: „dobry wieczór pani!"

Guwernantka podniosła głowę i ogarnęła ją długiém spojrzeniem. Po spuszczonych najczęściéj, nieśmiałych jéj oczach nigdy spodziewać się nie było można, aby umiały patrzyć tak uważnie, badawczo, przenikliwie niemal. Z przenikliwością tą jednak łączyła się łagodność i prośba jakby mimowolna o życzliwość, o zaufanie.

— Dobry wieczór ci, moje dziecię! odrzekła głosem, w którego zniżonych dźwiękach czuć było pierś nieprzywykłą do głośnego, śmiałego mówienia.

— Czy można przéjrzeć te książki? zapytała Lila.

— I owszem będziemy je razem czytywały.

Odpowiedź ta osuszyła ostatnią łzę wiszącą na rzęsie Lili. Zbliżyła się do szafki, w któréj znajdowało się już kilkanaście tomów. Brała je jeden po drugiem, ale rzuciwszy okiem na tytuł, kładła je napowrót do szafki tak pospiesznie i z takim wyrazem twarzy jakby parzyły jéj palce. Pierwszy tom nosił tytuł: *Biblioteczka popularna nauk przyrodniczych*, drugi: *Zarys, dziejów powszechnych*, trzeci: *Gramatyka polska*

Maleckiego, czwarty: *Wyższy kurs geografii.* Wszystkie inne polskie i francuzkie tytuły były podobnego rodzaju. Lila osunęła się przy szafce na ziemię, zakryła twarz dłońmi i znowu zcicha płakać zaczęła.

W téj chwili weszła do pokoju pani Leontyna.

— Spodziewam się, rzekła, zwrócona do guwernantki, że pannie Michalinie będzie tu wygodnie; jeżelibyś pani potrzebowała czego, proszę udać się do mnie.

Były to słowa sakramentalne, towarzyszące instalacyi każdéj osoby świeżo do domu przybywającéj.

Guwernantka skłoniła się w milczeniu. Pani Leontyna powiodła oczami dokoła; wzrok jéj zatrzymał się na książkach.

— Czy wszystkie te książki do panny Michaliny należą?

— Tak, pani.

Oczy pani Leontyny wyrażały pewne zdziwienie.

— Nabycie ich musiało p. Michalinę wiele kosztować.

Guwernantka podniosła na mówiącą spojrzenie spokojne.

— Jestto jedyny mój majątek, odrzekła.

Pani Leontyna skłoniła głową pobłażliwie.

— Pójdź teraz, odmówić ze mną wieczorne pacierze— rzekła do córki, zwracając się ku drzwiom.

W godzinę potém Lila leżała już rozebrana w pościeli. Zdawało się z pozoru, że spała; w rzeczy saméj jednak z pod przymrużonéj, obrzękłéj od łez powieki ścigała bacznie wszystkie poruszenia nowéj swéj guwernantki.

Michalina zdjęła z siebie wązką wełnianą suknię, włożyła natomiast biały kaftanik perkalowy i wyjęła parę podwójnych szpilek z warkoczów, które lśniące, jedwabiste opadały jéj na plecy długiemi zwojami. Potém wyjęła z teki gruby, w połowie zapisany zeszyt, położyła przy nim parę

książek, a zasłoniwszy świécę od strony łóżka Lili naprędce sporządzoną z papiéru zasłonką, usiadła przy stole.

Pisała, spoglądała co chwilę w książkę i znów pisała, podnosiła głowę i namyślała się. Lila patrzyła na nią otwartemi oczami. Twarzy nauczycielki, za zasłonką ukrytéj, widzieć nie mogła, ale widziała rękę jednę przerzucającą od czasu do czasu karty książki, i drugą biegającą z piórem po papierze. Ciekawość ją zdjęła wielka. Zsunęła się z łóżka i leciuchno, na palcach, najlżejszego nie czyniąc szelestu, przebiegła przestrzeń dzielącą łóżko od stołu. Stanęła za plecami guwernantki, pogrążonéj w swem zajęciu, i z gorączkową prawie ciekawością spojrzała przez ramię jéj na książki roztwarte, na zeszyt. Śród wierszy zapełniających stronice książki pochwyciła oczami kilka cyfr i nazwisk, wyrażających widocznie historyczne daty i wypadki. Guwernantka pisała znać historyczne jakieś ćwiczenie.

— Co to pani takiego robi? zapytała głośno Lila.

Niespodzianie odzywający się z za ramienia jéj głos nie przestraszył guwernantki, ani zadziwił. Podniosła głowę i zawieszając pióro nad papiérem, zwróciła ku Lili twarz, która wcale inaczéj wyglądała teraz, jak we dnie. Policzki jéj były lekko zaróżowione, a ciemne źrenice wydawały się pełnemi promieni.

— Co pani robi? powtórzyła pytanie Lila, ciekawemi oczami pożérając książkę i zeszyt.

— Uczę się, z uśmiéchem odpowiedziała guwernantka.

— Pani uczy się? ach, mój Boże! czyż pani jesteś dziecko, żeby się jeszcze uczyć? Jesteś pani przecie osobą dorosłą i nauczycielką!

Michalina ujęła ją zwolna za rękę.

— Późniéj, rzekła, wytłumaczę ci to, co cię tak zadziwia — teraz idź spać.

— Nie chce mi się spać wcale, odparła Lila ze zwykłym sobie odcieniem uporu w głosie.

— Jeżeli położysz się i leżéć będziesz spokojnie, uśniesz niebawem. Człowiek powinien czasem przezwyciężać swe chęci i czynić nie tak jak chce, ale tak jak mu wskazuje rozsądek.

— Rozsądek? nie cierpię rozsądku! Cóż zresztą rozsądek ma do mojego spania?

— To, że bezsenność szkodliwą jest w twoim wieku. Jeżeli będziesz usypiała późno, wzrośniesz na istotę słabowitą, wątłą, niezdrową...

— A cóż to szkodzi? Chciałabym właśnie być wątłą i słabowitą... To daleko ładniéj, aniżeli miéć grubą figurę i twarz czerwoną.

— Ładniéj... nie wiem... zależy to od gustu, ale szkodliwie z pewnością. Człowiek słabowity, zawsze chory, nie może być ani użytecznym, ani szczęśliwym.

Zmieszana nieco stanowczym choć łagodnym tonem guwernantki, lecz więcéj jeszcze obrażona, a najbardziéj zmartwiona, Lila wróciła do łóżka. Po kilku minutach jednak podniosła znowu głowę z nad poduszki.

— Jeżeli bezsenność jest tak szkodliwą, rzekła, pocóż pani sama uczysz się po nocach?

— Ja, odpowiedziała guwernantka, muszę... powinnam.

— Ciekawam bardzo jaka to może być powinność! sarknęło z łóżka dziewczę.

— Powiem ci o tém późniéj, teraz śpij! Lila gniewném poruszeniem zatopiła głowę w poduszki, a spojrzawszy wypadkiem na łóżko nauczycielki, które przypomniało jéj ukochaną pannę Julią, zaniosła się znowu płaczem gwałtownym, choć na ten raz cichym.

VI.

Od dnia przybycia do Orchowa nowéj nauczycielki minęło parę tygodni.

W pokoju Lili przy stole siedziały: nauczycielka, zajęta poprawianiem niekształtnego, kapryśnego pisma uczennicy i Lila, kołysząca się niedbale w staroświeckiém krześle na biegunach i roztargnionemi oczami dokoła pokoju wiodąca.

Do sąsiedniego saloniku wszedł Mieczysław Orchowski, a ujrzawszy przez drzwi nawpół otwarte siostrę swą siedzącą wraz z nauczycielką nad książkami i zeszytami, niepostrzeżony przez dwie kobiéty usiadł na szezlągu, z gazetą w ręku. Zrazu pogrążył się całkiem w czytaniu, najmniéjszéj nie zwracając uwagi na to, co działo się w sąsiednim pokoju.

— Panno Michalino, po chwili, tłumiąc poziewanie, ozwała się Lila, czy pani kochała kiedy kogo, choć raz w życiu?

Słowa te dosięgły znać uszu Mieczysława; uśmiechnął się i podnosząc wzrok na twarz nauczycielki, profilem do niego zwróconą, szepnął: „Ciekawym!”

Młoda dziewczyna przez chwilę nie odpowiadała. Blady profil jéj, ocieniony bogatym zwojem włosów, pochylał się wciąż nad zeszytem, ręka drobna, nieco sucha i ciemna, posuwała się zwolna z piórem po zapisanéj stronicy.

— Biedne stworzenie!

Dwa wyrazy te, nie wymówione wprawdzie, odmalowały się widocznie w wyrazie oczów Mieczysława.

Bieguny kołyszącego się krzesła głośniéj o posadzkę uderzyły; Lila niecierpliwiła się.

— Chciałabym bardzo wiedziéć, czy pani kochała kiedy kogo--powtórzyła.

— Naturalnie, odpowiedziała nauczycielka, głowy nie podnosząc i oczu od zeszytu nie odrywając, kochałam wiele rzeczy i wiele osób na świecie, i teraz kocham także.

— Oho! szepnął Mieczysław.

Lila pochyliła się żywo ku guwernantce.

— Kochasz pani? zawołała—o, jakże to dobrze! Kogo pani kochasz? powiedz mi pani, proszę, proszę, powiédz pod sekretem. Nikomu a nikomu nie powiem, jak mamę kocham!

Mówiła zcicha, z białym paluszkiem tajemniczo do pąsowych ust przyłożonym.

— Błaźnica! zcicha wymówił młody człowiek, coraz więcéj zaciekawiony.

— Pocóż tu tajemnica? spokojnie i nie przerywając roboty swéj odparła guwernantka. Kocham starą swą matkę, brata, który jest niemłodym także i bardzo nieszczęśliwym człowiekiem, rodzinę stryja, który mię wychował..

— Ech! z dźwiękiem srogiego zawodu w głosie zawołała Lila, ja pani nie o to pytałam. Czyż pani nikogo nie kochasz, oprócz matki, brata i stryja?

— I owszem, kocham świat i wiele rzeczy, które na nim istnieją.

— Ach! pani kochasz świat! westchnęło dziéwczę, to zupełnie tak jak ja... ja także tak kocham, kocham ten świat, tak tęsknię do niego, tak pragnę go zobaczyć!

— Zobaczyć? alboż go nie widzisz?

— Czy go widzę? mój Boże! Alboż w Orchowie, gdzie nikt prawie nie bywa, gdzie tak cicho zawsze, szaro, smutno, choć kawałeczek świata widziéć można? Gdzież ja go tu zobaczę?

— Wszędzie gdzie spojrzysz, powoli mówiła guwernantka. W książkach które opowiadają o dziejach ludzkości, lub w których ludzie uczeni opisali nam kraje nieznane, drogi i wielkości gwiazd o miliony mil od nas odległych. Widziéć świat możesz także na około siebie w postaci drzew, kwiatów, malowniczych krajobrazów, a przedewszystkiem otaczających cię ludzi—w postaci słowem wszystkiego, co istnieje w jakichkolwiek kształtach, choćby nawet nieożywionych, ale cząstkę świata stanowi i niezbędnie w nim jest potrzebném.

— Oh! rzekł do siebie Mieczysław, a oczy jego coraz uważniéjszem, ciekawszém spojrzeniem okrywały twarz nauczycielki.

Lila słuchała zrazu ze zdziwieniem, niby rzeczy całkiem obcych sobie, nieznanych; potém ziewnęła głośno.

— E! wszystko to nudne bardzo! rzekła, ja nie o takim świecie mówiłam. Oto ja teraz powiem pannie Michalinie co to jest świat. Świat jest to wielkie miasto.... ogrody publiczne, teatry gdzie wchodzi się do loży w sukni do gorsu, w kwiatach na głowie, a panowie którzy siedzą niżéj odwracają głowy i pytają się: kto to? kto to? To salo-

ny wielkie, wielkie, oświecone *a giorno*, a w nich pełno osób, muzyka, bal... Ach, bale! bale! Pamiętam ostatni, jaki był w Orchowie, dawno już temu; miałam wtedy lat pięć.. może sześć najwięcéj.... Mama była jeszcze młodą i w czarnéj sukni nie chodziła... i wié panna Michalina.... tu zniżyła głos i filuterną tajemniczą minką raptem prawie dodała: W mamie wtedy kochał się jeden pan, nie pamiętam już jak się nazywał, ale na imię było mu Leopold.... Tak kochał się w mamie, że cóś okropnego.. wszyscy to widzieli i o tém mówili... ja sama słyszałam...

— Lilo, z pośpiechem i lekkim rumieńcem na twarzy przerwała nauczycielka, o takich rzeczach tyś wcale mówić nie powinna.

— Dlaczego nie powinnam? zaśmiała się Lila, alboż ja taka skryta jestem, jak panna Michalina? Otóż na dowód że nie jestem skryta, powiem pani, tylko pod sekretem, pod wielkim sekretem, że mnie saméj rok temu któś podobał się bardzo, bardzo! Był to kolega Mieczysia... śliczne miał imię... Jarosław!.. Powiedział mi raz że nigdy takich pięknych oczów jak moje nie widział....

— Wszędzie *już* napisałaś przez *sz* zamiast przez *ż*, przerwała, patrząc ciągle na zeszyt, guwernantka. *Bóg* pisze się także przez *o* kréskowane, a *ręce* nie przez *en* a przez *ę*. Piszesz bardzo nieortograficznie, Lilo.

Dziewczyna lekceważąco ręką skinęła.

— Ciekawam bardzo, zaczęła znowu, dlaczego panna Michalina nie chce nigdy mówić ze mną o pewnych rzeczach?

— O jakich, Lilo?

— O tém naprzykład, jak będę już dorosłą panną, jak mię ktoś pokocha, jak ja kogóś pokocham i jak wyjdę

za mąż. Przecież wszyscy mówią zawsze, że przeznaczeniem kobiéty jest wyjść za mąż, a ja, spodziewam się nie pójdę inaczéj jak z miłości... Czyż więc nie jest to także rzecz dobra i ważna?

— Zapewne, odpowiedziała guwernantka, miłość poprzedzająca małżeństwo jest rzeczą dobrą i ważną; abyś jednak zrozumiała jakie jest jéj znaczenie, powinnaś wprzód o wielu innych rzeczach wiedzieć, wiele innych znać i kochać.

Lila milczała chwilę, a potem rzekła:

— Już ja tego doprawdy wcale nie pojmuję.

— Czego, Lilo?

— Jak to można kochać taką naprzykład rzecz jak kraj? Cóż to takiego ten kraj?.. ziemia i koniec. Czyż można kochać ziemię? Albo jak to można kochać wszystkich ludzi i jak mi pani wczoraj mówiła, szczególniéj tych którzy cierpią? Już też zapewne jak spotkam kiedy żebraka, to daję mu zawsze cokolwiek; ale kochać żebraków.... I jakich że tam więcéj ludzi kochaćby można? Sąsiedzi nasi? No, zapewne niektórzy są dość mili, ale inni znów nieznośni. Zresztą cóż? chłopi... tacy grubi, nieobyczajni, brzydko ubrani!—Żydzi.... niechrześcianie....

— Kochać trzeba także i niechrześcian.

W téj chwili właśnie, gdy guwernantka wymawiała ostatnie słowa, z głębi domu weszła do sąsiedniego saloniku pani Leontyna. Zatrzymała się nieco w progu pokoju córki, poczém szybciéj niż to było w jéj zwyczaju przystąpiła do stołu.

— Niech Lila odejdzie ztąd, rzekła, proszę iść do mego pokoju i przeczytać parę rozdziałów z Naśladowania Chrystusa. Mam do pomówienia z panną Michaliną.

Lila poskoczyła i wybiegła z pokoju.

W sąsiednim saloniku siedzący młody mężczyzna

nie trzymał już w ręku gazety; przez drzwi wpółotwarte, z żywém zajęciem, w którém była i ciekawość i niespokojność pewna, spoglądał to na matkę swą, to znowu na guwernantkę, która powstała z krzesła i zdawała się oczekiwać od pani domu piérwszego słowa zapowiedzianéj rozmowy. Jakoż słowo to nastąpiło, gdy tylko czarna suknia Lili zniknęła w głębi mieszkania.

— Jestem bardzo niezadowoloną z tego, co panna Michalina przed chwilą Lili mówiła.

— Nie zdaje mi się abym mówiła co złego, głosem lekko onieśmielonym odrzekła guwernantka.

— Nie życzę sobie wcale, aby podobne przekonania zaszczepiane były w umysł mojéj córki. Jesteśmy wszyscy równi sobie w obliczu Pana zastępów, ale tu na ziemi istnieją przecież różnice... stopnie, o których zapominać nie należy... Cała ta filozofia nakoniec bynajmniéj córce mojéj potrzebną nie jest i nie prosiłam o nią wcale panny Michaliny, obowiązując ją do czuwania nad Lilą.

Nauczycielka nic nie odpowiedziała.

Pani Leontyna po chwili milczenia mówiła daléj:

— Nie podoba mi się i to wcale, że panna Michalina, wyszedłszy wczoraj z moją córką na przechadzkę, zachodziła z nią do chaty jakiegoś włościanina.

Michalina podniosła głowę.

— Włościanin ten, pani, rzekła, jest człowiekiem dobrze mi znajomym. Widywałam go, gdy przyjeżdżał do stryja mego z jakiemiś interesami. Zubożał teraz i żona mu bardzo chora. Chciałam mu zanieść małą pomoc, poradzić w czém może. Przytém Lila mówiła mi że nie widziała nigdy wnętrza chaty włościańskiéj, sądziłam więc, że dobrze będzie, jeśli przy sposobności...

— Niema żadnéj potrzeby aby Lila widywała wnętrza chat włościańskich, przerwała pani domu; żyć przecież z tymi ludźmi nigdy nie będzie, a bardzo łatwo spotkać się tam może z nieprzyzwoitemi jakiemi widowiskami, z jaką zaraźliwą wreszcie chorobą... Poco te niepotrzebne sentymentalizmy? Jeżeli człowiek biédny, potrzebujący wsparcia, przyjdzie tu, do dworu, pierwsza mówię zawsze córce mojéj, aby mu udzieliła jałmużnę; ale peregrynacye do brudnych chat chłopskich nie są dla niéj ani stosowne, ani potrzebne.

Guwernantka milczała; pierś jéj zaczęła prędzéj oddychać niż zwykle, ale usta były zamknięte. Pani Leontyna powiodła spojrzeniem po książkach, stół okrywających i jakby od niechcenia roztworzyła jednę z nich. Roztworzyła, spojrzała, oczy w górę wzniosła, książkę z nadzwyczajnym pośpiechem zamknęła i głosem stłumionym, zdumienie i wstręt wyrażającym, zawołała: „och!.”

Wykrzyknik ten wywołały dwa rysunki, jakie w książce roztworzonéj napotkała. Jeden z nich przedstawiał szkielet zwierzęcia jakiegoś, konia czy wołu, drugi część wnętrzności tegoż zwierzęcia.

— Jaka to książka? zapytała po chwili osłupienia i czarne swe oczy, błyszczące w téj chwili oburzeniem, spuściła z górnych stref na twarz nauczycielki.

— Jest-to, pani, popularny wykład zoologii.

Ależ to nieprzyzwoite! to odrażające! Widoki podobne zabijają w kobiécie dobry gust, poczucie wstydu i delikatności! Z prawdziwym żalem widzę że panna Michalina znajduje się na złéj, na bardzo złéj drodze. Mam jednak nadzieję, że zechcesz pani osobiste swe usposobienia usunąć na stronę, a kierować się w edukacyi Lili mojemi życzeniami.

Otóż raz na zawsze muszę powiedzieć pannie Michalinie, że nie życzę sobie dla córki mojéj żadnych filozofij, żadnych szczególnych mądrości, które kobiecie na nic się wcale nie zdadzą. Po co tyle książek? Po co te sentymentalne wędrówki do chorych chłopek, a choćby i to całogodzinne ślęczenie nad rachunkami, którego miałam wczoraj dowód, znalazłszy Lilę spłakaną nad zeszytem z artymetyką? Proszę panny Michaliny, abyś wszystkie te zoologie i tym podobne książki zamknęła w szafce i więcéj ich ztamtąd, dla córki mojéj przynajmniéj, nie wyjmowała. Języki, pisanie, muzyka, robótki, oto zakres dla panny Michaliny.

Po przemówieniu tém obie kobiéty milczały chwilę. Pani domu miała już odéjść, gdy guwernantka uczyniła lekkie poruszenie, podniosła zwolna powieki i rzekła:

— Nie mogę, pani... nie podobna mi w kształceniu jéj córki usunąć na stronę własne moje przekonania.

— Co panna Michalina mówi?— zapytała matka Lili takim tonem, jakby znaczenie usłyszanych wyrazów było dla niéj całkiem niepojętém.

Guwernantka daléj mówiła cichym i przerywanym trochę głosem:

— Starałam się poznać charakter Lili i zdaje mi się że pojęłam jakie są główne rysy jego i wady. Lila jest niezmiernie wrażliwą, próżną, w zachceniach swych gwałtowną i na nic nie zważającą...

— To prawda, wtrąciła pani Leontyna; to też życzyłabym sobie, abyś pani wady te wykorzenić usiłowała.

— Tak, pani. Ale dokonać tego nie podobna inaczéj, jak zmieniając do gruntu kierunek w jakim dotąd rozwijały się myśli Lili, udzielając wyobraźni jéj i temperamen-

towi innych przedmiotów zajęcia niż te, któremi karmiły się one dotąd. Lila czytała mnóstwo romansów.

— To nieprawda, przerwała z żywością pani domu, córka moja nie czytuje romansów żadnych.

— Owszem pani, czytała ich wiele, bez żadnego wyboru, pomimo wiedzy pani zapewne. — Czytania te, a może... może i inne jeszcze okoliczności, zajęły umysł jéj wyłącznie przedmiotem jednym, dały jéj pewne wyobrażenia, żądania przedwczesne. O innych rzeczach, o świecie ją otaczającym, o stosunkach ludzkich, o życiu Lila nie posiada, pomimo swych lat piętnastu, najelementarniéjszych nawet wiadomości. Wczoraj jeszcze, widząc kilka latających skowronków, zapytywała mnie jakie to są ptaki, a o gwiazdach mówiła że są to otwory w obłokach, przepuszczające przez się światło niebieskie. Nie umie rozróżnić dębu od brzozy i kłosa żytniego od pszenicznego. Pisząc po polsku, robi kilkanaście ortograficznych pomyłek na jednéj stronicy, a drobną monetę w ilości kilkunastu kopiéjek liczyła onegdaj kilka razy, nie mogąc trafić z nią do ładu.

— Do czego wszystko to zmierza? zapytała pani Leontyna, która słów guwernantki słuchała z brwią ściągniętą i niedowierzającym, lekceważącym trochę uśmiechem na ustach.

Michalina ożywiła się, mówiąc. Nieśmiałość jéj znikła, oczy zajaśniały blaskiem, a głos, zrazu cichy i wachający się, nabrał pewności.

— Chciałam, rzekła, odwrócić umysł Lili od przedmiotów, które go przedwcześnie a wyłącznie zajmują, zaciekawiając ją do faktów naukowych pobieżnych zapewne, bo przecież i sama nie jestem bynajmniéj uczoną, ale poważnych, rzeczywistych, mogących tysiącami węzłów łączyć

się z przyszłém jéj życiem. Chciałam wyobraźni jéj i uczuciom, które teraz zwracają się ku obrazom światowych blasków i pewnych..... wyłącznych wzruszeń, nastręczyć widoki, mogące przejąć jéj serce i zająć myśl szlachetną chęcią niesienia ulgi i pomocy bliźnim. Chciałam obudzić w niéj rozwagę i zdolność do zastanawiania się, rozwijące się w niéj samolubstwo zrównoważyć miłosierdziem, gwałtowność i płochość jéj powściągnąć przyzwyczajeniem do systematycznych zajęć...

Umilkła. Na podniesioném w téj chwili jéj czole świecił zapał szczerych przekonań; ciemne źrenice nabrały promiennéj głębi i patrzyły prosto w twarz stojącéj naprzeciw kobiéty ze spokojną śmiałością czystego sumienia i myśli pewnéj siebie. W sąsiednim saloniku siedzący dotąd na szezlągu młody mężczyzna powstał, uczynił parę kroków naprzód i stanął, wpatrzony jak w tęczę w twarz guwernantki. „Biedne stworzenie" zmetamorfozowalo się w jego oczach i stało teraz o kilka kroków od niego w postaci kobiéty dojrzałéj, głęboko czującéj, rozumnéj.

— Bardzo to piękny program, ozwała się pani Leontyna; ja tylko ze swéj strony proszę i wymagam, aby panna Michalina wyrzuciła z niego wszystkie niepotrzebne filozofie i rozczulania się, nieprzyzwoite rysunki, a szczególniéj bratanie córki mojéj z ludźmi grubymi i nieobyczajnymi. Jeżeli panna Michalina zastosuje się do wymagań moich...

— Bardzo, bardzo mi przykro, głosem cichym znowu i pochylając głowę przerwała guwernantka, ale ja do wymagań tych w kształceniu Lili zastosować się nie mogę.

Pani Leontyna stała przez chwilę pogrążona w niemem osłupieniu.

— Masz pani do wyboru, rzekła wreszcie—zastosować się do żądań moich, albo... dom nasz opuścić.

Tym razem czoło guwernantki lekko pobladło, pochyliło się nizko. Ręce jéj splecione były o stół oparte, oczy spuszczone, usta zamknięte. Na twarz jéj spadł wyraz boleści i walki, postać cała wydawała się zgnębioną. Po chwili dopiero zwolna podniosła głowę.

— A więc, rzekła, odjadę...

Pani Leontyna okryła ją wzrokiem pełnym zdumienia i oburzenia.

— Dobrze, rzekła; wydam stosowne rozporządzenia abyś pani jutro do N. odjechać mogła.

Domawiając słów ostatnich, pani Leontyna odeszła z twarzą gniewną i wzruszoną.

— Czysta biéda z témi guwernantkami! szepnęła przez zaciśnięte zęby, nie zwracając uwagi na syna, o którego otarły się z lekka powłóczyste fałdy jéj grubéj, czarnéj szaty.

Guwernantka przez parę minut stała nieruchoma, jakby do miéjsca przykuta. Głowa jéj tylko chyliła się coraz niżéj, niby pod brzemieniem myśli bolesnéj lub troski ciężkiéj; potem podniosła obie dłonie do twarzy.

— Cóż ja teraz uczynię? zawołała zcicha.

W chwili téj zbliżył się ku niéj Mieczysław. Wyrwana z zamyślenia odgłosem kroków męzkich, zobaczyła wchodzącego do pokoju młodego człowieka i spłonęła rumieńcem. Nie było to przecież zawstydzenie, wszak wstydzić się nie miała przyczyny żadnéj; było to raczéj wzruszenie, które niespodzianie doznane, silnie wybuchnęło na twarz jéj bladą ogniem rumieńców.

Mieczysław wyciągnął do dziewczyny spłonionéj i nieruchoméj dłoń otwartą.

— Dziękuję pani, rzekł głosem zniżonym wzruszeniem, za zajęcie które okazałaś méj siostrze i żałuję bardzo, że nie będzie ona korzystała z przewodnictwa tak rozumnego, tak serdecznego.

Błysk nieopisanéj błogości oświecił na chwilę twarz Michaliny. Nie przywykła ona do słów uznania i sympatyi a słowa podobne, wychodzące z ust Mieczysława, posiadały może dla niéj wagę szczególną. Oczy jéj podnosiły się na twarz młodego człowieka, nawpół rozpromienione, nawpół zmącone smutkiem. Znać w sierocéj, tułaczéj jéj doli radość każda nawet smutną swą miała stronę.

— Ja to raczéj dziękować panu powinnam, wymówiła zcicha; byłeś pan dla mnie bardzo dobry... w Ręczynie...

— Ach, pani! zawołał Mieczysław, wracając do zwykłego sobie wesołego i otwartego sposobu mówienia,—ja wtedy jeszcze pani nie znałem... żebym ją wówczas znał tak jak dziś poznałem, byłbym cioci i Konradowi surowszą jeszcze wypowiedział prawdę.

Po bladych ustach guwernantki przesunął się uśmiech. Mieczysław patrzył w nią wciąż, jak w tęczę, a patrzenie to zdawało mu się sprawiać niewymowną przyjemność

— Niczegobym więcéj nie pragnął, rzekł po chwili, jak stać się pani w czemkolwiek użytecznym. Biéda tylko, że nie wiem zupełnie, cobym takiego mógł uczynić....

— Dziękuję, bardzo dziękuję panu, z wyrazem wdzięczności rzekła guwernantka. Jedyną rzeczą, któréj pragnę jest znalezienie znowu w domu jakim miejsca nauczycielki.

— Pani więc nie chciałabyś odjechać do stryja? rozumiem to trochę. Znam pana Szyłłę: zajmuje się on interesami mego ojca....

— O! z niezwykłą sobie żywością przerwała Michalina, nie myśl pan tylko nic złego o stryju moim... jest on dla mnie bardzo dobrym: wychował mię....stara matka moja znajduje u niego dach i kawałek chleba; — ale jak pan wiesz, sam jest dalekim od zamożności, dzieci ma kilkoro, a w mieście z tak liczną rodziną utrzymać się bardzo trudno. Byłabym im ciężarem...

Mieczysław stał przez chwilę zamyślony.

— A! zawołał, uderzając się dłonią po czole, zdaje się że będę mógł służyć pani.... Słyszałem... odbiło się coś o uszy moje, że państwo Łozowiczowie z Łozowéj starają się o nauczycielkę dla swych dzieci.

I znowu rumieniec, lubo słabszy niż wprzódy, okrył zmięszaną nagle twarz Michaliny.

— Państwo Łozowiczowie? rzekła zwolna — ci sami zapewne, w których domu mieszka brat mój Paweł Szyłło..

— A więc pan Paweł jest bratem pani? widziałem go parę razy w Łozowéj, ale z blizka nie znam, bo u Łozowiczów bywam rzadko...

Wiadomość o tém, że ów pan Paweł jest bratem młodej uauczycielki, zmieszała też widocznie i Mieczysława.

— Może pani u Łozowiczów przykro będzie... zaczął po chwili z wahaniem.

Michalina zdawała się walczyć z sobą przez chwilę.

— Owszem, rzekła, przyjęłabym miejsce w Łozowéj..

— A więc ja tam dziś jeszcze pojadę i jeśli nikt pani nie uprzedził, pani Fabianowa albo pan Fabian przyjadą tu jutro.

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję! wymówiła guwernantka. Splecione i o stół oparte ręce jéj podniosły się gestem niewymownéj wdzięczności, a spojrzenie łzą zwilżo-

ne utkwiło na mgnienie oka w twarzy Mieczysława i wnet ukryło się za spadającą szybko, drżącą zasłoną powiek. Mieczysław stał nieruchomy, jakby odejść trudno mu było; po chwili dopiéro skłonił się przed guwernantką z grzecznością pełną szacunku i odszedł zamyślony, wzruszony.

Pani Leontyna tymczasem, wróciwszy po rozmowie z guwernantką do pokoju swego, nie znalazła tam Lili. Rzuciła okiem dokoła i bliżéj przyjrzała się książce jednéj, w czarny aksamit oprawnéj i srébrnemi klamrami spiętéj. Było to Naśladowanie Chrystusa, z którego parę rozdziałów przeczytać zaleciła swéj córce.

— Ani jéj nawet dotknęła! wyrzekła do siebie matka Lili z głębokiém, gniewném prawie niezadowoleniem. Jaki to charakter! jaki charakter! Co ja z tą dziewczyną pocznę.

Lila ani dotknęła w istocie książki z żałobną oprawą. Wchodząc do pokoju matki, rzuciła wprawdzie na książkę te przelotne spojrzenie, ale wnet wzrok odwróciła, układając pąsowe swe usta w kształt żartobliwe nadąsanie wyrażający.

— O! zawołała do siebie, mam już tego dosyć... rano, wieczorem i... za pokutę.

Skoczyła ku etażerce i podniosła ręce ku hebanowéj szkatułce, błyszczącéj złoconym napisem: *mes souvenirs.* Z piersi jéj wyrwał się okrzyk swywolnéj radości. Trafem jakimś, przez zapomnienie pani Leontyny, w zameczku drogocennéj skarbnicy tkwił złoty kluczyk. Lila usiadła na ziemi, ze szkatułką postawioną na kolanach, z uchem czujnie pochyloném. Z głębi szkatułki podniosła się ku twarzy jéj woń delikatna. Gdyby określenie stosujące się do barw, stosowało się także i do zapachów, woń tę możnaby nazwać spłowiałą. Pierwotne powstanie swe datowała znać

od lat wielu, ale wskutek szczelnego zamknięcia w szkatułce nie znikła, tylko stała się nieokreśloną jakąś, wątłą. W rękach Lili, drżących trochę od niecierpliwości, ciekawości i pośpiechu, ukazywały się kolejno kolorowe i białe ćwiartki papiéru, w formę listów składane, kwiatki i drobne bukieciki zasuszone, i strzępki wstążek owinięte w papiér, z nadpisami lakonicznie wyrażającemi daty i nazwiska miejsc różne. Barwy papiérów i wstążek były spłowiałe, zasuszone kwiaty przemawiały tęsknym językiem wspomnień jakichś, radości znikłych, miłości zgasłych... Cała dusza dziéwczęcia, pamiątki te rozpatrującego, zbiegła się w oczy. Rozwijała ćwiartkę po ćwiartce i pożérała znajdujące się na nich wyrazy rozpalonym wzrokiem. Z ust jéj wyrywały się kiedy niekiedy lekkie okrzyki.

— A! wołała „vôtre Leopold"—to ten pan z balu! Za cóż to on mamę tak strasznie przeprasza? *Pitié, madame, pitié et pardon!* Jak to brzmi dziwnie jakoś! A tu kto?... hrabia Kalikst! Korona hrabiowska w górze. Ślicznie to być naprzykład hrabiną! O, biédny ten hrabia! jaki on czegoś zrozpaczony!... A tu co? zaproszenie do loży w teatrze od jakiéjś pani Hortensyi. „*Le baron Herman y sera aussi, il est amoureux fin, ce pauvre baron.*" W kimże on był tak zakochany, ten baron? W mamie naturalnie!

Przejrzała połowę skarbów; reszty już nie tknęła, lękając się aby jéj kto przy tem zajęciu nie zaszedł; wstała, szkatułkę na zwykłém miejscu postawiła, ręce ku czołu rozpalonemu wzniosła i zawołała z wybuchem:

— Dobrze to teraz mamie mówić o znikomości blasków światowych i próżności rzeczy ziemskich, kiedy sama bawiła się niegdyś... tak była kochaną... uwielbianą...

Rozmarzona i w stan dziwnego jakby upojenia wprawiona, opuściła pokój matki. Po chwili znalazła się w garderobie. Tu oczekiwała na nią niecierpliwie Brygisia.

— Mam list do panienki, rzekła; Walenty dziś jeździł na pocztę i przywiózł.

Dziéwczę rzuciło się ku służącéj z ciekawością i pośpiechem.

— Od kogo? od kogo? zawołała.

— Od panny Julii zapewne—odparła garderobiana, od kogóż innego mógłby być.... Panna Julia przecież przyrzekła do panienki pisywać.

Lila, z wyrazem zawodu na twarzy, wzięła list z rąk służącéj. Osoba którą przed dwoma tygodniami tak namiętnie kochać zdawała się, któréj odjazd opłakała tak gorzko i rozpacznie, stała się już dla niéj zupełnie obojętną.

Straszna to natura, po któréj, jak wichry po wydmach, przelatują podmuchy wyobraźni, niszcząc dziś, co istniało wczoraj, przeszkadzając wzrostowi wszelkiemu, wysilając się jałowo, szalejąc bezsilnie. Na wydmach usypują groble, budują tamy... ale co czynić z naturą ludzką podobną do wydmy, na igraszkę wichrów wystawionéj? Powiedziała o tem matce Lili biédna, blada guwernantka...

Panna Julia donosiła dawnéj swéj uczenicy, że poznała w N. jakąś panią, która ją z sobą na Wołyń zabiera.

— O! zawołała Lili, jaka ta panna Julia szczęśliwa! jakbym ja chętnie pojechała na Wołyń! To tak daleko!...

VII.

Na bryczce, wjeżdżającéj w bramę obszernego i niegdyś zamożnego znać dworu, siedziało dwoje ludzi, kobiéta i mężczyzna. Kobiétą była Michalina Szyłłówna, odprawiona guwernantka Lili, mężczyzną pan Fabian Łozowicz właściciel Łozowéj, majątku o 10 wiorst od Orchowa położonego.

Z za woalki opuszczającéj się ze skromnego czarnego kapelusza, twarz Michaliny wyglądała bladą i zwiędłą. Była znowu cichą, nieśmiałą, zasmuconą i ulęknioną niemal ciągłemi zmianami położenia swego guwernantką, biedném stworzeniem słowem, niby liść drobny rzucony w przestrzenie bez stałego punktu oparcia, na wolę kaprysów ludzkich, na chłody serc i ścian obcych, na młodość bez promieni, z daleką perspektywą—starości bez chleba.

Towarzysz Michaliny, pan Fabian Łozowicz, był mężczyzną na dobrych lat 40 wyglądającym, nizkim, krępym trochę, ze ściągłémi, rumianemi policzkami, nosem dużym i ustami okrytemi wąsem niepewnéj, płowawéj barwy. Oczy miał błękitne, z pod okrągło wykrojonéj i drgającéj lekko powieki patrzące, a w nich wyraz normalnego jakby, w naturę wrosłego zachwytu, połączonego z ciągłém roztargnie-

niem. Twarz ta, nieodznaczająca się bynajmniéj wyrazem rozumu lub siły moralnéj, nie odrażała jednak niczem złém, ani nawet podejrzaném, a panowało nad nią czoło o dość szlachetnych zarysach, z rojem zmarszczek drobnych i gęstych, z olbrzymią łysiną, powyżéj wiankiem krótko przystrzyżonych, siwiejących włosów otoczoną.

— „Oto mój dom ubogi, też pochyłe ściany; ten piec niepoléwany.....” zadeklamował pan Fabian, wprowadzając młodą nauczycielkę do wnętrza swego domu. Prawdę mówiąc, wydeklamowany wiersz niezbyt wiernie określał trzy dość duże widne pokoje, które przedstawiały się oczom Michaliny. Ściany wprawdzie były tam może i pochylały się trochę, bo dach był stary i źle utrzymany, ale pokryte smakowném obiciém, z kilkunastu obrazami w złoconych ramach, kilku sporemi zwierciadłami, z festonami białych firanek u drzwi i okien, wyglądały świeżo, wdzięcznie a nawet i błyszcząco. W większym z bawialnych pokoi, przy jednéj ścianie stał fortepian, przy drugiéj znajdowało się pianino, obok fortepianu umieszczone były na stosownych podstawach lub stoliczkach, skrzypce, wiolonczela, flet, mnóstwo nut oprawionych w grube księgi i nieoprawionych; przed jedném z okien nakoniec, na postumencie rzeźbionym, wznosiła się arfa ze szczytem złocistym, pąsową wstęgą opasanym.

Michalina zdjęła kapelusz i usiadłszy na pierwszém lepszém krześle, przyglądała się pokojom, w najgłębszéj ciszy pogrążonym. Pan Fabian zaraz odedrzwi postąpił do fortepianu i szczególnie pieczołowitym wzrokiem obejrzał rozstawione do koła niego instrumenta muzyczne.

— Chwała Bogu! zawołał, wszystko na swojém miejscu i nietknięte.... Czasem mi tu dzieciaczki moje figielki

różne płatają, gdy odjadę, ale dziś nie.... przypilnowała je widocznie kochana moja Adzia.... Ale gdzie jest Adzia?

Zwrócił się do Michaliny.

— Niech pani będzie łaskawą nie brać za złe mojéj żonie, że nie wyszła na pani spotkanie..... najlepsza to pod słońcem kobiéta, złote serce! ale taka z niéj gospodyni! Już to powiadam pani, że kobiéty mają w sobie jakieś szczególne usposobienie do zatapiania się w drobiazgach..... Oj, te drobiazgi! te drobiazgi! Nie mówię o tém dlatego, aby się uskarżać.... najlepsza to kobiéta, serce złote, za mnie, za aniołki nasze oddałaby duszę; ale każda rzecz tak ją obchodzi, irytuje, tak zajęta ciągle, zakłopotana, zmartwiona to tém, to owém, że nie mogę z nią dzielić nigdy uczuć swych i myśli.... Taka samotność duchowa to rzecz bolesna bardzo.... nieprawdaż pani? Ale cóż robić, małżeństwo jest grobem miłości i poezyi.

Michalina wydawała się zmięszaną nieco témi niespodziéwanemi zwierzeniami i nie widząc znać potrzeby odpowiadania na nie, milczała. Panu Fabianowi, przez wzgląd na świéżo przybyłą do domu osobę, przykrą widocznie była długa nieobecność żony.

— Gdzie jest pani? zapytał, otwiérając nawpół drzwi do przedpokoju.

— A do śpichrza zdaje się poszła, czy co — odpowiedział z wnętrza przedpokoju głos męzki, nieprzyjemnie dźwięczący nadąsaniem i zuchwalstwem.

W téj saméj chwili otworzyły się drzwi z bawialnego pokoju, w głąb domu wiodące, i ukazała się w nich wysoka szczupła kobiéta. Nie zaraz jednak postąpiła naprzód, ale zatrzymała się chwilę w progu i zwracając twarz ku poko-

jowi który opuszczała, w dalszym ciągu jakby rozpoczętéj jakiéjś rozmowy mówiła:

— No! już ty tylko cicho bądź! gęby umiécie széroko otwiérać, ale żeby czego dopatrzyć, dopilnować, to nie.. Pańskie dobro niech przepada, co wam do tego?

Pan Fabian cichym krokiem, z twarzą zmięszaną gładząc kiedy niekiedy z lekka łysinę, zbliżył się ku mówiącéj.

— Duszko! rzekł nadzwyczajnie łagodnym głosem, panna Szyłłówna przyjechała.

Kobietę słowa te szanowczo już ku bawialnym pokojom zwróciły. Zamknęła drzwi i nie mówiąc do męża ani słowa, szła naprzód krokiem prędkim, objawiającym, że przyzwyczajenie do pośpiechu i zniecierpliwienie w stan normalny u niéj się przemieniły. Im daléj postępowała, tém silniéj w pokojach ładnie przybranych uczuwać się dawała woń jakaś dziwna, a niezbyt przyjazna, podobna zupełnie do téj, jaką wydaje z siebie na oścież otwarta śpiżarnia. Znać było że zabiegła gospodyni tylko co właśnie była w śpichrzu i rękę po samo ramię w jakimś worze mąką napełnionym zanurzyła. Krynoliny w ubraniu pani Adeli nie było ani śladu, pomimo że w porze owéj toaletowy ten przyrząd najdespotyczniéj w świecie kobiécym panował; pod szyją miała wywinięty na suknię gruby płócienny kołnierz od nocnej koszuli, a na głowie muślinowy czepeczek wątpliwéj białości, w połowie tylko zakrywający włosy pięknéj płowéj barwy z tyłu głowy splecione w dwa grube roztargane warkocze.

Z rysów twarzy jéj poznać można było, że nie miała więcéj jak lat trzydzieści parę i że niegdyś musiała być bardzo przystojną, jeżeli nie piękną; ale żółtość cery, zmarszczki na czole i wokoło oczów, spłowiałe źrenice błękitne

i wązka linia ust zaciśniętych czyniły twarz tę przedwcześnie zwiędłą, wyrazem zgryźliwego niezadowolenia i nerwowéj niecierpliwości nacechowaną.

— A! panna Szyłłówna, zaczęła pani domu, zbliżając się ku guwernantce, która powstała, oddając jéj ukłon. Bardzo to dobrze żeś pani już raz przyjechała. Od dwóch miesięcy nie mamy nikogo przy dzieciach i ja sama pilnować je jestem zmuszoną. Wszystko na mojéj głowie, i dom, i dzieci..... od świtu do nocy chodź tylko, dysponuj,wydawaj, pilnuj tych łajdaków, co to na pańskie dobro jak kruki zlatują się... to już doprawdy i sił nie wystarczy długo....

Mówiła to wszystko stojąc i nerwowym ruchem wstrząsając pękiem kluczy u pasa jéj wiszącym. Pan Fabian z pomieszaniem spoglądał na guwernantkę.

— Ależ, duszo, zaczął nieśmiało, rękę ku łysinie podnosząc, pocóż bo tak irytujesz się każdą rzeczą?

— Poco irytujesz się? a cóż mam robić? Czy tak jak ty, po całych dniach zajmować się sztukami? Zapewne, niech wszystko w domu przepada, niech zabiérają, rozkradają, rwą, roznoszą! Chwała Bogu, już i tak nie wiele zostało do rozkradzenia i żeby nie ja, jużby przez te twoje sztuki Łozowa dawno z dymem poszła.

— Ależ, duszo, przerwał znowu pan Fabian, panna Szyłłówna...

— I cóż, panna Szyłłówna będzie u nas domową osobą i biéda nasza sekretem dla niéj nie pozostanie. Choćbym ja milczała, to powié jéj o wszystkiém braciszek jéj, który osiem lat z całą swoją familią u ciebie na rezydencyi siedzi.

— Adziu, z pewną energią zawołał pan Fabian—pan

Paweł jest moim kolegą szkolnym i tém że mieszka u mnie robi mi największą przyjemność.

— Przyjemność! przyjemność! ciszéj już niż wprzódy, zmiarkowawszy znać że popełniła niedelikatność wielką, szemrała Adzia; tobie wszystko przyjemność robi.... Zapewne... albo ty w co wierzysz kiedy.... pofatygujesz się gdziekolwiek? Wszystko na mojéj głowie... szesnaście osób do stołu siada.....

— Adziu, duszko! panna Szyłłówna aniołków naszych nie widziała jeszcze. Gdzie one są?

— A po ogrodzie gdzieś latają te twoje aniołki... Oj aniołki, rady sobie z temi aniołkami dać nie mogę! Z Józia robi się wisus taki, że jeśli dłużéj w domu posiedzi...

— Proszę pani masła do zaciérki — ozwał się od strony zamkniętego pokoju głos kuchcika, który z rądelkiem i łyżką drewnianą w ręku, w progu drzwi nawpół otwartych stanął, głowę rozczochraną naprzód wysunął i wytrzeszczone oczy w panią domu wlepił.

Pani Adela, wstrząsając kluczami, zwróciła się ku drzwiom.

— Duszko, zawołał za nią pan Fabian, przyślij że tu nasze dziatki...... niech się poznają ze swoją przyszłą przewodniczką.

— Otóż to tak zawsze, mówił daléj pan Fabian do Michaliny, gdy pani Adela drzwi, za sobą zamknęła; irytuje się, gdérze, Bożego świata za krupami i masłem nie widzi..... A czy wie pani, jaka to była osoba śliczna, idealna, kiedym się z nią ożenił! Grywała na fortepianie całemi godzinami, pielęgnowała kwiatki, a większej przyjemności dla niéj nie było, jak przechadzać się ze mną przy świetle księżyca i rozmawiać o rzeczach pięknych, wzniosłych, poetycz-

nych... Teraz czy jest w niéj choć ślad tego wszystkiego? Tak to, tak dzieje się na świecie! Kobiéta to sfinks, tajemnica, a małżeństwo to loterya....

Drzwi otworzyły się z łoskotem i do bawialnych pokoi weszło, wbiegło, wpełzło siedem domowych aniołków.

Pan Fabian przedstawił dzieci swe młodéj nauczycielce.

— Oto jest! mówił, najstarszy mój syn Apolinary. Skończył w N. trzy gimnazyalne klasy, ale od roku jest już w domu. Martwiłem się zrazu tém, że uczyć się nie chciał, ale pocieszyły mię odkrywające się w Apolku ogromne zdolności muzyczne. Czy wié pani że grywa on już na skrzypcach najtrudniejsze koncerty Berriota? Daję mu lekcyę muzyki sam tymczasem, potem mam zamiar oddać go do konserwatoryum muzycznego. Będzie z niego kiedyś drugi Paganini... A to Józiek, drugi z rzędu syn mój, wisus wielki, jak tylko co go nazwała żona moja, ale serce złote. Czy uwierzysz pani że wczoraj zobaczywszy przez okno żebraka, wybiegł i oddał mu swój chléb z masłem... Ludka to przyszła uczenica pani... wielką ma zdolność do rysunku... Przeszła już usta, oczy i doszła do nosów. A to Elżusia na św. Jan sześć lat skończyła... zabawny aniołek, ma szczególną zdolność do układania wierszy. Tydzień temu może mówiłem przy stole, że lubię bardzo głos kukułki... maleństwo zaraz końcówkę tę pochwyciło: „kukułka — bułka, papo!” zawołała....

Śmiał się pan Fabian, śmiały się chórem i dzieci z wyjątkiem najstarszego chłopca, który powagą niewzruszoną zachwycał, oraz małéj poetki, stojącéj przed ojcem w postaci tryumfującéj laureatki. Po chwili pan Fabian kończył akt prezentacyi.

— Staś, mówił, ma cztéry lata niespełna, to nasz tancerz domowy... elastyczny taki, że zdaje się, że kości w nim niéma. Marynia dwa lata dopiéro skończyła, a rwie się już do farb moich i pendzla, jak tylko je zobaczy, tak że schować je przed nią trudno. Tém zaś maleństwem (tu zbliżył się do niemowlęcia na rękach piastunki wniesionego) obdarzył mię pan Bóg przed pięciu miesiącami.

Wziął niemowlę z rąk piastunki i stanął przy oknie, tuż obok arfy. Najmłodszy aniołek rączkami za struny arfy pochwycił i tak silnie je szarpnął, że aż wydały jęk przeciągły.

— Czy widzisz pani, rzekł pan Fabian, zwracając twarz ku Michalinie, i ten drobiazg nawet ma już jakiś pociąg do muzyki.... moja krew.... moja!..

Apolek tymczasem wydobył skrzypce z futerału i zaczął od niechcenia niby smyczkiem po strunach wodzić; Ludka stojąc przed klawiaturą fortepianu, akordy oderwane uderzała; tancerz Staś z malarką Marynią wyskakiwali po pokoju, a Julcia niemowlę targała coraz silniéj struny arfy.

— Adziu! duszko! dodał uszczęśliwiony ojciec, spostrzegając wchodzącą żonę, pójdź zobacz jak aniołki nasze popisują się!

— A popisują się, to prawda! odparła pani Adela. Apolek zniszczył już zupełnie swój przeszłoroczny mundurek, a Staś drugą drze w tym miesiącu parę bucików. Proszę państwa na kolacyą.

— Czy, duszko, wszyscy już tam zeszli się?

— A zeszli się. Czemuby nie mieli zejść się? Na jedzenie schodzą się prędko.

W sali jadalnéj, nad obszernym stołem, mającym na sobie 16 nakryć, spuszczała się od sufitu wielka lampa i ob-

ficie oświetlała siedem osób, które stały tam, każda przy swojém krześle, w chwili wejścia państwa Fabianowstwa, Michaliny i dzieci. Z pomiędzy osób tych wyróżniał się od pierwszego zaraz spojrzenia mężczyzna czterdziestoletni, wysoki, barczysty, z gęstym czarnym włosem, z ogorzałą o grubych rysach twarzą, z wielkiemi rękami i wąsem tak długim, że aż za czerwone i odstające ucho zakręconym. Do niego to najprzód, zaraz z progu jadalnéj sali, zwrócił się pan Fabian.

— No, panie Pawle—zawołał, czy wiész kto dziś do naszéj chaty zawitał? No, patrz dobrze, poznasz, czy nie poznasz.

Mówiąc to, mrugał figlarnie i wskazywał wzrokiem Michalinę, która z rumieńcem na twarzy, wzruszona, zmieszana zatrzymała się przy drzwiach. Ogromny mężczyzna postąpił parę kroków, szeroko roztwierając oczy.

— A! panna siostra dobrodziéjka! dalibóg! no proszę posypały się z ust pana Pawła wykrzykniki. Słyszałem-ci ja niby troszenieczkę... zdaleka... że pan Fabian po jakowąś guwernantkę pojechał; ale żeby to być miała moja panna siostra, przez mózgownicę mi nie przeszło.... Myślałem że przebywa w Ręczynie...

— Alboż to państwo tak dawno nie widzieliście się ze sobą? zapytała sucho pani Adela, zbliżając się do stojącéj na stole olbrzymiéj wazy.

— Sześć latek, pani dobrodziéjko moja, sześć latek upływa na przyszłe Boże narodzenie, odkąd krokiem nie ruszyłem się z Łozowéj, odparł pan Paweł. Koleje losu, pani dobrodziéjko, rzucają ludziskami jak piłkami,.. jednę tu.... drugą het o sto mil...

Mówił to wszystko tonem rubasznéj żartobliwości, ale

oczy jego nie odrywały się ani na sekundę od spłonionéj twarzy młodéj dziewczyny, którą drobną swą dłonią silnie objęła grubą, wielką jego rękę.

— Ot panna siostra i synowców swoich nie zna jeszcze; proszę tedy patrzyć. Oto mój Walek.... w dęba chłop wyrósł; a ot Jadwisia... to ta córeczka, którą nieboszczka moja, świeć Panie nad jéj duszą, dwuletnią odumarła.

Mówiąc to, wskazywał z kolei na słusznego, chudego chłopca, z bladą nieprzyjemną twarzą i w mizerném wielce ubraniu, a potém na podrastającą dziéweczkę, trzynastoletnią może, jasnowłosą, bladą także i równie jak brat w ubogą jakąś sukenczynę przyodzianą.

— Późniéj już państwo skończycie sobie te rekomendacyę przerwała pani Adela; siadajcie do stołu bo wszystko ostygnie.

To *wszystko*, o którem mówiła pani domu, składało się z wazy pszennéj zaciérki, z dwóch półmisków napiętrzonych stosami zawijanych zrazów i z dwóch innych, pełnych pieczonych kartofli. Była to wieczerza niezbyt wybredna, ale obfita i mogąca nakarmić kilkanaście zgłodniałych organizmów.

Pani Adela stała przy wazie i naléwała zacierkę na talérze, które roznosił siedzącym przy stole osobom niby lokaj, w gruncie zaś lokajczyk, niezgrabny, niechętny, butami grubemi niemiłosiernie stukający, a poczynający stąpać na palcach wtedy tylko, gdy zbliżał się do krzesła gospodyni domu.

Pani Adela, spełniając gospodarską swą czynność wyraz twarzy miała kwaśny.

— Otóż ja, duszko, zaczął pan Fabian, kontynuować będę rekomendacyą.... Nic to, nic, duszko! jeść dlatego bę-

dę. Dwóch robót razem robić nie można, ale gadać i jeść razem nic nie przeszkadza... Trzeba przecież aby panna Szyłłówna poznała naszych kochanych gości...

— Goście! szepnęła nad wazą pani domu—piękni goście, co po dziesięć lat siedzą.

— Oto, ciągnął pan Fabian, wskazując dwie obok żony jego siedzące kobiéty,—oto kuzynki nasze: pani Eustachia Konaszewiczowa i panna Antonina Łojwiczówna.

Pani Eustachia, osoba lat średnich, tuszy dobréj, z filutkami na skroniach i w pocerowanéj ale jedwabnéj sukni, skinęła głową ku guwernantce z wysoka i poważnie; panna Antonina zaś, szczupła osóbka, dość młoda jeszcze, lecz z chorobliwą cerą, złośliwemi czarnemi oczkami i twarzą owiązaną białą chustką, od fluksyi zapewne, uśmiechnęła się kwaskowato.

— Tu znowu, kończył pan Fabian, widzisz pani zacnego pana Wiktoryna Szczepalskiego, wirtuoza flecistę, niegdyś sąsiada naszego, a dziś gościa...

Wiktoryn Szczepalski, człowiek z siwemi włosami i wąsami, ale czerstwy jeszcze, rumiany, z figurą dobrze zaokrągloną i z głupowatym uśmiéchem na tłustych wargach, podniósł się lekko z krzesła i jakby nie wiedząc sam co mu czynić wypadało, mętnym wzrokiem potoczył dokoła.

— A mnie to pan dobrodziéj nie zarekomendujesz? ozwał się z za szerokich pleców pana Pawła głos jakiś dyszkantowy, jowialnością nacechowany.

— A jakże! — zawołał pan Fabian. Pan Karol Solski, były kolega mój szkolny, tak jak i pan Paweł. Rozwesela wieczory nasze sztukami, w dokonywaniu których jest mistrzem.... .

— Utrzymuję tradycyą po Pinettim, zawołał cieniutkim dyszkantem mały, blady człowieczek, z twarzą ogoloną starannie, lecz w surducie na łokciach podartym.

— A to już ja chyba, panie dobrodzieju, ujmę się za naszym panem Hryhorym, ozwał się pan Paweł, podnosząc twarz z nad dymiącego się talerza i olbrzymie wąsy swe, zupą ubielone, z nad ust podnosząc. Dlaczego to pan tak go w rekomendacyi swéj pominąłeś? Słowik to przecież łozowickiego dworu.

Pan Fabian wskazał Michalinie siędzącego pomiędzy nim a panem Pawłem człowieka w pełnéj sile wieku, z ciemną, czarnooką twarzą południowca, z czarnemi wąsami tak bujnemi, jak wąsy pana Pawła, nie ku uszom tylko podniesionemi, lecz na pierś, w kształcie dwóch grubych i długich wiechci opuszczonemi, w świcie szaréj, nienowéj, fantastycznie jakoś taśmami oszytéj i naszytéj.

— Pan Hryhory Oroszczenko, Ukrainiec rodowity... Przybył tu w nasze strony na łowczego do dóbr księcia K. Że jednak zabijanie zwierząt niewinnych z dobrocią serca jego nie zgadzało się, przyjechał do mnie na czas jakiś z teorbanem swoim....

— *Pryiehał i sił u waspana, bo u mene ny hatynki any szczastia, any żynki!* z ukraińska ozwał się pan Hryhory.

— Widzisz więc pani, dodał pan Fabian, składając łyżkę i zwrócony wciąż ku guwernantce, widzisz więc pani że, jak mówi poeta: *Gdy dnie nam płyną w braterskiém kole.....*

— *O piwko sobie prosić pozwolę*, dokończył pan Paweł do rymu, pochylając się nad stołem i z wyrazem żartobliwéj nieśmiałości wlepiając wzrok w gospodynią domu. Na stole stały cztéry karafki z piwem.

— Naléj piwa do szklanek, zwróciła się do lokajczyka pani Adela.

Niezgrabny chłopiec z wiecznie rozjątrzoną miną, krążył wokoło stołu z karafką w ręku. Pan Paweł, trzymając szklankę w górę wzniesioną, w miarę jak płynu ciemnego do niéj przybywało, wołał:

— Do.... do.... do....

Lokajczyk nalewać przestał.

— Do.... do.... doléj! skończył pan Paweł.

Dowcip ten pobudził do głośnego śmiechu wszystkie dzieci, z wyjątkiem poważnego Apolka, i wszystkich rezydentów, z wyjątkiem pani Konaszewiczowéj, która wzgardliwie na dowcipkującego spojrzała i szklankę swą z gestem pełnym dystynkcyi ku lokajczykowi wyciągnęła.

— Proszę o piwo! wyrzekła każdą zgłoskę z osobna wymawiając, jak to czynić zwykli wielcy panowie i wielkie panie.

Panna z białą chusteczką dokoła żółtéj, chudéj twarzy uśmiechnęła się kwaskowato.

— Nie pojmuję, rzekła, jakim sposobem osoba tak delikatna, jak pani Eustachia, może pić piwo.

Wypowiedziała to tak prędko, że głoski zdawały się w jéj ustach gonić jedna drugą ze szczególną zawziętością i zjadać się wzajemnie.

— Nie pojmuję, odparła zaczepiona, dzieląc starannie wymawiane sylaby, jakim sposobem osoba tak pobożna jak panna Antonina, może wtrącać się w to, co do niéj nie należy.

Obie panie zwróciły się ku sobie. Czarne małe oczki panny Antoniny biegały i błyskały; pani Eustachia pulchne policzki wydęła i powieki wzgardliwie zamrużyła.

— Czy pani myślisz, że ja jestem jakaś sobie piérwsza lepsza?... zaczęła bardzo szybko panna Antonina.

— Czy pani myślisz, że ja pozwolę na to, aby mię ktoś zaczépiał?... wtórowała bardzo powoli pani Eustachia.

Rozpoczynającą się burzę tę powstrzymał śmiéch chóralny, przy stole wybuchający. Panna Antonina zaniechała frazesu, którym dowieść postanowiła pani Eustachii, że nie jest wcale „jakąś tam piérwszą lepszą", i odwróciwszy się tylko od sąsiadki, o ile można było najniegrzeczniéj, zapytała ciekawie:

— Co to? co to? czego się państwo tak śmiejecie?

Śmiéch spowodowany był *sztuką*, którą urządził pan Karol Solski, człowieczek blady, mianujący się następcą Pinetti'ego. Ofiarą *sztuki* téj okazał się pan Wiktoryn Szczepalski, wirtuoz-flecista, który siedział zazwyczaj nieruchomy, uśmiechnięty, z oczami gapiowato w przestrzeń utkwionemi. Owóż gdy tak siedział, następca Pinett'iego z cicha i zręcznie szklankę jego z przed talérza pochwycił i duszkiem ją, za plecy jéj właściciela ukrywszy się, wychylił. W minutę potém wirtuoz-flecista, napatrzywszy się do syta na przeciwległą ścianę, po szklankę swą sięgnął, a ujrzawszy ją próżną, zdumionym wzrokiem dokoła powiódł. Śmiéch i wrzawa powstały. Na biédnego wirtuoza posypały się żarciki rezydentów! On przyjmował je spokojnie, ze zwykłym sobie uśmiéchem. Przywykł znać do roli kozła ofiarnego, przeznaczonego na dostarczenie trefnisiowi tematów do żartów i konceptów.

— Proszę o zrazy! patrząc przez ramię posługującego chłopca, ozwała się pani Eustachia.

— Dziwna rzecz, natychmiast i wzruszając ramionami, trzepać zaczęła panna Antonina, jak to można tak dużo jeść!

— Dziwna rzecz, wycedziła wnet pani Eustachia, jak to można tak wiele gadać!

— Co to dziwnego, że pani Konaszewiczowa tyje, kiedy taka łakoma.

— Co to dziwneg , że panna Łojwiczówna tak chudnie, kiedy taka zła.

I znowu zwróciły się ku sobie twarzami.

Wybuch burzy powstrzymał jednak dany przez gospodynię domu znak wstawania od stołu.

— Proszę pani świécy do garderoby, zabrzmiał piskliwy głos kobiécy z za uchylonych nieco drzwi przedpokoju.

— A dlaczegóż wprzódy nie braliście? czyś nie widziała, żem przed godziną była w śpiżarni?

Z temi słowami i głośném brząkaniem kluczy pani Adela zniknęła w głębi domu, całe zaś towarzystwo przeszło do bawialnych salonów.

W salonie paliła się przed kanapą lampa, na fortepianie stały dwie zapalone świéce. Przy lampie na fotelach zasiadły dwie zażarte, jak się zdawało, antagonistki, panna Eustachia i panna Antonina. Dobyły z kieszeni zawinięcia sporych rozmiarów i wyjąwszy z nich różne przybory do robót ręcznych, oddały się im w milczeniu. Michalina zbliżyła się do dwóch kobiét.

— Czy można wiedziéć jakiemi to robótkami panie się zajmują? zapytała uprzejmie.

Pani Eustachia wydęła policzki, przymrużyła oczy i wycedziła.

— Haftuję sobie żabot i mankiety!

— Nie pojmuję, zaczęła wnet trzepać panna Antonina, jak to można przez całe życie myśléć tylko o elegancyach.

— Nie pojmuję, odcedziła pani Eustachia, jak można przez całe życie sporządzać aparaty kościelne.

— Pani robi cóś do kościoła? zapytała guwernantka, usiłując zakląć powstającą burzę.

-— Szlaczek do komeżki dla księdza proboszcza do orchowskiego kościoła, zatrzepała panna Antonina.

Pan Fabian przechadzał się tymczasem po pokoju otoczony dziećmi.

— Cóż, kochany panie Pawle—rzekł, widząc wchodzącego Szyłłę, pokażesz nam może Czumaka?

— Czumaka! Czumaka! proszę pokazać Czumaka! wołały dzieci.

Pan Paweł siadł przy stole, na którym paliła się lampa, profilem do pokoju zwrócony, z czołem na dłoń pochyloném i gęstemi, czarnemi włosami na twarz opadającemi. Dobrą minutę przesiedział tak wśród ciszy powszechnéj, w postawie zgnębionéj, znękanéj, aż zadeklamował znane żale Czumaka tułacza:

„ O ja Czumak nieszczęśliwy....
Biédny, głodny, ledwie żywy”...

Głos jego basowy, z olbrzymiéj piersi wychodzący, przybiérał coraz jękliwsze, płaczliwsze tony, aż nakoniec zerwał się pan Paweł z siedzenia i wyskoczywszy na środek pokoju, począł, nie przerywając deklamacyi, ale tylko ton jéj zmieniając, naśladować fantastyczny ludowy taniec Czumaków. Dzieci klaskały w drobne ręce i śmiały się do rozpuku ze skoków pana Pawła; reszta towarzystwa uśmiéchała się z widoczném zadowoleniem.

Michalina pochylała zrumienione do szkarłatu czoło i pod spuszczoną powieką kryła napływające do oczu jéj łzy.

Solowy taniec ów trwał dość długo, aż pan Paweł zziajany, z kroplistym potem na czole, usiadł na uprzedniém miejscu i w uprzedniéj postawie. Wypadkiem czy umyślnie spojrzał na siostrę, a w téjże chwili głos jego zniżył się o parę tonów, zabrzmiał dźwiękami smutnemi, onieśmielonemi nagle i umilkł.... Umilkłszy pan Paweł zerwał się z krzesła prędkim krokiem i nie oglądając się w prawo ni w lewo, poszedł w najbardziéj zacieniony kąt pokoju...

— Papo! ozwał się, przystępując do ojca, najstarszy syn domu, drugi Paganini w zarodku, a kiedy będzie nasz kwartet?

— Masz słuszność, Apolku, zagrajmy kwartet!—odparł ojciec i ruszył ku wiolonczeli.

— Czy pani Eustachia będzie łaskawa akompaniować nam na fortepianie? zapytał.

Dama w pocerowanych jedwabiach podniosła się z miną bóstwa, zstępującego na żądanie ludzkie z niebieskich wysokości i tryumfujące spojrzenie rzuciwszy na pannę Antoninę, posunęła ku fortepianowi, przy którym stali już uszykowani jak należy pan Fabian z wiolonczelą, Apolek ze skrzypcami i pan Wiktoryn z fletem.

Pan Fabian grał na wiolonczeli z wprawą i przejęciem się; zatonął cały w muzyce, twarz jego zapłonęła rumieńcami, a oczy rozgorzały blaskiem, nieudanego zachwytu.

Przy piérwszych zaraz taktach kwartetu weszła do salonu i pani Adela. Niosła ze sobą koszyk ze skarpetkami i pończochami, większych i mniéjszych rozmiarów. Usiadła przy lampie, naciągnęła na rękę jednę z przyniesionych pończoch i pogrążyła się w jéj cerowaniu.

Kwartet skończył się. Pan Fabian, otrzeźwiwszy się nieco z muzykalnych wrażeń, pocałował w czoło syna-artystę i zwrócił się ku żonie.

— Cóż duszko? jakże ci się dziś podobała gra Apolka?

— Lepiéjby było, żeby do szkół jechał, sarknęła pani Adela, nie podnosząc oczu z nad wielkiéj dziury w pończosze, którą starannie zasnuwała bawełną.

— Otóż to tak zawsze! szepnął pan Fabian do Michaliny; samotność duchowa zupełna... a jednak jaka to była niegdyś idealna osoba!.. Panna Lila Orchowska musi grać bardzo pięknie? nieprawdaż pani?

Odpowiedź guwernantki zgłuszyły dźwięki teorbanu, i nieuczony widocznie, dość dźwięczny jednak w istocie i przyjemny głos pana Hryhorego, który przeciągle i tęsknie zawiódł.

„ Ne chody Hryciu na wieczorniciu"...

Tak towarzystwu temu zszedł czas do saméj prawie północy. O téj dopiéro porze otworzyły się drzwi hermetycznie w ciągu dnia zamykane i żeńska połowa publiczności łozowieckiéj przeszła w głąb domu. Było to przejście ze świateł Empyreum w ciemności Erebu. W obec trzech bawialnych salonów, pokoje resztę mieszkania składające, wyglądały jak brudna, podarta, zatłuszczona podszewka kosztownego i bogatemi haftami przyozdobionego stroju. Czegoż bo tam nie było? W piérwszym zaraz pokoju, sypialni pani domu, stały pod ścianami wielkie kosze, vulgo *kotuchy*, w których kury wysiadywały na jajach. Przy wniesieniu świec śpiące ptaki te obudziły się z przestrachem, zatrzepotały skrzydłami i w głośny alarm uderzyły. W pobliżu łoża pani Adeli mieściły się beczułki jakieś i woreczki, napełnione kosztowniéjszemi zapewne spiżarniowemi zapasami; da-

léj na dwóch krzesłach umieszczone, stały płótnem przykryte niecułki z podchodzącém ciastem; złamane krzesło zalegało kąt jeden pokoju, w drugim leżał wysoki stos przygotowanéj do prania bielizny. Ściany tam były szare, szyby w oknach popękane, stoły pooblewane, podłoga brudna...

Michalina, wszedłszy do przeznaczonego jéj pokoju, zapytała służącéj o dokładne wskazówki co do położenia oficyny i drzwi, któremi wchodzi się do pokoju jéj brata. Zaledwie sługa odeszła, wyjęła z tłomoczka swego wielką wełnianą chustkę i miała już zarzucić ją sobie na plecy, gotując się do wyjścia, gdy z izdebki, w któréj sypiało niemowlę-Julcia, wsunęła się na palcach, z zapalonym ogarkiem świecy w ręku, pani Adela.

— Jak to dobrze, że pani jeszcze nie śpi, rzekła gasząc świécę i stawiając lichtarz na stole; chciałam z panią pomówić trochę.

Zbliżyła się do każdego z trzech małych łóżek, poprawiła kołdrę przykrywającą Marynię, odgarnęła włosy z czoła Elżusi, popatrzyła z radością na różową, ładniutką twarzyczkę Ludki i usiadła na krześle przy łóżku guwernantki, która spoglądała na nią z wyrazem oczekiwania w oczach.

— Chciałabym, zaczęła łagodniejszym nieco niż zwykle głosem, przeprosić panią za to, że ją niegrzecznie może trochę przyjęłam; ale jestem ciągle tak ziritowana, zgryziona...

— O pani!.... zaczęła Michalina.

Ale pani Adela mówić jéj nie pozwoliła.

— Niech pani nie robi ceremonij żadnych. Wiem dobrze iż wyglądam jak dziwoląg i podobać się ludziom nie mogę. Nie chciałam jednak umyślnie wyrządzać pani przy-

krości, byłam tylko dziś więcéj niż zwykle zmartwiona i zirytowana..... Wystaw sobie pani, widziałam zrana na własne oczy, jak ekonom z parobkiem żyto nasze ze stodoły wynosił, na wóz pakował i pod sekretem do miasteczka posyłał.... Co pani na to powiész?

Guwernantce trudno było widocznie zdobyć się na zdanie w tak obcym dla niéj przedmiocie.

— Czy pani powiedziała o tem panu Łozowiczowi?... Możeby... zaczęła, wahając się i dlatego tylko aby cóś powiedzieć.

Pani Adela uśmiechnęła się z goryczą.

— Czy pani myśli, że takie rzeczy mego męża obchodzą. Gdzie tam! on wyobraża sobie że każdy człowiek bez wyjątku jest świętym. Gdyby ktokolwiek w biały dzień surdut z niego zdjął, to powiedziałby jeszcze: „eh! co tam! może mi się tylko tak wydało!" Ach! żebyś pani wiedziała co się tu u nas dzieje! Majątek piękny, bardzo piękny! Ale cóż z tego? Póki była pańszczyzna, szło jeszcze jako tako, ale odkąd za pieniądze wszystko nabyć trzeba, stodoła co rok pusta prawie, inwentarz przepada, grosz grosza nie dogoni, długi rosną..... a on na nic nie spojrzy. Jeżeli pójdzie kiedy w pole dla oczów ludzkich, to chodzi z nosem w górę podniesionym, przypatruje się obłokom i w głowie wiersze układa, albo widoków pięknych szuka, żeby je malować... Najczęściéj zaś w gabinecie swoim przesiaduje, pisze, maluje, czyta poezye, czasem w ogrodzie kwiaty sadzi, ot i cała jego robota... A tu wszystko we dworze wali się, pole chwastami zarasta, majątek topnieje.

Umilkła na chwilę. Oczy jéj z wyrazem smutku w ziemię patrzyły.

— Siedmioro dzieci, mówiła dalej po chwili—na co on je wykieruje? Mnie serce kraje się, gdy myślę o tém, jaka to przyszłość czeka te biédne dzieciaki....

Westchnęła ciężko pani Adela i po chwili dodała:

— Niech pani broń Boże nie myśli, żebym ja o tém wszystkiém mówiła przez brak przywiązania lub szacunku dla Fabiana. Najlepszy to, najszlachetniejszy pod słońcem człowiek, złote serce..... Ot naprzykład, widziałaś pani, ilu tu ludzi żywi się koło nas.... niech pani tylko nie myśli, że wymawiam jéj pana Pawła, broń Boże! Gdy jestem zgryziona, powiem czasem na tych biédaków to i owo, ale w gruncie żal mi ich..... wszak oni garną się do naszego domu, jak pszczoły do ula .... Tyle teraz nędzy po świecie; przez te wszystkie zmiany i zaburzenia: a ileż pani znajdziesz w okolicy domów takich, któreby, jak nasz, tuliły do siebie biédnych ludzi?

Podniosła przy tych słowach twarz, a oko jéj posępne przed chwilą, błysnęło dumą.

— To téż, ciągnęła daléj, niéma w okolicy człowieka, któryby nie wiedział, że Łozowa jest przytułkiem siérot i nieszczęśliwych, że Fabian Łozowicz, to może ostatni z tych obywateli naszych, co to nie dla siebie tylko żyli, ale i dla bliźnich. A na mnie choć mówią czasem, że jestem skąpa, gdéraczka, to jednak nikt nigdy nie widział i nie słyszał, abym męża swego od dobrego uczynku odwodziła... Dopełnia téż on tych dobrych uczynków za siebie i za innych... Żebraka żadnego nie opuści, aby go wedle możności nie obdarzył .. Złote serce, mówię pani, najlepszy, najszlachetniejszy człowiek i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie te *sztuki*, po za którémi Fabian świata Bożego nie widzi.

Westchnęła znowu, pomilczała chwilę, a potem mówiła daléj:

— Niech pani nie myśli, że ja zawsze taką byłam jak teraz... Boże kochany! każdy miał swoją młodość i swoje złudzenia; i ja je miałam....Grałam niezgorzéj, poezye czytywać lubiłam, w kwiaty stroiłam się, świat wydawał mi się różowym jak centifolia, a życie wesołém, jak bal. Ale potém dzieci przybywały, potrzeby rosły, a tu uważam że źle! kradną, rozrywają, majątku coraz mniéj. Wzięłam się więc sama do gospodarstwa, do śpiżarni, do kuchni, chowam, zamykam, pilnuję, rządzę; a przez to jako tako dziury łatam. Gdyby nie to, że ja się tak domem zajęłam, jużbyśmy chyba dotąd Łozowę z torbami opuścili, ale przyjdzie to kiedyś bo jakże ja, słaba kobiéta, bez męzkiéj pomocy powstrzymać mogę ruinę majątku?

Umilkła pani Adela i Michalina milczała także parę minut. Tym razem jednak z twarzy młodéj nauczycielki poznać można było, że otrzymane zwierzenie się wzbudziło w niéj żywe współczucie i nasunęło jéj wiele myśli.

— Przepraszam panią, rzekła łagodnie i trochę nieśmiało, że poważę się wyrazić zdanie swoje... Nie jestem zbyt doświadczoną, ale... pani ośmiela mię okazywaném mi zaufaniem. Otóż zdaje mi się, że może korzystniéj byłoby dla spokojności pani, dla dobra jéj rodziny, gdyby pani sama z wrodzoną energią swą i pracowitością zastąpiła pana Łozowicza w gospodarstwie męzkiém....

Pani Adela słuchała słów tych z wyrazem głębokiego zdumienia w oczach.

— Ach moja pani! rzekła, jak to znać, że jesteś młodą jeszcze i niedoświadczoną osobą! Jakże pani możesz wymagać, aby kobiéta trudniła się męzkiém gospodarstwem? Czyś pani widziała kiedy co podobnego? Rola, stodoła, obory, to zajęcie męzkie.... kobiéta może dopatrzyć tego tylko,

co dzieje się w domu. Kobiéta, kochana panno Michalino, nie powinna nigdy przekraczać granic dla siebie naznaczonych.

Michalina nic na to wszystko do odpowiedzenia nie znalazła. Po chwili jednak ozwała się znowu:

— Jeszcze jednę rzecz chciałabym powiedzieć... Czy pani pozwoli?

— O, i owszem, i owszem! proszę mówić! Nie jestem taką złą jak się wydaję.

— Zdaje mi się, że wszystkie te osoby, które u państwa mieszkają i tyle im wydatków przyczyniają — mówię tu także i o bracie swoim — mogłyby poszukać sobie gdzieindziéj jakiego zajęcia.

— O, panno Michalino! przerwała, powstając, pani domu, nie spodziewałam się nigdy, aby osoba tak młoda jak pani, miała tak suche, zimne, egoistyczne pojęcia. Nie! jestem ja sobie może skąpa, gdéraczka, bo taką zrobiły mię okoliczności; powiem czasem komu niegrzeczność, sarknę na rezydentów, ale z idealnéj młodości mojéj pozostało przynajmniéj to jedno, że od domu swego nie odepchnę nigdy żadnego człowieka, który szuka w nim schronienia... Będziemy może kiedyś sami w biédzie... cóż robić? Pan Bóg wynagrodzi może dzieciom naszym to, co my dla biédnych ludzi czynimy. Tymczasem niech sąsiedzi nasi, co to dla siebie tylko żyją, patrzą na Łozowiczów i widzą że nasz dom jest ostatnim może z tych obywatelskich domów naszych, co to nie dla siebie tylko żyły.

Powiedziawszy to z pewném uniesieniem w głosie i wyrazie twarzy, pani Adela skinęła guwernantce głową.

— Dobranoc pani! rzekła — i znowu do łóżeczek dziecinnych z kolei przystępowała. Nad każdém z nich po-

chyliła się i uśpione dziewczynki w rumiane twarzyczki całowała. Zapaliła potem swój ogarek i idąc ku drzwiom, zwróciła się jeszcze do Michaliny.

— Czy wiész pani, rzekła, że wychodzi u nas na tydzień pud masła i głowa cukru? Mięso sprowadzamy z miasteczka całemi sztukami, od dwóch lat już na kredyt dzięki Bogu! Oj! będzie kiedyś biéda, będzie!

Odeszła..... Michalina siedziała chwilę zamyślona, potém zarzuciła na głowę chustkę i wśród ciemności zalegającéj dziedziniec podążyła szybko ku blizkiéj oficynie. W oknach tam już było ciemno: w jednéni z nich tylko błyszczało małe światełko. Michalina, kierując się wskazówkami od służącéj otrzymanemi, poznała że było to okno pokoju jéj brata. Omackiem znalazła drzwi z brzega zaraz małego korytarzyka umieszczone i zastukała do nich zlekka.

— A któż tam jak mara włóczy się po nocy? czy nie pan Hryhory czasem? Proszę, proszę!—ozwał się z wnętrza pokoju głos pana Pawła.

W niewielkiéj izbie, z brudnemi ścianami i skąpém, prostém bardzo umeblowaniem, siedział przy stoliku pan Paweł. Nie miał na sobie surduta, tylko kamizelkę, z któréj wyłaniały się rękawy grubej koszuli. Surdut leżał na kolanach swego właściciela, który w jednéj ręce trzymając jego połę, drugą pilnie i z nadzwyczajną uwagą łatał kawałkiem sukna znajdującą się w niéj dziurę. Ogromna ręka jego, uzbrojona w igłę długą nitką nawleczoną, niezgrabnym ruchem wybiegała ponad schyloną głową.

Nie podniósł głowy i nie przerwał roboty swéj wtedy nawet, gdy otworzyły się drzwi od korytarza.

— Czego łazisz po nocy panie Hryhory? zapytał.

— To ja przyszłam, Pawle, ozwała się Michalina.

Szyłło porwał się z krzesła.

— Michasia! zawołał głosem wcale innym niż ten którym mówił wprzódy.

Z wielkim pośpiechem przywdział surdut i przysunął do stołu drugi stołek.

— No proszę! mówił, ktoby się to spodziewał że przyjdziesz do mnie, Michasiu! Myślałem że wstydzisz się mnie; nie chciałem nawet mówić z tobą przy ludziach. No siadajże, siadaj!

Ale ona niezaraz usiadła. Ujęła obie ręce brata w drobne swe dłonie i długo patrzyła mu w twarz smutnym, głębokim wzrokiem. On także patrzył na nią aż obojgu łzy w oczach stanęły.

— Cóż tam dzieje się matką? zaczął Szyłło, usiadłszy. Sześć lat nie widziałem już staréj, od téj wigilii Bożego narodzenia, którą —pamiętasz—jedliśmy razem u stryja Augustyna.

— Matka nasza mieszka zawsze u stryjostwa, którzy są dla niéj bardzo dobrzy;.... ale oni sami biédni.

— Wiem, wiem! dzieci gromada. Ha, cóż robić? i ciebie Michasiu sześć lat już nie widziałem, zmieniłaś się, zmężniałaś!....

— Postarzałam, Pawle, ze smutnym uśmiechem przerwała młoda dziewczyna - nic dziwnego. Od owéj, właśnie pory przestałam chodzić na pensyę i choć po prawdzie nie skończyłam jeszcze była edukacyi, poszłam w świat..... Miałam wtedy lat szesnaście, a sześć lat jestem już nauczycielką. Byłam w siedmiu sąsiednich domach.... ten jest ósmy.

— Pi! syknął pan Paweł—nie udaje ci się widać. Dlaczego?

— Dla różnych przyczyn. Z początku nic prawie nie umiałam sama.... odprawiono mię więc, bo dzieci nie korzystały..... Potém.... kiedym się własną pracą poduczyła już trochę, tak jakoś trafiałam..... Ale mówmy o tobie, Pawle, poco ty tu siedzisz... ty i dzieci twoje?

Pytanie to zadawała zcicha, z widoczną obawą obrażenia brata, ale zarazem z postanowieniem stanowczego z nim rozmówienia się.

Szyłło pochylił głowę i milczał chwilę.

— Czego ja tu siedzę? powtórzył. Ot siedzę... bo cóż mam robić? Licho mi nadało sprzedać folwarczynę. Zdało mi się że mogę co lepszego kupić, dobry interes, jak to mówią zrobić.... Tymczasem nic nie kupiłem i nic nie zrobiłem, a pieniądze rozchwytali ludzie.

— Wiem, część ich pożyczyłeś Ręczycom, część Orchowskim.

— A część rozeszła się.

— Musieli ci przecież odesłać.

— Licha tam! Ręczyc miał osiemnaście lat jak pożyczył, a teraz ma dwadzieścia osiem i jeszcze nie oddał..... Co się zaś tyczy Orchowskich, Bóg-że ich wié u kogo dopominać się teraz. Ojciec pono umierający, nikogo nie widuje... synów nie znam...

— I nie upominasz się u Ręczyca o należność?

— Sześć lat ani pisnąłem. Co robić? będzie może dla dzieci.

— A jednak, rzekła Michalina, gdyby ci te pieniądze oddali przed sześcią laty, nie byłbyś tutaj, zrobiłbyś ze sobą cokolwiek.

— Naturalnie że zrobiłbym. Nadarzał się dobry kawał ziemi z łąką i lasem. Chciałem nabyć ale nie było za co; siadłem więc tu...

— I dobrze ci z tém? bacznie patrząc na brata, zapytała Michalina.

— At! rzekł, niéma co grzészyć. Dobrze jeść i pić dają, i dachu nad sobą kawałek ma człowiek. Co się zaś tyczy odzienia, łatam je jak mogę a czasem poczciwe Fabianisko przyrzuci cóś dla mnie, lub dla Walka...

— Pawle! nie mogąc powstrzymać się dłużéj, zawołała młoda dziewczyna—ależ to dola żebracza! położenie poniżające!

Szyłło széroko otwartemi oczami w twarz siostry spojrzał. Milczał chwilę, a potem machnął ręką i rzekł:

— Ot, ja już i zapomniałem o tém wszystkiém. Dziś dopiéro, kiedy *pokazywałem* Czumaka, a ty, Michasiu, spojrzałaś na mnie temi oczami swemi, które mi dawne czasy przypominają....

Przerwał sobie nagle i odwróciwszy się, palcami łojówkę objaśnił.

Chwila milczenia, zapanowała pomiędzy siostrą i bratem. Michalina ozwała się piérwsza.

— Pawle! musisz mi dać słowo, że dla honoru własnego, dla przyszłości dzieci swoich postarasz się zmienić położenie swe na inne.

Szyłło milczał. Grube rysy jego powlekły się wyrazem tajemnego niezadowolenia.

— Widzisz-bo, zaczął, na starość ruszać się z miejsca trochę już ciężko.

— Jesteś jeszcze w pełnéj sile wieku. Wiem od matki naszéj, że nie masz więcéj jak lat czterdzieści.

— Ech! matka zapomina — kurcząc się i garbiąc, przerwał pan Paweł. Mam już pięćdziesiąt dobrych.... niezdrów jestem.... w służbę mi iść nie pora, a zresztą kto z dziećmi mię przyjmie?

— Upomnij się u Ręczyca o swoje dobro.

— Kiedyż-bo widzisz, Michasiu, kurcząc się coraz bardziéj, rzekł Paweł. Do Ręczyna trzebaby jechać... a ja się już ztąd sześć lat krokiem nie ruszałem.

Człowiek ten atletycznéj budowy rozleniwiał na łaskawym chlebie tak strasznie, że przerażała go myśl o dwumilowéj drodze.

Michalina posunęła stołek swój, siadła tuż przy nim i ramionami opasała mu szyję.

— Pawle, mówiła zcicha, uczyń to, spróbuj! Pomyśl jaką radość sprawiłbyś matce naszéj, gdybyś zdobył sobie znowu jakiekolwiek byle niezależne, nieupakarzające położenie.... Możebyś mógł nawet kiedy ochronić ją od przebywania pod dachem ludzi dobrych, ale dla niéj prawie obcych.... Ja nie zaciążę nad nowym bytem twoim.... umiem już dziś więcéj niż umiałam i mam nadzieję, że z czasem wyrobię sobie w zawodzie swoim przyszłość lepszą... Ale dla matki naszéj, dla dzieci twoich uczyń to, postaraj się!...

Głos jéj łagodny, miękki, a jednak energią gorącéj prośby dźwięczący, stopił się w pocałunku, który usta jéj kształtne i blade złożyły na ogorzałem czole brata. Przybliżyła twarz swą do jego twarzy i wzrok zanurzyła w głębiach zmęczonych jego źrenic.

Paweł opuścił na dłonie czoło i milczał długo.

— No, rzekł po chwili, zobaczymy! Trudno to poprawdzie.... ale matka.....

Westchnął z głębi piersi. Michalina trafiła słowami swemi w nieuśpioną jeszcze strunę jego serca. Nie obchodził go już honor, nie obchodziły dzieci własne, ale wzruszyło go wspomnienie matki.

Święta to kobieta.... mówił stłumionym nieco głosem. Kiedym sprzedawał swój folwark, myślałem że zaraz drugi kupię i znowu wezmę ją do siebie.... Ale stało się inaczéj.... zostało matczysko u ludzi cudzych..... i ja u cudzych.... i ty, Michasiu, u cudzych.

— Ja, Pawle, pracuję i na chléb swój zarabiam, szepnęła dziewczyna.

Szybko ręką po oczach zwilżonych powiódł.

— Trzeba jechać! rzekł.

Michalina ramionami oplotła znowu szyję brata i uśmiechnęła się do niego tak, jak tylko prawdziwe dobre, kochające istoty uśmiechać się umieją.

O godzinie szóstéj rozlegało się już w łozowskim domu głośne stukanie drzwiami, zgrzytanie kluczy w zamkach i tym podobne gospodarskie odgłosy, którym towarzyszyły wołania pani Adeli na służbę. Lokajczyk wyszedł z przedpokoju, obarczony szczotkami i ściérkami, i z głośném stukaniem a cichym szeptem niezrozumiałych wyrzekań froterował posadzki i zbiérał pyły w bawialnych salonach. Dziewczęta w garderobie rozpalały ogień na kominie, przystawiając doń wodę i mléko; z folwarku przywlokła się wieśniaczka, dźwigając różne garnce, kwarty, kwaterki, koszyki, koszyczki; kucharz z zaspanemi oczami wszedł także do garderoby i rzucił na podłogę stos rądli. Wszyscy

w domu, oprócz najmłodszych dzieci i pana Fabiana, byli na nogach.

Michalina weszła do garderoby i zobaczyła panią Adelę, stojącą przy otwartych drzwiach śpiżarni, w białéj spódnicy, w nocnym czépku i watowanym długim kaftanie. Panna Antonina, w rannym także i równie zaniedbanym stroju, czyściła przy oknie klatkę, w któréj kącie senne jeszcze tuliły się dwa kanarki. Pani Eustachia, ubrana w negliż biały, wytoczyła się również ze swego pokoju i zwracając się do garderobianych, wycedziła z powagą:

— Proszę o kawę!

Michalina uprzejmie pozdrowiła dwie kobiéty i zbliżyła się do gospodyni domu. Rezydentki ścigały ją wzrokiem pełnym niechęci.

— Osoby te, trzepała cichutko panna Antonina, mogłyby poszukać sobie gdzieindziéj jakiego zajęcia.... To egoistka, bez serca!

— To prawda, szepnęła również cicho pani Eustachia, komu to świat reformować? Guwernancisko jakieś!

Z szeptów tych można było się domyślić, że obie antagonistki złączyły się tym razem i że podsłuchać musiały wczorajszą rozmowę pani Adeli z Michaliną.

Dla pani Adeli pora dzienna była porą zgryzot, irytacyi, prac ciężkich i nieustannych. W téj chwili ścigała i ona wzrokiem poruszenia kucharza, który napełniał w spiżarni rądle swe wiktuałami.

— Może pani pozwoli abym ją w czém wyręczyła? uprzejmie do pani domu przemówiła guwernantka. Ludka porządkuje swoje książki i nie potrzebuje mię jeszcze w téj chwili.....

Pani Adela spojrzała na mówiącą podejrzliwie nieco i wywówiła sucho „dziękuję!”

Michalina odeszła. Dwie rezydentki ruszyły się z miéjsc swych jednocześnie, jakby sprężyną poruszone, i zbliżyły się, każda z innéj strony, do pani domu.

— Poco *ona*, proszę pani, wtrąca się w to, co do niéj nie należy? trzepać zaczęła panna Antonina. Zapewne, zapewne! chciałaby wziąść klucze w swoje łapki, żeby braciszkowi i jego dzieciom przysmaczków dostarczać! W nocy, słyszę, do braciszka chodziła.

— Chodziła? z zajęciem szczególném zapytała pani domu.

— A chodziła.... zmowy jakieś, konszachty...

— Co do mnie, ozwała się z powagą pani Eustachia, nie mam zwyczaju robić tak nizkich przypuszczeń jak pewne osoby, które są bardzo nabożne, ale rade każdemu łatkę przypiąć. Przez przyjaźń tylko dla domu w jakim zostaję, powiedzieć muszę, że ta panna guwernantka będzie bardzo, bardzo kosztowną.....

— Dlaczego ma być kosztowną? z niespokojnością zapytała pani domu.

Ale pani Eustachia miała tajemniczą minę prorokini, nieżyczącéj sobie wcale odkrywać przed ludźmi źródeł z których przepowiednie swe czerpie. Wzniosła oczy i wskazujący palec w górę, westchnęła i powtórzyła:

— Już ja pani to tylko mówię, że ta panna guwernantka wiele, wiele kosztować państwa będzie!....

W godzinę potém Michalina siedziała w swoim pokoju przy stole, otoczona czworgiem dzieci.

Ludka i Józia usadowili się po obu stronach nowéj swéj guwernantki, Elżusia i Staś u jéj kolan na stołeczkach. Pomiędzy dziećmi a nową guwernantką zdawała się panować zgoda najzupełniéjsza i dobra już znajomość. Michalina postępowaniém swém okazywała niemałą biegłość w zawodzie nauczycielskim. To też Józio nawet, ów wisus nie-

poskromiony, wedle zdania jego matki, pisał i czytał z ochotą. Ludka ucząc się zcicha zadanéj sobie lekcyi, zarzuciła na szyję guwernantki drobne swe ramię; Staś i Elżusia powtarzali francuzkie wyrazy z główkami opartémi o jéj kolana i uśmiechniętemi oczkami, utkwionemi w twarz guwernantki.

Po ogrodzie tymczasem przechadzał się pan Fabian po ścieżkach wężykowatych z książką, któréj jednak nie czytał. Były to poezye wielkiego wieszcza jakiegoś; ale mąż pani Adeli sam w téj chwili układał w myśli wiérsz pod tytułem: „*do czarnéj Lilii.*" Od czasu do czasu zrywał kwiaty i wiązał z nich ogromny, bardzo piękny bukiet.

Trwało to dobrą godzinę, poczem pan Fabian znikł z ogrodu i przesiedział zamknięty w gabinecie swym do godziny piérwszéj po południu. W porze téj wyszedł na ganek z małą różową kopertą w jednéj ręce, a ogromnym bukietem w drugiéj, i zawołał przechodzącego właśnie przez dziedziniec stajennego wyrostka.

— Siądź na konia, rzekł, oddając wyrostkowi liścik i bukiet i jedź do Orchowa. Tam pójdziesz do domu, w którym państwo sami mieszkają, rozumiesz? poprosisz żeby wyszła do ciebie panna Lilia Orchowska i oddasz jéj ten list i ten bukiet.

Kwandrans jeszcze nie upłynął, gdy stajenny chłopak opuszczał konno Łozowę, z różową kopertą w kieszeni świtki i pięknym bukietem w ręku. Różowa koperta zawierała wiersz zatytułowany: „Do czarnéj Lilii," zaczynający się temi słowy:

„ Jak jutrzenka różowa w poranku świetlistym,
Tak oczy twe jaśnieją ogniem cudnym, czystym;
Jako wysmukła lilia, w niebo zapatrzona,
Tak postać twa dziewicza czarem obleczona.
Gdy bieg życia wspaniałe wdzięki twe rozwijo,
Królową serc okrzykniem dziewicę Liliję."

Strof podobnych było sześć. Pan Fabian opiéwał w nich na różne tony młodzieńcze wdzięki Lili i przepowiadał im najświetniéjszą przyszłość. Była to piérwsza ofiara po owym już panu Jarosławie — zapalona na ołtarzu piękności młodéj dziewczyny, przez człowieka, który miał na głowie ogromną łysinę, a w domu „żonę ze złotém sercem i siedem aniołków." Mniéjsza jednak o to! był to zawsze hołd, było to pierwsze słowo uwielbienia, które zawrócić miało marzącą główkę Lili.

Michalina kończyła już lekcye swe z dziećmi, gdy po domu całym rozległy się wykrzyki: „ktoś jedzie! goście! goście!"

Michalina spojrzała w okno i szkarłatny rumieniec na twarz jéj wytrysnął. Przed gankiem z bryczki małéj we dwa konie zaprzężonéj, wyskoczył Mieczysław Orchowski.

Ręka młodéj guwernantki, trzymająca pióro nad zeszytem, drżała chwilę, w ustach jéj urwało się w połowie wyrazu opowiadanie o dalekich morzach i pływających po nich okrętach, którego dzieci słuchały z nadzwyczajną uwagą. Po krótkiéj jednak chwili zaczęła znowu opowiadać i poprawiać ortograficzne błędy w pisaniu Ludki.

W salonie pan Fabian bawił młodego gościa, pokazując mu liczne albumy, bardzo w istocie smakowne i zajmujące, pełne przeróżnych rysunków, fotografij i poezyj... Mieczysław oglądał albumy, lecz oczy jego co chwila zwracały się w stronę drzwi, hermetycznie zamykających głębie mieszkania.

— Niech pan będzie łaskaw nie obraża się, rzekł, spostrzegłszy się pan Fabian, że żona moja nie pojawiła, się dotąd.. Ona taka zajęta domem i naszemi aniołkami!

Mieczysław skłonił się i wymówił kilka słów uprzej-

mych; ale Bóg tylko widział, jak niepodobnego wcale do pani Adeli zjawiska oczekiwał od tych zamkniętych drzwi, na które, pomimo przemówienia pana Fabiana, nie przestawał rzucać częstych spojrzeń. Na twarzy jego coraz żywsza zjawiała się niecierpliwość, gdy nakoniec weszła pani Adela, a Grześ ubrany w nowy surdut, oznajmił podany obiad. Wtedy dopiéro w głębi domu doszły do salonu dźwięki dziecinnych chóralnych głosów, a we drzwiach otoczona małém gronkiem czepiającém się rąk jéj i kibici ukazała się młoda dziewczyna w ciemnéj, wełnianéj sukni, z bladą twarzą, otoczoną bogactwem ciemnych warkoczy.

Oczy Mieczysława strzeliły takiém uczuciem, jakiego doświadcza człowiek w chwili spełnienia gorących jego życzeń. Pragnął ją widziéć... przyjechał tu dlatego tylko, aby ją widzieć! Mówiły to oczy jego, uśmiech uspokojenia, który przesunął się po jego ustach i lekki rumieniec, który zabarwił mu czoło. Powiedziało to zresztą wzruszenie żywe, z jakiém spotkał idącą zwolna śród dzieci guwernantkę, z szacunkiem głębokim podając jéj rękę.

— Tak pragnąłem zobaczyć, jak się tu pani zainstalowała... rzekł i nie dokończył.

Oczy jego spotkały się ze wzrokiem młodéj dziewczyny, wzruszonym, głębokim, a dłoń, nieposłuszna woli, zamknęła się silnie w koło drobnéj jéj ręki.

— Czy pani widzi? zatrzepała panna Antonina na ucho pani domu; wszak to oni romansują ze sobą na dobre... *Ona* może ztamtąd dlatego i wyleciała tak prędko! Święty Boże! Święty mocny!

— Już ja pani to tylko mówię, cedziła zcicha z innéj strony pani Eustachia, że ta guwernantka wiele, wiele kosztować państwa będzie!....

VIII.

Jak jasna gwiazda na horyzoncie, tak śród szerokiéj okolicy nadniemeńskiéj błyszczał białym pałacykiem swym dwór ręczyński. Pałacyk zbudowany był z woli pani Malwiny, która późno bardzo wyszedłszy za mąż, wprędce owdowiała i własną się wolą w świecie rządziła; miał on trzy piętra, kilka wieżyczek, cztéry wysokie balkony i mnóstwo krętych wschodów. Jaki to był styl architektoniczny, nie rozpoznałby żaden z najznakomitszych mistrzów budownictwa; pani Malwina jednak była z niego zupełnie zadowoloną i odkąd pałacyk zbudowanym został, nie mówiła inaczéj do znajomych swych, jak: „przyjechałam do swego pałacu," „stałam na balkonie swego pałacu" itp.

Miejsce, w którém wznosił się ów pałac, było piękne i malownicze. U stóp dość wysokiego wzgórza, pokrytego sadami i ogrodami, naprzeciw okien pałacyku płynął Niemen, a za nim rozciągał się widok szeroki na pola, wioski, okoliczne dwory i miasteczka. W okół wielkiego dziedzińca stały gospodarskie budowle obszerne, murowane z kamienia i dla tego może dość świeżo jeszcze i silnie wyglądające. Ocieniały je dwa rzędy starych drzew kasztano-

wych, za niemi zaś znajdował się kawał łąki, w wielki krąg ujętéj niskiém ogrodzeniem.

Dzień był październikowy, pogodny, godzina południowa—gdy w owym kręgu łąki, twardéj i równéj, Konrad Ręczyc, przypatrywał się bieganiu na linie ulubionych swych koni. W środku objętéj ogrodzeniem przestrzeni stał masztalerz, trzymając powróz, do drugiego końca którego przywiązany piękny koń czystéj krwi angielskiéj, z grzywą i ogonem na wiatr puszczonémi, zakreślał ogromne koła. Konrad w palonych butach i kraciastym spencerze, przypominającym krojem swym ubranie żokejów, stał oparty plecami o ogrodzenie i z uśmiechem zadowolenia na ustach ścigał wzrokiem bieg konia, ile razy zaś ten w pędzie swym zbliżał się do niego, rozwijał trzymany w ręku bicz kilkołokciowéj długości, który przerzynał powietrze z przeciągłym gwizdem i wydawał w końcu klaśnięcie głośne, konia do zdwojenia szybkości biegu pobudzające.

Niedaleko miejsca tego szerokie wrota jednéj z murowanych budowl na oścież były otwarte, a w koło nich uwijało się gorliwie pięciu stajennych ludzi, wyprowadzając ze stajni konie różnéj wielkości i maści, które zmieniały się, przybywały, odchodziły, aż nakoniec skończyło się bieganie, i rozpoczęło ujeżdżanie młodych koni, lub przejeżdżanie starszych, już wyćwiczonych, którą to czynnością zajmowali się sam pan, masztalerz i dwóch stajennych.

Konrad, zbliżywszy się podczas jązdy ku dziedzińcowi, zobaczył zakręcający na dziedziniec jednokonny wózek, a na nim siedzących dwóch Izraelitów.

— Jacy to Żydzi? zapytał masztalerza.

Masztalerz przymrużył oczy dla lepszego widzenia i odparł:

— Zdaje się że to dzierżawcy Orchowa, Eli Makower i Efroim Lejbowicz.

Konrad zasępił się nagle. Miał znać powody obawiać się izraelskich gości, a choć z dwoma przybywającymi nie łączyły go dotąd żadne interesa, to jednak, gdzie Żyd się ukaże, tam zawsze dopominanie się o dług jest prawdopodobne.... choć także i zaciągnięcie pożyczki możebne....

Ostatnia ta myśl uspokoiła znać nieco syna pani Malwiny, bo raźnie zeskoczywszy z konia, a bicz zamieniwszy w spicrutę ze złoconą gałką, przeskoczył ogrodzenie ujeżdżalni i szybkim krokiem zmierzał ku pałacowi.

Wózek tymczasem pokornie zatrzymał się na uboczu, w pobliżu bramy, a przybyli nim Izraelici, jeden z małym rudawym zarostem, drugi z wielką, czarną jak smoła, brodą, porozmawiawszy z sobą pocichu, zaczęli iść w takim kierunku, aby w połowie dziedzińca spotkać się z panem domu.

Konrad szedł széroką zwirowaną drogą, zamaszystym krokiem, wywijał spicrutą i pogwizdywał zlekka. Żydzi posuwali się wązką ścieżyną, śród murawy dziedzińca wydeptaną, stąpali powoli i cicho, jakby obawiając się przejściem swém szkodę jaką wyrządzić. Eli przodował: trzymał się prosto i z powagą, rękę do rudéj bródki podnosząc; Efroim przygarbiony, z pod brwi strzępiastych badawcze dokoła rzucając spojrzenia, ręce zatapiał w kieszeniach chałata.

— Dzień dobry jasnemu panu, pozdrowił Eli, gdy kilka już tylko kroków dzieliło go od Konrada.

Efroim nie rzekł nic, ale ukłonił się daleko niżéj od Eliego. Wysoka postać jego, barczysta i przygarbiona, nabiérała w ukłonie elastyczności szczególnéj.

— Dzień dobry! dzień dobry! a zkąd to? odparł, zatrzymując się Konrad.

— My possesory z Orchowa.....

— Wiem, wiem!.... A co panowie powiecie?

— My do jasnego pana z interesem.

Odpowiedzi tych udzielał Eli. Efroim ust nie otwierał, a tylko oczy jego czarne tonęły coraz głębiéj w twarzy dziedzica Ręczyna.

— Jakiż to interes? zapytał Konrad, z trochą niespokojności w głosie.

— To jest taki interes, którego trzema słowami opowiédzieć nie można. My chcieliby z jasnym panem na osobności pogadać.....

— Dobrze, proszę do pokoju!

Zmierzali wszyscy trzéj ku pałacowi. Gospodarz domu szedł naprzód, Żydzi postępowali z tyłu, milcząc i rozglądając się dokoła.

— Jasny pan cóś buduje? przerwał milczenie Eli i wskazał na budowę obszérną, nawpół już z drzewa wzniesioną, około dokończenia któréj krzątali się ludzie, zgrzytały piły, stukały topory.

Konrad spojrzał na punkt wskazany.

— A tak, rzekł, to będzie stajnia.

— Piękna będzie stajnia, zauważył Eli.

Efroim skośne spojrzenie rzucił na jedną stajnię murowaną i końmi napełnioną, na drugą budującą się, i na ich właściciela.... i szybki jak błyskawica, kręty uśmiech przewinął mu się po ustach.

Z obszernéj sieni, która byłaby ładna, gdyby nie szpeciły jéj posążki i lusterka najgorszego smaku, pan domu i dwaj przybyli weszli do sali jadalnéj, błyszczącéj od złoconych obić, woskowanych posadzek i politurowanych mebli. Tu Konrad zatrzymał się, usiadł na jedném z krzeseł, dwa

inne zaś, w blizkości drzwi stojące, izraelskim gościom swym wskazał.

— Siadajcie, panowie, rzekł; jakiż tam interes?

Żydzi usiedli, a Eli pierwszy głos zabrał.

— Prawdę mówiąc, ja tu nie miał potrzeby przyjeżdżać sam; to nie mój interes, tylko mego szwagra i spólnika, Efroima Lejbowicza.

Mówił to powoli, z uśmiéchem, i nie odwracajac głowy, wskazał ręką umieszczonego za plecami jego towarzysza.

— *Un* chciałby u jasnego pana majątek w arendę wziąć.... Czy jasny pan *puści* jemu Ręczyn w arendę?

— Jakże ja mogę, odparł, mówić z wami o dzierżawie Ręczyna, kiedy kontrakt Josiela skończy się ledwie za rok?.....

Eli głową przytwierdzająco kiwał.

— Nu, rzekł, albo my o *tego* nie wiemy? A jeżeli Josiel ustąpi nam ten rok?.... Jasnemu panu wszystko jedno byle *un* do jasnego pana pretensyi żadnéj nie miał.

— Jakto? chcecie wziąć Ręczyn na rok jeden?

— Na rok? powtórzył Eli; kto to arenduje majątki na rok? Jeżeli między jasnym panem i Efroimem stanie zgoda, to *un* u jasnego pana Ręczyna inaczéj nie weźmie, jak na dziewięć lat.... nu, niech na sześć......

— Na sześć! na dziewięć! zawołał Konrad żywo, powstając z krzesła. Ho, ho! jak to wam łatwo powiedzieć! Trzebaby chyba waryatem być, żeby na tak długi czas majątek w wasze ręce oddawać. Josiel trzy lata dopiéro w Ręczynie gospodaruje, a co on już z tym majątkiem zrobił! Ziemię mi niszczy.... budowli nie naprawia.... łąk nie czyści.... Na dziewięć lat! Jak Boga kocham, to śmieszna nawet propozycya. Na ten jeszcze rok bierzcie sobie Ręczyn

od Josiela, to już nie moja rzecz; ale późniéj niewydzierżawię.... jak Boga kocham nie wydzierżawię! Będę sam gospodarował i pokażę wam wszystkim co to Ręczyn i czy ja tyle będę z niego miał, ile mi Josiel płaci.

Mówiąc to, szerokiemi krokami przebiegał salę, rozmachiwał rękami, a głos i wyraz jego twarzy oznajmiał silne postanowienie utrzymania się przy wypowiedzianych zamiarach.

Żydzi milczeli; Eli z zamyśleniem patrzył w ziemię, a Efroim, z postacią naprzód podaną i otwartemi nieco usty, ścigał pilnie wzrokiem, każde poruszenie pana domu.

Eli piérwszy znowu przerwał milczenie.

— Przepraszam jasnego pana, że ja ośmielę się jeszcze dwa słowa tylko w tym interesie powiedzieć. Ale jak to mówią: kupić nie kupić, potargować wolno.... co to szkodzi? Otóż ja jasnemu panu to tylko chciałbym powiedzieć, że Efroim nie taki gospodarz jak Josiel.... Josiel dobry człowiek, ale biédny; u niego z piéniędzmi kuso i dla tego *un* rzuca się jak ryba w wodzie, a gospodarstwo może i nie tak idzie jak trzeba. Efroim, dziękować Bogu, ma za co gospodarstwo prowadzić... *un* jasnemu panu zaraz 150 sztuk bydła do majątku wprowadzi, a arendę może choćby i za dwa lata z góry jasnemu panu zapłacić.....

Początku mowy Żyda Konrad słuchał z widoczną niecierpliwością, nie przerywając przechadzki swéj po sali i uśmiechając się z lekceważeniem; końcowe przecież mowy téj wyrazy wywarły na nim wpływ widoczny. Stanął, ręce w tył założył i pochylony ku Żydom, powtórzył:

— Za dwa lata z góry? No, no, każdy z was tak mówi, gdy chce interes zrobić; ale jak przyjdzie co do czego, zaczyna się jęczenie, narzekanie....

— Nu, przerwał Eli, na co tu jęczenie? kiedy jasny pan chce, to my jasnemu panu zaraz zadatek dać gotowi... Ile jasny pan żąda?

Konrad z pochyloną głową i rękami wtył założonemi puścił się na zamaszystą swą po sali przechadzkę. Żydzi milczeli jak wprzódy.

— Nie, rzekł po chwili pan domu, stając i jakby wewnętrzną jakąś chwilową walkę stanowczo rozstrzygając— nic z tego nie będzie, moi kochani.—Mnie majątku szkoda... sam gospodarzyć będę. Wy nigdy nie możecie mi dać tego, co ja z Ręczyna mieć muszę. Do zobaczenia!

Skinął głową, na znak pożegnania i miał już odejść w głąb domu, gdy milczący dotąd Efroim powstał z krzesła jak sprężyną ruszony i rzekł:

— Za pozwoleniem jasnego pana, ja jeszczė tylko słówko powiem. Jasny pan zgodzi się czy nie zgodzi... wola jasnego pana, ale ja powiem.... Ja tu już zadatek przywiózł ze sobą. Kontrakt napiszemy późniéj.... My jasnemu panu wierzymy i wiemy że jasny pan nie będzie chciał tego co nie może być... Ja te same warunki przyjmę co Josiel a *piéniądzów* dam więcéj.... Tymczasem ja zadatek przywiózł.... dwa tysiące *rublów*. Jeżeli jasny pan żąda, to ja te dwa tysiące gotówką zapłacę: a jeżeli jasny pan chce dla mnie bardzo już wielką łaskę zrobić, to weźmie tylko tysiąc dwieście, a za osiemset ja jasnemu panu czterych *koniów* dam.... ale takich koniów.... karétnych.... ja ich u księcia R. za dług wziął i teraz nie wiem co z niemi robić....

— Któreż to konie księcia? przerwał Konrad; te któremi on sam jeździł, czy może te co zawsze do kocza zaprzęgali, kiedy księżniczki jechać miały?

— *On* niemi nie jeździł wcale i do kocza ich jeszcze nie zaprzęgali, bo to konie młode, ze stadniny.

— Ze stadniny księcia?! zawołał Konrad. A to, jak Boga kocham, osobliwość! Czy nie po turczynce, co to na wyścigi do Warszawy chodziła?

—Po turczynce, odpowiedział Efroim, przytwierdzająco głową kiwając, i po *tego ogiera*, co to jego książe zkądciś sprowadził.

— Po białonogim! zawołał Konrad. Ależ to jak Boga kocham, rzecz dziwna, że książe je tobie oddał! One u ciebie zmarnieją. Czy nie nakrywasz ich na noc derkami?

Dobył cygarnicy ozdobnéj z kieszeni surduta i wyąwszy z niéj dwa papiérosy, jeden zapalił sam, drugi podał Efroimowi. Efroim wziął papiéros, nie zapalił go jednak, lecz mówiąc pośpiesznie: „dziękuję jasnemu panu," oddał Konradowi zwykły swój nizki, elastyczny ukłon.

—-Siadaj, siadaj panie Efroim! rzekł pan domu, którego twarz wyrażała w téj chwili wielką uprzejmość i jak najlepszy humor. Gdzież u ciebie stoją te konie? czy w Orchowie? Ale tam stajni bodaj porządnéj niéma. Trzebaby im podściółki z cienkiéj słomy, bo jeżeli one po białonogim i turczynce, to muszą być delikatne w lędźwiach i miękkie w kopytach.....

Nagle, jakby przypomniał sobie o czemś, wyjął z cygarnicy trzeci papiéros i zwrócił się z nim ku miejscu, na którem poprzednio siedział Eli. Ale Eliego w sali już nie było. Zaraz przy pierwszych słowach Efroima o zadatku, mającym być w części uiszczonym w postaci koni, zamienił on ze spólnikiem swym szybkie spojrzenie i powoli, na palcach, najmniejszego nie czyniąc szelestu, wysunął się z sali przez drzwi najbliższe.

Niedarmo Eli przez lata długie był naprzód faktorem, potém kupcem handlującym zbożem i drzewem. Znał on

okoliczne dwory szlacheckie, jak własne swe mieszkanie; wiedział gdzie w nich położone są pokoje panów i apartamenta pań, w któréj stronie domu znaleźć można służbę męzką lub żeńską.

Opuścił sień pałacową, wyszedł na dziedziniec krętemi schodami, dostał się na jeden z czterech bocznych balkonów. Tu znalazł drzwi nawpół oszklone, które otworzył zwolna i bez łoskotu, a przestąpiwszy próg, stanął w dużym, widnym pokoju, napełnionym od sufitu do podłogi szafami i komodami. Była to garderoba, a w niéj dwie panny służące, siedząc u okien, haftowały, trzy inne prasowały muśliny, żaknoty i koronki, szósta zaś, najniżéj znać w hierarchii garderobianéj położona, w spódnicy brudnéj i zgrzebnéj koszuli, stała przed ogniem, wyjmując z niego rozpalone do czerwoności dusze i podawała je prasującym. Prócz téj ostatniéj dziewczyny, służące pałacowe w Ręczynie były prawdziwemi *pannami*, ładnemi, zręcznemi gustownie i fertycznie ustrojonemi.

Eli zatrzymał się przy progu, powiódł oczami po licznem gronie niewieściém i z uśmiechem wymówił:

— Dzień dobry panienkom!

Panny haftujące podniosły na niego oczy.

— Ah, pan Eli! wyrzekła jedna z nich uprzejmie zkądże to Pan Bóg prowadzi?

— Kto to panu Elemu pozwolił tu wchodzić? tu mężczyznom wstęp wzbroniony, pogroziła druga.

— Może pan Eli cukierków nam przywiózł, tak jak trzy lata temu, kiedy to u pani zboże kupował....

— Pan Eli przyrzekł wtedy, że wystara się dla nas o kawalerów? Gdzież ci kawalerowie?

Szczebiotałyby dłużéj jeszcze, rade że obca twarz jakaś przerwała haremową monotonność ich życia; lecz Eli,

który od początku rozmowy postąpił w głąb pokoju i stanął przed ogniem, wygodnie o komodę oparty, zawołał:

— Ny, ny! jak panny będą tak gadać ciągle, to ja do końca świata nie będę mógł nic powiedzieć. Niech panny trochę pomilczą, to ja na *wszystkiego* odpowiem. Cukierków ja nie przywiózł, bo niema jeszcze za co. Jak będzie za co, to ja przywiozę.—A jaka przyczyna mnie tu przyprowadziła? Nu, jaka ona może być? tylko ta, że chciałbym widzieć się z jasną panią.

— Pani jeszcze nie ubrana, rzekła jedna z panien haftujących.

— A na co mnie ubranie jasnéj pani? niech ona sobie będzie nieubrana, żeby ja tylko mógł z nią pogadać.

— Czy pan Eli ma jaki interes?

— Kiedy ja tu przyjechał, to z interesem. Ja na spacer nie jeżdżę.

Żyd stał przed kominem, poły odświętnego znać, bo czystego, połyskującego chałata rozgarnął i kolana sobie przed ogniem wygrzewał. Jedna z panien zaszeleściła suknią i z garderoby wybiegła do pani. Po chwili wróciła.

— Niech pan Eli idzie, rzekła. Czy pokazać drogę?

— Na co ją pokazywać? rzekł Żyd, od komina odstępując; nie raz ja tu już był, i nie dziesięć razy.

Pani Maiwina w białym negliżu, obficie przystrojonym w hafty i różowe kokardy, siedziała na małéj kanapce, umieszczonéj w saloniku, któryby na piérwszy rzut oka wziąć można było za magazyn drobiazgów, tyle tam znajdowało się sprzętów i sprzęcików najrozmaitszego rodzaju: poduszek w przeróżny sposób wyszywanych, taburecików z włóczkowemi kotkami i pieskami, ekranów z pasterzami i rybakami, obrazków, sztychów, zwierciadeł i zwierciade-

łek na ścianach, flakonów, dzwonków, posążków z gipsu, z porcelany, ze szkla na stołach i stoliczkach. Samych lamp było tam ze sześć, a na każdéj z nich wisiało po parze ażurowych przykryć. Wszystko to razem tworzyło całość bardzo niełądną, bardzo niegustowną, przedstawiającą summę wartości, tak estetycznéj jak materyalnéj, żadną prawie, summę zaś kosztów na zgromadzenie szczegółów i szczególików tych poniesionych ogromną. Przez drzwi nawpół tylko zamknięte od sąsiedniego pokoju słychać było rozmawiające z ożywieniem po francuzku głosy kobiéce, w pobliżu zaś drugich drzwi, niedaléj jak o parę kroków od nich, stał Eli z rękami w tył założonemi, słuchał bardzo uważnie szczebiotania pani domu.

Zaraz po przywitaniu, zapytał ją o zdrowie.

— Ach mój Elku kochany (pani Malwina, po dawnéj znajomości używała w rozmowie z nim zdrobniałéj formy imienia), remarkuj tylko sobie, jakie to może być zdrowie, kiedy się siedzi na wsi, jak na pustyni! Migrenę miéwam codzień prawie.... a co wieczór tak mię dusi poziewanie nerwowe, że nie mogę sobie miejsca znaleźć w całym pałacu... Wczoraj szczególniéj dostałem takiego ataku, że.... remarkuj sobie, o ósméj godzinie położyłam się do łóżka.... Jakie tam może być zdrowie, Elku kochany, na pustyni....

Mówiła to wszystko z wielkim zapałem, przerywając sobie śmiéchem i westchnieniami i gestykulując żywo pulchnemi rączkami, w których trzymała kłębuszek jakiś z cieniutką bawełną i srebne widełki, przeznaczone widać do robienia szlareczki czy koroneczki.

— Przepraszam jasną panią, zaczął Żyd powoli i z przyjemnym na ustach uśmiéchem, ale ja muszę pani powiedzieć, że kiedy jasna pani choruje i tego poziéwania

dostaje, to jasna pani sama temu winna... Dlaczego jasna pani nie szanuje się?...

Pani Malwina szeroko od zdziwienia oczy otworzyła.

— Ależ ja szanuję się, mój Elku, szanuję się tak, że już więcéj nie można! Figuruj sobie, że od miesiąca krokiem nie ruszyłam się z pałacu.... chyba karétą... Codzień na noc biorę krople laurowe... piję oranżadę i nic nie jem, prócz piersi od jarząbka i konfitur.

— Nu, rzekł Eli czy to jasna pani tak szanować się powinna? Te krople o których jasna pani mówi i te jarząbki dobre, ale jasnéj pani czego innego potrzeba.... jasnéj pani do Paryża trzeba na mieszkanie wyjechać, to tam zaraz i doktory dobre, i weseléj i poziéwanieby ustało....

— Ach, mój Elku, krzyknęła pani Malwina, podskakując na kanapie i wypuszczając z rąk kłębuszek, co też ty mówisz! co też ty sobie imainujesz! Ja do Paryża na mieszkanie?... Wy o paryzkich bulwarach i wyobrażenia nie macie!... Co wieczór tak tam jasno, że szpilki można zbierać po ulicy. Ale czy to teraz takie czasy, mój Elku, żeby do Paryża na mieszkanie jechać?... Ja Koniowi codzień prawie mówię: jedź do Paryża! słyszane to rzeczy, aby młody człowiek *comme il faut.* Paryża nie widział? Ale on wybiéra się, wybiéra, a potem.... bęc! cóś na niego spadnie, i znowu jechać nie może.

— Nu, przerwał Eli, a co takiego na jasnego panicza spada.

— A cóż, jeśli nie kłopoty, mój Elku. Czasy ciężkie!.. Konrad ma taką pasyą do tych koni!... ot i teraz stajnię dla nich buduje... czy myślisz że to mało kosztuje? Jak tu przy tém wszystkiém o Paryżu jeszcze myśleć?

— Nu, to niech jasna pani choć do N. wyjedzie.

— Do N? Ależ figuruj sobie, moja duszo, ile to ekspensów pociągnie. Trzeba mieszkanie nająć, stosowne naturalnie meble z Warszawy sprowadzić, a i tualeta zaraz inna.

— Co to jasnéj pani o to biédować? Już ja jasnéj pani mówię, żeby ten interes tylko zrobić co ja radzę...

Pani Malwina obie ręce do uszu podniosła.

— Elku! zawołała żałośnie, nie mów mi nic o interesach, ja do nich nigdy żadnéj inklinacyi nie miałam!.. Oj, poziéwanie!

— Nu, rzekł Eli z uśmiechem, ja tylko kilka słów powiem... Tu jest jeden Żydek, mój szwagier, co chce od jasnego pana Konrada Ręczyn w arendę wziąć... *Un* każdego roku wyprawia zboże do Królewca i sam jeździ....

— Do Królewca jeździ? co rok? z nagłem zainteresowaniem się zawołała pani Malwina.

— Każdego roku zboże do Królewca posyła, a czasem to i sam jeździ. Jakby *un* Ręczyn w arendę *wziuł*, to *un* jasnéj pani mógłby zawsze wszystkiego z Królewca przywozić.

— A w tym roku pojedzie?

— Dla czego nie ma jechać?

— A, mój Elku kochany! jaki ty dobry jesteś, że mi o tém powiedziałeś! Tyle mi rzeczy potrzeba! Jak twój szwagier będzie się wybiérał, to ci dam regestrzyk.... zobligujesz mię mocno... A kiedy to on pojedzie.

— *Un* zawsze na wiosnę jedzie.

Rozradowana twarz pani Malwiny zasępiła się trochę.

— Na wiosnę? powtórzyła z lekkiém westchnieniem. Widzisz-bo, mój Elku... na wiosnę jakoś najtrudniéj... remarkuj sobie, rzecz śmieszna... Dawniéj przednówki u chłopów bywały, a teraz bywają i u nas... Żeby tak twój szwagier zrobił to dla mnie i pojechał w jesieni ...

— *Un* w jesieni jechać nie może, ale jeżeli *un* Ręczyn w arendę weźmie, to da teraz *dwa tysiąców* zadatku i jasna pani pojedzie na zimę do N. a na wiosnę *un* arendę za dwa lata zapłaci, to przednówka nie będzie. Trzeba tylko żeby *un* Ręczyn w arendę *wziul.*

— To niech bierze, duszo moja, zawołała pani Malwina, niech bierze.

— A jak *un* ma wziąć, kiedy jasny pan Konrad *puścić* nie chce?

— Konio nie chce? Dla czego nie chce? Co rok do Królewca jeździ!... mogłabym wyjechać do N. na mieszkanie, meble z Warszawy sprowadzić... figuruj sobie, że teraz najmodniéjsze niepoliturowane.....

— Jasny pan Konio Ręczyna *puścić* nie chce, zcicha do przedmiotu rozmowy szczebioczącą kobiétę zwrócił Eli.

— Dlaczego nie chce? on chyba tak sobie kaprysi ... Ach, mój Elku! do N. na zimę! Niech tobie Pan Bóg wynagrodzi!

— Jasny pan Konio Ręczyna *puścić* nie chce, powtórzył Żyd.

Pani Malwina poskoczyła z kanapki.

— Jakto nie chce? dlaczego nie chce? oj poziéwanie moje, poziéwanie!

— Niech jasna pani z jasnym panem Koniem pogada.

— Idę, idę, mój Elku! pomówię, z Koniem. A nie widziałeś czasem gdzie on jest?

— *Un* tam w sali z moim szwagrem rozmawia.

— Idę, idę, i muszę zobligować go żeby to zrobił. Parę koni trzymać będę w N... Kabryolet od Rentla.... Dwie sztuki weby... aksamit dla Róży... batyst królewiecki.....

Ostatnie wyrazy mówiła już za drzwiami sąsiedniego pokoju.

Eli tymczasem, opuściwszy apartament pani domu, spotkał się u stóp krętych wschodków z idącym naprzeciw niemu Efroimem. Żydzi spojrzeli na siebie i błyskawiczne uśmiechy przeleciały im po ustach. Wnet jednak stali się poważnymi bardzo i zwolna krocząc wązką ścieżyną ku folwarcznym zabudowaniom, zamieniali zcicha tylko wymawiane słowa.

— No cóż?.. zapytał Eli.

— A Cóż? odpowiedział Efroim. Powiedział że pomyśli i z matką pogada.... Kazał poczekać u Josiela. A ona?

— Ona? poszła pogadać z synem.... zkąd tobie, Efroim, przyszły na myśl te konie?

— A zkąd tobie przyszło na myśl *do niéj* iść?

Eli skinął głową.

— Nu, rzekł, już ja *ją* dobrze znam, a ty *jego* piérwszy raz dziś widział.

Efroim ukazał znowu w szybkim uśmiéchu białe zęby.

— Ja dziś z *nim* piérwszy raz gadał, ale ja *na niego* dawno już patrzę, a dziś, jak zblizka popatrzyłem.... no....

Przerwał sobie i po chwili dodał:

— Na nich trzeba tylko dobrze popatrzyć, a potém to już tylko....

Uczynił taki ruch palcami, jakby miał pochwycić cóś w powietrzu i umilkł.

Eli pokiwał głową.

— Głupie ludzie! rzekł.

— A jakie pyszne! aj, aj! z ironią dodał Efroim!

— A czemu *oni* nie mają być pyszne? *hörste*, wymówił Eli i zatrzymując się nagle, dodał: *sieh!*

Z ostatnim wyrazem rękę przed siebie wyciągnął i wielki krąg w powietrzu nią zakréślił, jakby wskazując liczne otaczające przedmioty.

Z miejsca, na którém stali dwaj Żydzi można było ogarnąć cały dwór ręczyński i znaczną część otaczającéj go przestrzeni. Nad dachami pięknych murowanych budowli zwieszały się gałęzie rozłożystych kasztanów; pałacyk w lekkich i wdzięcznych, jakkolwiek dla oka znawcy niepoprawnych, zarysach wznosił się na tle nieba błękitnego i złocistéj teraz ogrodowéj gęstwiny; za sztachetami biegły pola równe, szérokie, pasami łąk i lasów poprzerzynane; na folwarcznym dziedzińcu ryczało bydło, a z za ogrodu dolatywał poważny szum Niemna.

Dwaj Żydzi wodzili dokoła wzrokiem, w którym zapalały się coraz liczniejsze, coraz żywsze i migotliwsze światła.

— Aj, aj! westchnął Eli, żeby to ja miał to wszystko, czy jaby tak z rąk wypuszczał, jak ten głupi?

Pięści Efroima ściskały się powoli i silnie.

— Głupi ty sam, Eli! wyrzekł przez zaciśnięte zęby. A czy ty kiedy widział, żeby Żyd miał takie dwory i takie ziemie? Żydzi tego nigdy nie mieli; im tego nie wolno mieć...

— Niech biorą to co im wolno, uśmiéchnął się Eli, wracając do zwykłego sobie spokoju.

Z ostatniemi słowy przekroczył próg folwarcznéj oficyny, a za nim postąpił Efroim.

Nie upłynęło pół godziny, gdy chłopak kredensowy przybiegł z pałacu.

— Panie Josiel! zawołał, pan prosi pana Josiela i tych kupców, co tu dziś przyjechali.

Trzéj Izraelici znaleźli pana domu przechadzającego się po sali jadalnéj i bardzo zamyślonego.

— Siadajcie panowie, rzekł Konrad na widok wchodzących Namyśliłem się.... pomówiłem z moją matką...

Bierzcie już Ręczyn, czy co... ale ja na dłużéj nie oddam, jak na trzy lata.

— Przepraszam jasnego pana, wtrącił Efroim ze zwykłym sobie nizkim, szybkim ukłonem, ja na trzy lata nie wezmę...

— No to ruszaj sobie, mój kochany, z panem Bogiem. Ja na dłużéj nie zaprzedam Ręczyna—jak Boga kocham nie zaprzedam! Cóż to? Czy to ja całe życie mam tylko patrzyć, jak wy mi tu gospodarować będziecie pod nosem? A jaż to sam kto jestem?

— Jasny pan jest jasnym panem, wtrącił z nowym ukłonem Efroim. Co to jasnemu panu szkodzi, że my będziemy pracowali, a jasny pan będzie tylko od nas brał gotowych pieniądzów.

— Dziękuję! zawołał Konrad. Zniszczycie mi majątek. Czy to ja waszego gospodarowania nie znam? Chcecie, to bierzcie na trzy lata; na dłużéj, jak Boga kocham, nie oddam.

Mówił to z pewném wzburzeniem i wyrazem silnego postanowienia na twarzy. Eli zwrócił się ku spólnikowi i spojrzał na niego znacząco. Efroim sięgnął do kieszeni chałata, i wyjąwszy z niéj sporą pakę asygnat, podał je Eliemu, który z pieniędzmi w ręku zbliżył się do stołu.

— Nu, rzekł z uśmiéchem niech jasny pan nie gniewa się. Wszystko to można zrobić tak, żeby i jasny pan był kontent i Efroim nie odjechał ztąd z niczém. Moja rada taka. Na co teraz o warunkach gadać? Do wiosny jeszcze daleko, a nim ona przyjdzie, i jasny pan namyśli się, i Efroim namyśli się. My tymczasem jasnemu panu zadatek damy, a jasny pan *takiego* tylko nam *zaręczenia* napisze, że jeżeli na wiosnę zgoda będzie z Efroimem o warunki

kontraktu, to Ręczyn zostanie przy nim, a pieniądze przy jasnym panu — a jeżeli zgody nie będzie, to jasny pan *piéniądzów* jemu odda, a on pretensyi żadnéj mieć nie będzie. A co, czy ja nie dobrze poradził?

Mówiąc tak, rozkładał na politurowanym stole storublowe asygnaty.

— Nu! zawołał Efroim, jakby po namyśle, gut! niech tak będzie, jak Eli powiedział. Niech moje pieniądze u jasnego pana leżą, to ja zawsze będę miał pierwszeństwo, a jasny pan niech mnie *takiego* kartkę napisze.

Propozycya była, z pozoru sądząc, arcy-niewinną i bardziéj dla *jasnego pana* niż dla Żydów dogodną. Zechce po kilku miesiącach wydzierżawić majątek — to wydzierżawi go; nie zechce, — to odda tylko pieniądze, a z majątkiem uczyni co mu się będzie podobało. O procentach nawet od umieszczonego w ten sposób kapitału Żydzi nie wspominali ani słowa. W dodatku asygnaty storublowe, które Eli rozkładał na stole, były takie powabne!....

Nagle Żyd przerwał sobie liczenie asygnat.

— Czy jasny pan każe *dwa tysiąców* rubli przeliczyć czy 1,200, a za resztę tych koniów?

— Héj! Karol! zawołał Konrad na lokaja, papieru i kałamarza.

Nie zaprosił izraelskich gości swych do gabinetu, tak jakby to uczynił każdy z okolicznych dziedziców, ale przyrządy do pisania przynieść kazał do sali jadalnéj; uczynił to zaś dla téj prostéj przyczyny, że w niezmiernie tylko wyjątkowych i rzadkich wypadkach spełniając akt czytania i pisania, pokoju oddzielnego w tym celu nie posiadał. Z wyszukaniem też papieru i atramentu zachodzić musiała w pałacu ręczyńskim trudność niejaka, bo wysłany po te

przedmioty lokaj długo nie wracał, aż nakoniec przyniósł na srebnéj tacy ćwiartkę welinowego papiéru, kałamarzyk damski malutki, ze złoconym czubkiem.

Konrad napisał żądany dokument. Pisał długo i z widoczną trudnością. Kaligrafia i ortografia jego objawiały zarówno człowieka, który miał szczęście ukończyć co najwyżéj cztéry gimnazyalne klasy i studyów naukowych, tam rozpoczętych, nigdy już daléj nie prowadził. Dla Żydów przecież było to rzeczą zupełnie obojętną, jak i na czém był napisany dokument, który bardzo błogie wzbudzał w nich znać nadzieje, bo opuszczając pałac, mieli miny ludzi, co dobry zrobili interes. Na twarzy Eliego, spokojnéj zawsze i poważnéj, najmniéj odbijały się wewnętrzne uczucia, ale czarne oczy Efroima błyskały się i śmiały, gdy zstępował ze schodów ganku, a Josiel miał także uśmiech zadowolenia na ustach. Ten ostatni nie był wcale podobnym do dwóch swych współtowarzyszów. Z powierzchowności jego odgadnąć można było jednego z bardzo nielicznych Izraelitów, w których flegmatyczny charakter i pewna wrodzona życzliwość ku ludziom równoważyły, a nawet przeważały, pociąg do spekulacyi piénięžnych i żądzę zysku. Nie odrzuciłby zapewne zarobku, ale nie chciał okupywać go kosztem kłopotów i niebezpieczeństw, ani zdobywać go cudzą krzywdą. Dla tego to wszystkiego Ręczyn był mu stanowiskiem niedogodném, które z pomocą przyjacielskiego pośrednictwa Eliego usiłował zdać na Efroima.

— *Un* sobie lepiéj tu poradzi od ciebie, rzekł Eli z uśmiechem, wskazując na szwagra i zasiadając na ławie w izbie Josiela.

— Dziękuję, Eli, rzekł, dziękuję! Żeby nie ty możeby ja sam nie dał *jemu* rady.

Ścisnęli sobie dłonie. Posępna nieco twarz Efroima rozjaśniła się życzliwym uśmiéchem, a w głosie jego szczera była wdzięczność.

— Ot co tam! odparł Eli; albo ty nie mój szwagier? albo ty nie *nasz?*

Wyraz *nasz* ze szczególnym wymówił przyciskiem: dźwięczało w nim głębokie i żywe poczuwanie się do solidarności, do obowiązków pewnych względem wszystkich tych, których wyraz ten ogarniał.

— Ale, dodał, tyby i bezemnie poradził sobie. Kto *tych koniów* wymyślił?

Zaśmieli się wszyscy trzej.

— Nu, rzekł, rozweselony Efroim, ja wiedział zaraz, że jak ja o koniach jemu powiem, to *un* będzie mój. Ale jak *un* zaczął potém krzyczéć, że na sześć lat majątku nie *puści*, to już ja i sam nie wiedział co robić.

— A ja wiedział, rzekł Eli. Trzeba było tylko, żeby *un* pieniądze wziął. Wziąć to łatwo, ale oddać!...

— A jak odda? zagadnął Efroim, chwytając się za czarną brodę.

— Aj, aj! już ty o to spokojny bądź! Jemu nie do oddawania idzie, tylko do brania. Im na wiosnę tyle pieniądzów będzie trzeba, że i na dziesięć lat majątek puszczą, a tego co wzięli nie oddadzą ...

— A za posiewy co ja zrobił? zagadnął Josiel.

— Nu, o to już wy z Efroimem pogadajcie, mnie do tego nic.

Żona Josiela postawiła na stole przed trzema rozmawiającymi chleb, sól, dwa śledzie na wyszczerbionym talérzu i trochę prostéj wódki w butelce. Eli wódki nie tknął, ale śledzia jadł i chlebem przekąsywał. Zarazem w milcze-

niu i uważnie słuchał ożywionéj rozmowy, która wszczęła się pomiędzy Efroimem i Josielem. Rzecz szła o zwróceniu temu ostatniemu kosztów, na gospodarstwo w Ręczynie wyłożonych. Josiel wyliczał je inaczéj, a Efroim inaczéj. Przez dobry kwadrans trwało wzajemne przekonywanie się za pomocą szeregu liczb, wymawianych i na palcach ukazywanych, poczem chciwa i namiętna natura Efroima zaczęła brać górę nad flegmatycznością i skłonnością do ustępstw Josiela. Kiwał głową, wzdychał, za włosy się chwytał, opór niejaki stawiał jeszcze; ale Efroim obrotnym językiem i natarczywemi gestami przypierał go do muru. Nagle Eli wstał z ławy i podchodząc do sprzeczających się, wymówił zwolna.

— *Still!* gadaliście długo i ja wam nie przeszkadzał; teraz ja powiem słowo.

Dwaj targujący się umilkli i pytające oczy w mówiącego wlepili.

— Ty, Efroim, mówił Eli, racyi nie masz. Twoje liczenie niesprawiedliwe, a Josiela sprawiedliwe. Dlaczego ty chcesz jemu niesprawiedliwość wyrządzić? *Un* taki człowiek, że z nim wszystko można zrobić; leniwy, targować się nie lubi i wszystkiego boi się. Z tego korzystać nie można; trzeba zawsze podług sprawiedliwości robić.

Mówił to z wielką powagą i spokojnie lecz przenikliwie oczy swe z wyrazem pewnéj wyższości wlepił w twarz Efroima. Byłże to ten sam człowiek, który przed parą kwadransami tak zręcznie, tak bez skrupułu wyzyskiwał słabości mieszkańców pałacu; który przed chwilą jeszcze z takim radosnym i wzgardliwym uśmiechem zadzierzgnął jedno z oczek matni przeznaczonéj na oplątanie pana pałacu tego, w celach niezgadzających się bynajmniéj z pojęciem

sprawiedliwości? Teraz jako przyjaciel, jako rozjemca dwóch sprzeczających się ludzi, zalecał im sprawiedliwość, naganiał korzystanie z cudzych słabości. Miał więc pewne zasady moralne, pewne pojęcia o tém co słuszne lub niegodziwe, według których układać się powinny prawe i życzliwe stosunki pomiędzy ludźmi. Szło tylko o stosowanie tych zasad i pojęć. Stosował on je do spraw zachodzących pomiędzy spółplemiennikami jego... dalej rozpoczynał się krąg zjawisk, obowiązków, o których nie powiedziały mu nic ani ta edukacya, jaką przed wrotami zajezdnych karczem otrzymał, ani ta co pod dachem ojca jego Judela uczyła go miłości i sprawiedliwości dla *swoich*.

Kwadrans przeszło Eli dowodził milczącemu Efroimowi słuszności żądań Josiela.

Efroim milczał zrazu, ręce trzęsły mu się trochę i oczy niespokojnie biegały.

— A cóż, rzekł nakoniec niech tak będzie, jak ty mówisz, Eli. Ty jesteś sprawiedliwy człowiek, ja o tém wiem, bo nie rok jeden i nie dziesięć lat z tobą interesa robię. Ty dla każdego serce gotów wyjąć i pod nóż dać. Ja Josiela rachunek przyjmuję.

Josiel wyciągnął ku Eliemu dłoń otwartą.

— Dziękuję, Eli, rzekł, ty mnie dopomógł. Ale czy to piérwszy raz?

— Nu, nu, rzekł Eli, niéma o czego gadać - tak powinno być mnie już tak mój stary nauczył, kiedy ja ot taki maleńki był.

— Wypijmy na zgodę! rzekł Josiel, ujmując butelkę i kieliszek.

— Wypijmy, potwierdził Efroim.

Wychylili obaj po pół kieliszka gorzałki, Eli brzegi warg tylko umoczył w płynie. Ogarnęło go znagła zamyślenie jakieś; stał wyprostowany i wzrok rozjaśniony utopił w przestrzeni. Czuł się człowiekiem ważnym w sferze swojéj i dobrą rolę spełniającym. Powiedziano mu że jest sprawiedliwym, że dla braci swoich serceby wyjął i pod nóż położył: słowa te rozlały się po piersi jego jak krople najsłodszego miodu i uderzyły w głowę falą takich uczuć, które czoło choćby najbardziéj nawykłe do schylania się, podnoszą w górę.

W pałacu, pomiędzy matką i synem, toczyła się ożywiona rozmowa. Pani Malwina siedziała znowu na kanapce, śród tysiąca drobiazgów; Konrad chodził po pokoju, z twarzą trochę markotną.

— Widzi-bo mama, mówił, martwi mię to, że będę musiał znowu Ręczyn na trzy lata oddać. Zruinują majątek do szczętu...

— Nie wierz w to, kochaneczku, nie wierz ani trochę, perswadowała matka; poco go mają ruinować? Zresztą cóż robić? takie już czasy nastały, że musiémy oddawać się w ich ręce. Oni jedni tylko mają piéniądze....

— Myślałem, przerwał młody człowiek, że za rok wezmę się sam do gospodarstwa.

— Myślałeś tak, kochaneczku? dobrze! bardzo dobrze! jesteś statecznym młodym człowiekiem i nie masz żadnych brzydkich pasyj... Ale widzisz, człowiek nie powinien żyć dla siebie tylko.... masz matkę i siostry....

— Zdaje się, rzekł Konrad, stając, iż nie zapominałem nigdy o tém, że mama jest tu piérwszą osobą, a ja drugą.

— Uchowaj Boże, Koniu! nie zapominałeś, nie. Ale figuruj sobie, że ja tu dłużéj za nic w świecie siedzieć nie mogę.

— A gdzież? zapytał Konrad.

— Na mieszkanie do N. wyjadę.

Konrad przerwał znowu swą przechadzkę, stanął i w twarz matki oczy wlepił.

— Do N.? rzekł, ależ to będzie dużo kosztować.

— Bagatela, kochaneczku, bagatela! Zrobimy ekonomię.... Sześć pokoi, remarkuj sobie, tylko sześć pokoi.... pokoików.... byle pomieścić się... garnitur mebli z Warszawy... parę koni nam dasz, kabryolet od Rentla.... Paulinę, Marylkę, Dorosię, Karola, Grzegorza i Jana weźmiemy ze sobą.... tylko ich.... remarkuj sobie... nikogo więcéj...

— A ileż na to wszystko pieniędzy trzeba? zapytał Konrad, głosem wewnętrzną niepewność jakąś zdradzającym.

— Bagateli, kochaneczku, bagateli! daj mi tymczasem to co dziś od tych Żydów wziąłeś....

— Ależ ja nie mogę, moja mamo! mnie samemu potrzeba. Lejzor dopomina się o dług swój ..

— Lejzor poczeka .. Ach, poziéwanie moje, poziéwanie! Jestem chora okropnie!.. A Róża i Flora, figuruj sobie sam, czy to będzie ładnie, jeżeli staremi pannami zostaną?

— Ależ moja mamo! muszę tym robotnikom zapłacić, którzy stajnię budują....

— Poczekają, poczekają... zostaw sobie zresztą cokolwiek.. daj mi tysiąc rubli... remarkuj sam... tylko tysiąc...

Konrad z rękami w tył założonemi i głową w dół

zwieszoną chodził znów po pokoju. Pani Malwina ścigała go wzrokiem, w którym z za zwykłéj jéj lekkomyślności, przeglądał teraz pewien spryt najniższego gatunku.

— Mój Koniu! zaczęła ze szczególną powagą, ja jestem matką, a ty jesteś synem... Figuruj sobie tylko co to jest matka, a co syn... Życie ci dałam; po śmierci nieboszczyka ojca, kiedyś ty jeszcze ot taki był maleńki, majątkiem sama rządziłam... pałac ten zbudowałam... żeby nie ja, pałacu byś tego nie miał... alteracyi ci żadnéj nigdy nie sprawiłam... pasyj twojéj do tych zwierząt na drodze nie staję... Miéjże i ty dla mnie wdzięczność!... Pierwszéj młodości już nie jestem, potrzebuję zdrowie swoje i humor podtrzymać.

Konrad stanął znowu na środku pokoju.

— Moja mamo, rzekł, czy ja na mamę kiedy narzekałem? czy nie jestem przywiązanym i wdzięcznym synem? Mama była dla mnie bardzo dobrą i ja z powodu mamy żadnego nigdy zmartwienia nie miałem.

— A widzisz, kochaneczku, a widzisz!

Konrad pugilares z kieszeni wyjął i paczkę asygnat storublowych na stole położył.

— Mama jest tu piérwszą osobą, rzekł, a ja drugą. Niech mama robi sobie co chce, ja mamie sprzeciwiać się nie mogę.

Pani Malwina krótkie swe, pulchne ramiona wyciągnęła i szyję synowską niemi objęła.

— Niech ci to Bóg wynagrodzi, rzekła, całując czoło syna. Dobry syn z ciebie, kochaneczku! Daję ci za to macierzyńskie błogosławieństwo... a ty wiész, Koniu, co to błogosławieństwo macierzyńskie.

Ostatnie słowa uroczystym głosem wyrzekła i wskazujący palec prawéj ręki w górę podniosła. Konrad lewą jéj rękę do ust przycisnął.

— Dziękuję mamie, rzekł. Mam nadzieję że błogosławieństwo to uratuje mię od wszystkiego złego.

— Uratuje, kochanku, z pewnością uratuje!

Po tych wyrazach matka i syn wydobyli się z wzajemnego uścisku. Oboje mieli łzy rozczulenia w oczach.

Nastąpiła chwila milczenia. Konrad chodził znowu po pokoju, a pani Malwina chowała piéniądze do szkatułeczki. Konrad westchnął głośno.

— Jestem trochę niespokojny, rzekł.

— A czego? kochaneczku, zapytała matka.

— O interesa te... niech ich diabli...

— Nie mów mi tylko nic o interesach, kochanku. Co tam za interesa? jakie interesa?...

— Ale bo widzi mama.... może być kiedyś źle...

— Co źle? nie wierz w to ani trochę. Słuchaj tylko matki, która chce twego szczęścia.

— Więc cóż mam czynić?

— Staraj się o kuzynkę, staraj się...

— O Lilę?

— A tak, o Lilę.

— Ależ to jeszcze dziecko.

— Nie wierz w to ani trochę. Za rok będzie dorosłą panną. Kajetan pewno jéj testamentem summę posagową zapewni, a zresztą i bracia jéj nie skrzywdzą.... Kamil... no nie wiem ..wiész że życzę sobie aby się z Różą naszą ożenił... a Mieczysław znasz go... *avec ses sentiments chévaleresques*, siostry nie skrzywdzi.

— At! przerwał Konrad, już to żenienie się... niech je tam...

— Dlaczego kochanku, dlaczego? wszyscy żenią się... Czy obserwowałeś Lilę?

— Ot przyznam się mamie, że i nie patrzyłem na nią do tego czasu.

— To źle, to bardzo źle! powinieneś już *lui faire la cour*, bo potém kto inny gotów podskoczyć.... Dziewczyna jak obraz.... piękna będzie!

We drzwiach pokoju stanął lokaj.

— Jakiś Paweł Szyłło przyjechał, rzekł, i chce się widzieć z panem.

Konrad cmoknął z niezadowoleniem i ociągał się z odejściem.

— Cóż to za figura, ten Szyłło i czego on chce od ciebie? zapytała pani Malwina, układając w szkatułce koroneczki i wstążeczki.

— A to ten szlachcic, mamo, od którego mama pieniądze pożyczyła, kiedy to jeszcze dom nasz nie był skończony.

— Pałac, poprawiła pani Malwina. A, przypominam sobie! oblig podpisałeś z opiekunem jeszcze. . Ach!... moje poziéwanie!... Czegóż ten szlachcic chce od ciebie?

Odpowiedzi nie było, bo Konrad z brwią zmarszczoną i wzrokiem wbitym w ziemię pokój opuścił.

W sali jadalnéj Paweł Szyłło oczekiwał na audyencyą u młodego swego dłużnika.

— A! rzekł, wchodząc, Konrad, dzień dobry panu! Jakże się pan miéwa? kopę już lat pan u nas nie był. Cóż słychać w Łozowéj? jak zdrowie państwa Fabianowstwa?

Mówił to z przymuszonym uśmiechem na ustach, które krzywiły mu się mimowoli; usiadł i gościowi w pobliżu siebie miejsce wskazał.

Szyłło, ubrany w surdut odświętny, na którym znajdowała się jedna tylko łata, i to u spodu rękawa, w butach grubych, starannie oczyszczonych, w szerokiéj chustce wełnianéj, długiemi końcami na staroświecką atłasową kamizelkę spadającéj, ukłonił się, usiadł i kilka piérwszych słów powitania z wyraźném zmieszaniem wymówił.

— Prawdę pan dobrodziéj powiedziałeś, że kopę lat jakem ja tu nie był... Ot, nie chciałem o swój drobiazg dokuczać... Teraz jednak przyjechałem do pana dobrodzieja z prośbą...

— Cóż takiego? cóż takiego? zapalając papiéros i otwartą cygarnicę gościowi podając, wymówił Konrad.

— Ot, czy nie mógłbym już teraz z łaski pana dobrodzieja do swojéj własności powrócić?...

Obracał w ręku papiéros, nie zapalając go i z trochą niepokoju patrzył w twarz dziedzica Ręczyna.

— Cóż to? zaczął Konrad, jąkając się i spuszczając oczy, pan chce... pan wymaga... abym panu....

— Broń Boże, nie wymagam, panie dobrodzieju; chciałem tylko prosić, czybyś pan nie mógł mi kapitaliku mego teraz zwrócić... Dziesięć lat już mija, odkądem swą folwarczynę w złą godzinę jakąś sprzedał, a kapitalik za nią wzięty u pana dobrodzieja i u panów Orchowskich ulokowałem... Nie byłem dokuczliwy, nie łaziłem,—nie stękałem... i teraz możebym sam, ot tak z własnéj intencyi tu nie przyjechał... ale mam starą matkę, chciałbym ją wziąć do siebie... mam dzieci... syna, który mi panie dobrodzieju

w dęba urósł... trzebaby go do gospodarstwa przyłożyć, jaką choćby dzierżawinę wziąwszy...a tu bez piéniędzy ani rusz..

Konrad powstał żywo z krzesła i zaczął według zwyczaju swego przechadzać się po sali. Szyłło wodził za nim oczami z niepokojem widocznym.

— Mój panie Szyłło, rzekł po chwili Konrad, przed gościem swym stając, ja dalibóg nie wiem co już mam panu powiedzićć. Piéniądze się panu należą... nie przeczę... tylko... że ja panie Szyłło pieniędzy dalibóg teraz nie mam.

Szyłło głowę pochylił.

— Ot, rzekł człowiek już sobie wszystko tak ułożył, na duchu wzmógł się... bo to, panie dobrodzieju mój nie łatwo na duchu wzmódz się komuś, kto od tylu już lat łaskawy chléb jada. Byłbym tak i dłużéj żył jeszcze, ale siostra przyjechała i rzekła: wzmóż się, Pawle, na duchu! Otóż wzmogłem się i o kawał gruntu do wydzierżawienia z chatą rozpytałem, i znalazłszy go, do pana dobrodzieja przyjechałem. No, ale widzę że mi gwiazda moja źle przyświéciła i że do łaskawego chleba wrócić wypadnie.

Mówił to głosem przerywanym i goryczą pewną przebrzmiéwającym. Konrad chodził po sali, zawstydzony trochę i rozgniéwany.

— Mój panie Szyłło, rzekł, cóż ja zrobię, kiedy nie mam? jak Boga kocham nie mam!

— Możeby choć procenciki pan dobrodziéj teraz mógł oddać. Uzbiérało ich się latami może na jakie tysiąc rubelków lub więcéj... Na piérwszy rok starczyłoby, a potém jak Bóg zrządzi...

Konrad stał na środku sali i myślał.

— Zaczekaj trochę, panie Szyłło, rzekł po chwili i śpiesznie wyszedłszy z sali, szerokiemi krokami ku pokojom matki podążył.

— Mamo! zaczął, wchodząc do składu drobiazgów, ten Szyłło dopomina się o swoje pieniądze... jak Boga kocham ma racyą.. Dziesięć lat już mu kapitał trzymamy... Nie wiem sam co to takiego, ale mi człowieka tego żal.... chciałbym mu oddać!

— A to oddaj mu, duszo moja, oddaj, kiedy chcesz! albo ja ci zabraniam oddać? zawołała pani Malwina, która mowy syna wysłuchała z widoczną niecierpliwością.

Konrad széroko oczy roztworzył.

— Jakże ja oddam, rzekł, kiedy nie mam pieniędzy? Mama najlepiéj wié, że nie mam.

— To nie oddawaj, duszo moja, odparła matka, nie oddawaj i powiédz mu żeby sobie pojechał.

— Wstyd to trochę, jak Boga kocham, ciszéj zauważył syn.

Pani Malwina ołóweczkiem w srébro oprawnym cóś na kawałku papiéru kreśliła.

— Sztuka weby najcieńszéj... szeptała, aksamit dla Róży... biureczko z różanego drzewa... dywaników cztéry..

Układała regestrzyk sprawunków do Królewca.

— Mamo! rzekł Konrad.

— A co tam? kochaneczku, dystrakcyą mi robisz...

— Możeby te tysiąc rubli, które mama wzięła na nowe meble i wynajęcie mieszkania w N., oddać tymczasem Szylle...

Przerwało mu poruszenie się nagłe pani Malwiny z kanapki.

— Koniu! zawołała, rękami trzęsąc, nie mów ty mi o interesach ani słowa! Podaj mi ze stoliczka flakon z tualetowym octem i idź sobie precz!

Konrad podał flakon pośpiesznie i wzdychając głośno, miał się ku odejściu. Matka rzuciła za nim spojrzenie takie, jakby go pożałowała.

— Słuchaj, kochaneczku, rzekła, nie bądźże dzieckiem! Kto to teraz długi płaci? czasy ciężkie! Niech ten Szyłło kontentuje się tém, że piéniądze jego nie przepadną. Powiedz mu że sami ledwie mamy żyć z czego...

Ale Konrada już nie było w pokoju.

— Mój panie Szyłło, rzekł dziedzic Ręczyna, wchodząc do sali jadalnéj, już na to nic nie poradzę... piénię̨dzy niéma... Czy to teraz takie czasy żeby długi płacić?... Pan powinieneś kontentować się tém, że piéniądze pańskie nie przepadną....

Szyłło wstał z krzesła.

— Ha, rzekł, co robić? Człowiek zgrzeszył ciężko, ojcowiznę swą bez potrzeby sprzedając i teraz pokutować musi. Ale zaco stara moja matka, moje dzieci pokutować mają? No, za moje grzechy zapewne.

Ukłonił się i otrzymawszy od przechadzającego się znowu po sali Konrada wzajemny ukłon, miał się ku odejściu. Przy drzwiach stanął znowu.

— Kiedyż mogę spodziewać się?.. zaczął.

Konrad wybuchnął.

— Ależ na wiosnę, kochany panie, na wiosnę wszystko co do grosza oddam.... jak Boga kocham oddam!.. Pan myślisz może, że ja nie chcę oddać, ale mylisz się bardzo. Ja sercebym swoje wyjął, żebym mógł, i oddał panu; ale cóż ja zrobię kiedy nie mam?

Przy ostatnich wyrazach głos jego wpadł w ton niemal żałosny.

— Poczekam więc, rzekł Szyłło i wysunął się za drzwi.

Na dziedzińcu przy bramie, obok wózka Eliego i Efro-

ima, stał inny jednokonny wózek Pawła Szyłły. Rezydent łozowskiego dworu, z czapką nizko na oczy nasuniętą, umieścił się w skromnym ekwipażu swoim i ruszył za bramę. Ćwierć wiorsty zaledwie przebył, gdy zajechała mu drogę pełnym kłusem pędząca zgrabna najtyczanka. Siedział na niéj Kamil Orchowski. Szyłło poznał jadącego, konika swego z drogi pokornie zwrócił i czapką ukłon dość nizki oddał.

— Ot i ten, rzekł do siebie, część mego dobra na swoich plecach wiezie!

Obejrzał się za najtyczanką i konia zatrzymał.

— Możeby wrócić i pomówić z nim.... przy okazyi?.... Nie trzebaby już ciągać się do Orchowa.

Ściągnął lejce, jakby miał wracać; lecz w téjże chwili popędził naprzód.

— Nie chce się jakoś, szepnął, ambaras.... a zresztą nie wypada turbować go, kiedy w gościnę pojechał... Ej, z Bogiem naprzód! pora człowiekowi odpocząć w chacie!

Lenistwo przemogło.... pojechał daléj. O parę wiorst od dworu ręczyńskiego, w pobliżu wsi dużéj i ludnéj, przy drodze była karczma. Przed wrotami jéj stał, fajkę paląc, Żyd arendarz.

— Dzień dobry, panie Chackiel! zawołał Szyłło, gdy wózek jego zrównał się z karczmą.

— Dzień dobry jegomości. Zkąd Pan Bóg prowadzi?

Fizyognomia Żyda, dawnego znajomego, do gawędki zapraszała. Paweł zatrzymał konia.

— Cóż tu u was słychać, panie Chackiel?

— A co ma być słychać? nowina wielka! possesorów nowych będziem mieli! Josiel arendy odstąpił Efroimu a jasny pan Konrad *wziuł* dziś od niego zadatku dwa *tysiącóιo*... Żona moja we dworze była i Josielowa jéj o *tego* gadała.

Szyłło siedział na wózku jak skamieniały.

— Dwa tysiące rubli wziął? zawołał nagle... dziś.... dziś? Człowieku! to być nie może!

— Nu, dlaczego nie może być, kiedy jest. *Un* za osiemset *rublów* od Efroima cztery koniów kupił, a ona... nu, matka .. za resztę do N. na mieszkanie pojedzie.... Mojéj żonie Dorotka, ta panna służąca, co to faworytka saméj pani, o *tego wszystkiego* gadała.

Żyd mówił dość długo o różnych szczegółach, powziętych we dworze przez żonę jego z ust Josielowéj i Dorotki, a Szyłło siedział na wózku wciąż jak skamieniały, z głową na pierś zwieszoną, z rękami opuszczonemi na kolana. Siedział i dumał... Nagle zmarszczył czoło i wykrzywił usta tak, jakby mu się niespodzianie cóś niewymownie niesmacznego na podniebienie dostało.

— A niechże ich siarczyste!... krzyknął.

Nie dokończył. Ręką machnął, z wózka zeskoczył i głosem podniesionym zawołał:

— Panie Chackiel! daj kieliszek gorzałki a tęgiéj, bo jeżeli robaka nie zapiję, dalibóg trupem chyba padnę.

I krokiem ciężkim, jakby mu stopy ołowiem napuszczono, milcząc lecz pięście ściskając, powlókł się za arendarzem do karczmy.

Kamil tymczasem gościł już w pałacu. Róża, która, ujrzawszy najtyczankę kuzyna na dziedzińcu, wnet pochwyciła do ręki książkę, bawiła go wymienianiem tytułów rozlicznych dzieł i czynionemi o nich na los szczęścia uwagami. Ale Kamil przekładał widocznie nad uczoność starszéj siostry, filuterne spojrzenia, żwawe ruchy, wabne uśmieszki i białe ząbki młodszéj. Siedział na kanapie wygodnie rozparty i cichą rozmowę, uśmiechami przeplataną, prowadził

z Florą. Pani Malwina w trzecim pokoju pisała regestrzyki, jeden po drugim. Nagle uchyliła się spuszczona portiera i do składu drobiazgów wbiegła Róża. Łzy miała w oczach i szkarłatne rumieńce na twarzy. Wbiegła i rzuciwszy s ę na fotel, ręką oczy zakryła. W drugiéj ręce trzymała książkę.

— A to co? zapytała z niezadowoleniem pani Malwina. Czegożeś przyleciała jak waryatka? Ja siedzę tu, żeby wam nie przeszkadzać... żebyście się porozumieli.... żebyś go dla siebie zobligowała, a ty...

Panna rękę od oczu odjęła i na matkę spojrzała wzrokiem błyszczącym łzami i iskrami.

— Dziękuję mamie! zawołała z wybuchem, już ja tego dłużej nie zniosę.... Kamilowi Flora podoba się i ona powiedziała mi onegdaj że go kocha. Niechże się sobie kochają, ja im przeszkadzać nie chcę! Poco te komedye? poco to czytanie?... Dość tego!

Pani Malwina, zdumiona najprzód, wzruszyła potem ramionami i rzekła:

— At, dzieciństwo! kaprysy! figuruj sobie, moja duszo, że jesteś waryatką.

W tym samym czasie Kamil, znalazłszy się sam na sam z Florą, ujął jéj rękę i głęboko spojrzał jéj w błękitne oczy. Dziewczyna spłonęła szkarłatem.

— Nie zapomnisz o mnie, kuzynko, mieszkając w N.

— Jak możesz przypuszczać cóś podobnego, kuzynie?

— Będziemy widywali się daleko rzadziéj.....

— Czy nie przyjedziesz do nas? zapytała szeptem i smutnie.

— Albożbym mógł wyrzec się dobrowolnie widzenia tak prześlicznéj istotki, jaką ty jesteś, Floro?

Słowa jego były lekceważące, choć miały oznaczać

czułość; wzrok którym okrył postać młodéj, hożéj dziewczyny, ubliżał jéj, jakkolwiek objawiał namiętne wzruszenie. Ale Flora nie znała się widać na znaczeniu słów i na tych stopniach uczucia tak nizkich, że aż uwłaczających.... Ręka jéj ściskana w dłoni młodego mężczyzny, drgnęła.... Oczy ich spotkały się... kibić Flory znalazła się opasaną ramieniem Kamila, który pochylił się i pocałował purpurowe jéj usta....

— Kamilu! szepnęła dziewczyna blada i drżąca, kocham cię!

Podniosła rękę do czoła i zawołała zcicha jeszcze, ale namiętnie:

— Kamilu! czuję... czuję że kocham cię bardzo... nad wszystko... na śmierć i życie!..

Była w téj chwili prawie piękną. Na twarzy jéj bladéj, w oczach łez pełnych, w głosie drżącym panowały moc i szczerość uczucia.

— Pocóż tak tragicznie? uśmiechnął się Kamil: na śmierć i życie! Któż widział aby tak śliczne, młode usteczka mówiły o śmierci? Słuchaj Florciu! miłość to chwila..... trzeba ją chwytać coprędzéj, bo ucieczę....

I jakby czynem dowieść chciał własnego zdania, przycisnął do ust białe paluszki Flory.

IX.

W Łozowéj życie płynęło zwyczajnym trybem. Wieczory wszystkie, tak jak i ów piérwszy, który po przybyciu Michaliny nastąpił, liczne domowe towarzystwo spędzało wspólnie, zabawiając się muzyką, rymowaniem, pokazywaniem Czumaków i Turków, naśladowaniem skaczenia żab i piania kogutów, *sztukami* przez pana Karola dokonywanemi, opowiadaniem nakoniec różnych zabawnych i zadziwiających wydarzeń z życia figlujących studentów, sławnych kłamców lub cudownych myśliwych. Zabawy te urozmaicały się niekiedy tak zwanemi prześladowaniami, zwróconemi ku panu Wiktorynowi za to niby, że przysiada się do pani Eustachii, lub ku panu Pawłowi, że ma się do panny Antoniny. Towarzystwo całe śmiało się z idyotycznego zakłopotania jednego z mniemanych konkurentów, z sentymentalności i żartobliwych min drugiego; pan Fabian zaś z rozrzewnieniem spoglądał na dobry humor swéj czeladki i wesołe twarzyczki swoich aniołków. Uznawał się i czuł patryarchą gromady téj, a rola ta schlebiała w najwyższym stopniu romantycznéj jego wyobraźni.

— O! mówił, spoglądając na śmiejące się dokoła twarze, jakże to słodko rozléwać dokoła siebie radość i szczęście!

W zabawach tych dwie tylko osoby udziału nie brały nigdy. Pani Adela, nadąsana najczęściéj, niekiedy na ból głowy z irytacyi pochodzący chora, czasem smutna głęboko i ponurym wzrokiem drobne postacie dzieci swych ścigająca, siadywała przy lampie, cérując pończochy, lub naprawiając stare sukienki i koszulki; Michalina zaś przeglądała w milczeniu liczne albumy, albo usuwała się do innego salonu z Ludką, Józiem i robotą w ręku, ucząc i bawiąc razem dzieci opowiadaniami, których one słuchały z radością i zajęciem. Ilekroć guwernantka wyłączyła się w ten sposób z zebranego grona, w mgnieniu oka pomiędzy dwiema rezydentkami następowało chwilowe, dla wspólnych celów, zjednoczenie.

— Wielka pani... przebywać z nami nie raczy... trzepała panna Antonina. Już ja pani mówię, że ona ma złe serce.....

— A ja pani to tylko powiadam, cedziła pani Eustachia, że ta panna guwernantka wiele.... wiele państwa kosztować będzie!

Wśród sprzecznych pomiędzy sobą a dziwacznych, próżniaczych, więc złośliwych, upokorzonych położeniem swém, a więc upakarzać wzajem lubiących żywiołów, które dom ten napełniały, położenie młodéj osamotnionéj dziewczyny nie było łatwém.

Ale nie brakowało jéj zajęcia, w którém topiła wszelkie nieprzyjemne wrażenia, wszelkie może troski i tęsknoty, w sierocem milczeniu przenoszone. Wynalazła ona w dniu godzinę wolną, w któréj zaczęła uczyć czytania i pisania

dwunastoletnią synowicę swą, Jadwisię, potém przyszło jéj na myśl, że w téj saméj godzinie uczyć mogłaby także i Walka.

Z tą myślą udała się dnia pewnego do oficyny, służącéj za pomieszkanie rezydentom. Miała właśnie wejść do izby brata, gdy z za przeciwległych drzwi doszło jéj ucha niewyraźne jakieś bąkanie niby czytanie, niby sylabizowanie. Poznała głos siedemnastoletniego synowca swego. Któś tam za drzwiami czytać go uczył. Michalina zatrzymała się przez chwilę w korytarzyku i słuchała. Głos, bąkający bajkę jakąś z elementarza, umilkł. Inny zato głos odezwał się:

— No, Walku, a teraz trochę arytmetyki....

— Trzy razy sześć, zaczął Walek, osiemnaście..... cztery razy sześć....

Ziewnął głośno i przeciągle.

— Dość już tego, zawołał.

— Jeszcze trochę, no jeszcze trochę! perswadował mu pan Wiktoryn.

Michalina opuściła oficynę.

— Ktoby się tego spodziéwał? szepnęła do siebie.

W istocie, ktoby się spodziewał, żeby wirtuoz-flecista, z okrągłą swoją figurą i wpółidyotycznym uśmiechem, rozlanym na pulchnéj, rumianéj twarzy, jednę z sześciu godzin pozostających mu w ciągu doby do spania, poświęcał dobrym uczynkom? Michalina czuła ku niemu życzliwość i wdzięczność. Przy piérwszéj sposobności zbliżyła się do najstarszego z rezydentów.

— Dziękuję panu za Walka, rzekła, serdecznie dziękuję!... uczysz go pan czytać i rachunków....

Pan Wiktoryn zmieszał się niezmiernie.

— Niéma za co, pani dobrodziéjko, wyjąkał, niéma za co.... chłopiec rośnie, na las patrząc...

Westchnął. Westchnienie to zaciekawiło Michalinę. Przywykła widzieć pana Wiktoryna z uśmiechem wiecznéj błogości na ustach.

— Pan miałeś rodzinę? zapytała nieśmiało.

Uśmiech pana Wiktoryna zniknął bez śladu.

— Jednego tylko syna miałem, pani dobrodziéjko.....

— I cóż?

— Ha, wyrósł tak samo na las patrząc i....

Tu ręką machnął.

— Poszedł gdzieś w świat... ani wiem gdzie się obraca.

Stał chwilę w milczeniu, z głową spuszczoną, potém rzekł jeszcze:

— Myślałem, bywało, że na starość głowę do niego przytulę; ale ot... niéma go.

Po rozmowie téj pan Wiktoryn przez cały wieczór nie zdrzémnął się ani razu, nie śmiał się ze sztuk pana Karola, a gdy z Apolkiem i panem Fabianem odgrywać zaczął tercet jakiś, z fletu jego wydobywały się tony głośniejsze niż zwykle, skarżące się niby na cóś, a z nad wydętych rumianych policzków szare, małe oczki, wlepione uporczywie w twarz Michaliny, zdawały się wciąż powtarzać: niéma go! niéma go!

Każdy zresztą z ludzi tych, tak niedołężnych i komicznych, łaskawym chlebem tak rozpróżniaczonych i poniżonych, posiadał za sobą historyą jakąś, bolesnych przejść i strat niepozbawioną. Każdy z nich niegdyś miał ognisko domowe, serca, które go kochały, cele jakieś przed sobą, nadzieje i małe ambicye. Każdy przyjechał tu zrazu na dni, tygodni kilka ot tak, dla odpoczynku, dla upatrzenia sobie no-

wéj drogi, nowego miejsca na świecie. Miłosierdzie państwa Fabianowstwa utuliło pod skrzydłem swém wszystkie te troski, te lenistwa, i ludzi, którzy mieli jeszcze zamiar gdzieś iść, czegóś szukać, cóś robić, rozciągnęło na wygodném łożu dworskiéj rezydencyi.

Pewnego dnia Michalina zauważyła, że pani Eustachia podnosiła głowę mniéj wspaniale niż zawsze, oczów nie przymrużała, policzków nie wydymała, a wszedłszy zrana do garderoby, powieki miała jakby od płaczu nabrzękłe.

— Czy pani nie czuje się dziś cierpiącą? życzliwie zapytała młoda nauczycielka.

Rezydentka podniosła na nią wzrok przyćmiony wilgocią.

— Nie, odparła, nie jestem cierpiącą; ale dziś właśnie rocznica ślubu mego z nieboszczykiem moim mężem.... Trzydzieści jeden lat temu przymierzałam o téj porze ślubną suknię, a lokaj przyniósł mi od niego bukiet, jak dziś pamiętam, z róż i jaśminu .. bo było to w maju....

Patrzyła znowu w ogień i dumała. Podarte hafty negliżu zwieszały się niedbale na znękanéj jéj postaci, twarz z pod siwiejących włosów, nieuczesanych jeszcze, wyglądała zżółkła i zmarszczona, na ustach zwiędłych błądził wyraz goryczy. Jakże daleko, daleko teraz był od niéj maj ów, o którym wspominała... maj młodości i miłości, ze ślubną suknią i bukietem róż od narzeczonego jéj przysłanym!

Innego dnia znowu pani Adela była w szczególnie kwaśnym humorze, a złość swą, wzniecona przez kucharza i Anulę, spędzała na pannie Antoninie. Młodsza z rezydentek słuchała wszystkiego cierpliwie, w milczeniu, z zaciśniętemi mocno ustami i żółtszą jeszcze niż zwykle cerą twarzy. Do obiadu nie przyszła, wymawiając się bólem zębów; po

obiedzie zaś Michalina, wracając z dziećmi do swego pokoju, przez jéj pokój przechodzić musiała. Rezydentka klęczała przed ołtarzykiem, obwieszonym paciorkami, wstążeczkami, pawiemi piórami i muślinowemi festonikami. Modliła się żarliwie, tak żarliwie, że aż nawpół głośno.

— Ojcze niebieski! mówiła, jeżeli wola Twoja, daj mi choć na koniec życia chatkę własną.... chatkę malenieczką choćby, ale własną... a jeżeli Panie, wola Twoja nie zgadza się z moją, zabierz mię prędzéj do siebie i z matką moją połącz!...

Przy wspomnieniu o matce, małe czarne oczki rezydentki opuściły ołtarzyk i łzami zaszłe pobiegły za okno, ku szarym obłokom.

W dniu w którym pan Paweł pojechał do Ręczyna, w celu dopomnienia się o swe dobro, Michalina objawiała przy lekcyi z dziećmi niezwykły stan niespokojności. Rumieńce wybiły się na jéj twarz bladą, a oczy wciąż mimowoli zwracały się ku oknu. Z niecierpliwością oczekiwała powrotu brata.

Wieczór zbliżał się, gdy nakoniec zobaczyła jednokonny wózek, wjeżdżający w bramę i kierujący się ku oficynie. Zarzuciła chustkę na ramiona, wybiegła z domu i stanęła przed wejściem do oficyny, jednocześnie z Pawłem, który zsiadał z wózka dłużéj niżby należało.

— Cóż, Pawle? zapytała z pośpiechem, lecz cofnęła się, zdziwiona i przelękniona wyrazem twarzy brata.

Policzki Pawła rozognione były, oczy błędne i przykro świecące, z ust głupowato uśmiechniętych rozchodziła się mocna woń trunku.

— Cóż, Pawle? powtórzyła ciszéj, wchodząc za przybyłym do izby i zatrzymując się przy progu.

Wybuch grubego śmiechu rozległ się po izbie.

— A cóż, panno siostro? zawołał Szyłło, moja prawda czy twoja? trzeba było jeździć, czy nie trzeba?.. Wiész co mi dali? figę! figę!

Śmiał się wciąż i oczami nawpół tylko przytomnemi po izbie wodził.

— Héj! krzyknął, ludzi słuchaj, a swój rozum miéj. Po co to było leźć do panów?.. mają ale nie płacą... daj im Boże za to zdrowie! Człowiek będzie znowu siedział, jak u pana Boga za piecem.... Chléb tu smaczny i kąt ciepły... jédz, pij, śpij i dobrodziejom dziękuj!

Stanął, wyprężył się, podjął poły surduta i zawiódłszy z całego gardła: „oj! ja Czumak nieszczęśliwy,” puścił się po izbie w pląsy, podskoki i przysiadania.

— Tato pijany! zawołał Walek, wpadając z korytarzyka. Panie Szczepalski! panie Solski! panie Hryhory, pójdźcie-no, zobaczcie! Tato pijany, Czumaka tańczy!

Michalina wybiegła z oficyny. Uszła kilkanaście kroków, stanęła przy wielkiém, grubém drzewie, rosnącém na dziedzińcu i o pień jego wilgotny od deszczu, który tylko co padał, czoło oparła. Zwiędłe liście i bujne krople wody spadły na jéj włosy, wiatr wieczorny podnosił brzegi jéj chustki i chłodem przenikał ciało... ona tego nie czuła. Do ucha jéj dochodziły z głębi oficyny nieprzytomne śpiewy i tupanie nogami jéj brata; z niemi łączyły się śmiéchy rezydentów zgromadzonych na widowisko, z których najgłośniejszym był śmiech własnego syna jego....

— Boże mój! szeptała dziewczyna, czyż niéma już na to rady żadnéj? czy koniecznie zginąć oni muszą? czy nigdy już wstydowi temu końca nie będzie?

Wysileniem woli oderwała czoło od wilgotnego drzewa i owijając się chustką, biegła ku gankowi domu. Była tak pogrążoną w bolesnych myślach swych i uczuciach, że nie słyszała tententu konia na dziedzińcu. Drgnęła i stanęła wtedy dopiéro, gdy zeskakujący z konia przed gankiem młody mężczyzna wymówił tuż przy niéj:

— Dobry wieczór pani!

Był to Mieczysław Orchowski. Odkąd tu mieszkała, przyjeżdżał już po raz trzeci. I znowu oczy jego, tajemną tęsknotę serca zdradzające, okryły twarz jéj długiém wejrzeniem.

— Czy pani nie gniéwa się na mnie za to, że przyjeżdżam tak często? zapytał zniżonym głosem.

Nie mogła odpowiedziéć. Stała przed nim z czołem pochylonêm; serce jéj uderzało z mocą oddech powstrzymującą; na gęstych włosach błyszczały jak brylanty gęste i bujne krople dészczu.

— Panno Michalino! zaczął znowu głos męzki, powiédz pani, że nie gniéwasz się na mnie... Ja tu przyjeżdżam dlatego tylko, aby panią widywać....

Podniosła głowę. Blade jéj usta drżały, dłoń mimowolnym ruchem cisnęła się do piersi.

— Panie Orchowski! rzekła, dlaczego mówisz mi pan to wszystko?

W głosie jéj było wysilenie, gorycz blizka rozpaczy i namiętna prośba serca, które do najsłodszych głębin swych wzruszone, bronić się jeszcze pragnie.

— A! szanownego, miłego gościa witamy! witamy! Z dészczem nam spadłeś! ozwał się za rozmawiającą parą głos wychodzącego na ganek pana Fabiana.

W głębi domu, *w gyneceum*, hermetycznie zamkniętemi drzwiami od pokojów bawialnych przedzieloném, rozlegały się biegania i wołania.

— Wody! mydła! kucharza! Grześ niech nowy surdut włoży! samowar wyczyścić! Wafle do herbaty.

Daremnie wieczora tego pan Fabian zwracał uwagę gościa na talent każdego z aniołków swoich, daremnie cytował wiersze różnych poetów i własne, zasadzał panią Eustachią do fortepianu i przy akompaniamencie jéj grał na wiolonczeli—gość odpowiadał, chwalił, podziwiał z roztargnieniem i widocznie przez grzeczność tylko, oczy zaś jego z trudnością odrywały się od drobnéj twarzy guwernantki, która, pochylona nad robotą, czuła przecież unoszący się nad nią ten wzrok gorący, bo na czoło jéj co chwila wstępowały łuny rumieńców, i znikały, pozostawiając po sobie bladość głębokiego wzruszenia.

Trwało tak do połowy wieczora. Nakoniec Mieczysław nie mogąc powstrzymać się dłużéj, powstał z miejsca, na którém siedział pomiędzy gospodarzem domu a brzękającym na strunach teorbanu panem Hryhorym i usiadł obok Michaliny. Podniosła głowę i spojrzenie jego spotkała wzrokiem spokojnym. Nie rumieniła się już i nie bladła, opanowała wzruszenie swe wolą i dumą niewieścią, odpowiedź zaś na rzucone pytanie wyrzekła głosem łagodnym i rozważnym, który pamięci Mieczysława nasunąć musiał owe podsłuchane przezeń rozmowy jéj z siostrą jego i matką.

Na widok spokoju jéj, on także ukrył ogarniające go u jéj boku wzruszenie. W jednéj stronie salonu brzmiał tercet muzyczny, w innéj dwie rezydentki szeptały cóś do uszu pani Adeli. Pomiędzy młodym gościem i młodą nau-

czycielką zawiązała się długa i ożywiona rozmowa. Nagle tuż za progiem głos jakiś zapiał doniośle i przeciągle.

— Pan Paweł! krzyknęły dzieci, bijąc w dłonie i do drzwi się rzucając.

— Był-to w istocie pan Paweł, który owym kogucim krzykiem oznajmił swe przybywanie. Nawpół dopiéro był roztrzeźwionym. Oczy już miał przytomne, ale z policzków rozognienie, a z ruchów rozgorączkowanie i niepewność nie zniknęły. Stanął na środku salonu i oddawał dokoła ukłony, nacechowane rubasznością przesadną, obudzenie śmiéchu widocznie na celu mającą.

— Ależ wesoły dziś jesteś, panie Pawle! zauważył, śmiejąc sie na równi z innymi, patryarcha gromady domowéj, pan Fabian.

Szyłło wyprostował się i pociągnął silnie długiego wąsa.

— A cóż, panie dobrodzieju mój, rzekł grubym głosem, trzeba na chléb pracować... niéma co!

— A z panną Łojwiczówną nie przywitałeś się aspan? zainterpelował z za teorbana Ukrainiec.

Szyłło posunął się ku pannie Antoninie. Śmiano się znowu. Dwie tylko osoby z towarzystwa tego nie śmiały się. Na twarzy Michaliny zgasły promienie, które czyniły ją przed chwilą inteligentną, ożywioną, prawie piękną; spuściła oczy na robotę, ale ręka jéj, trzymająca igłę, drżała i żadnego ściegu wyszyć na płótnie nie mogła. Mieczysław zdumionemi zrazu oczami patrzył na pana Pawła; potem powstał, przeszedł w inną stronę salonu i tam milczący, ze skrzyżowanemi na piersi rękami, przypatrywał się zabawom zebranego grona.

Godzina jeszcze upłynęła zanim odjechał, ale ani razu już więcéj nie zbliżył się do młodéj nauczycielki. Można nawet było sądzić, że unikał widoku jéj twarzy, tak stale i uporczywie starał się patrzyć w inną stronę. Ktoby go pilnie wtedy uważał, mógłby dostrzedz, że spadł na niego nagle ciężki jakiś smutek, połączony z głębokim niesmakiem. Na pożegnanie podał, jak zwykle rękę Michalinie, ale ręka ta nie była już tą samą, która ją dziś tak serdecznie i gorąco na ganku witała. Zimnemu uściskowi dłoni towarzyszył ukłon pełen szacunku, ale nie towarzyszyło mu spojrzenie żadne. Po chwili słychać było na dziedzińcu tentent jego konia.

Michalina stała jeszcze w tém samém miejscu, na którem pożegnał ją odjeżdżający, ręką wsparta o stół i bardzo blada. Pod spuszczone jéj powieki tak gwałtownie cisnęły się łzy palące, że powstrzymywała je tylko wysiłkiem woli. Czuła, że pomiędzy nią a człowiekiem, który przed chwilą wzrokiem swym i słowami poruszył w jéj piersi najgłębsze struny wrażeń, spadła jedna zapora więcéj, że wstyd jéj brata spłynął na nią, że posępną łuną wstydu tego uderzone, oczy jego odwróciły od niéj—może nazawsze. Nie miała żadnych sformułowanych nadziei, nie roiła o niczém, nie spodziewała się niczego, a jednak—gdy tentent konia, który unosił Mieczysława po za bramę łozowskiego dworu ucichł, opuściła się sztywna, bezsilna i daremnie drżącemi rękami szukała porzuconéj roboty.

— Panno Michalino! ja chcę już spać! zawołał tuż przy niéj srébrzysty głosik Ludki.

— I ja chcę spać! zawtórowała poetka Elżusia.

— Ale panna Michalina opowie nam dziś jeszcze o tym wielkim człowieku, co to płynął po morzu, płynął.... aż odkrył Amerykę? zagadnął Józik.

Guwernantka podniosła głowę z wysileniem, powstała, dłonią pociągnęła po czole i przytomném, jasném już okiem spojrzała na otaczające je złotowłose główki.

Głosy dzieci tych były wołaniem obowiązku, które obudziło ją ze snu bolesnego. Być może iż obręcz bólu opasująca ciasno jéj serce nie zwolniła się przez to; niemniéj przecież jedną ręką trzymając rękę Józika, drugą opasując szyję Ludki, otoczona młodemi dziećmi, które czepiały się jéj sukni, przechodziła salon krokiem powolnym i spokojnym, a zbliżając się ku drzwiom sypialnych pokojów, łagodnym, wesołym prawie głosem rozpoczęła przyrzeczoną opowieść o wielkim człowieku, który płynął po morzu, płynął... aż odkrył Amerykę.

Parę tygodni minęło. Około południa pan Fabian, jak najczęściéj bywało, siedział w gabinecie swoim, oddany ulubionym swym artystycznym zajęciom. Przed głębokim fotelem stało biuro staroświeckie, zarzucone kawałkami papierów, różnego kształtu i koloru. Na każdym z tych kawałków znajdowały się nakreślone wiersze, tu ustęp z drukowanego poematu jakiegoś przepisany, tam znowu własny pana Fabiana utwór, sonet, akrostych, strofy ulotne i t. p.

Biuro owo, wraz ze stojącym przed niém fotelem pan Fabian miał zwyczaj, uśmiéchając się niby żartobliwie, nazywać: „miejscem pracy." Inne miejsce pracy znajdowało się pod oknem szerokiém, na północ wychodzącém, gdzie stały stalugi z rozciągniętém płótnem i leżały w odpowiednich przyrządach materyały do olejnego malowania. Obrazy różnych rozmiarów, bez ram i w złoconych ramach,

okrywały ściany od sufitu do podłogi. Były to, na równi z wierszami biuro zapełniającemi, owoce wieloletniéj pracy pana Fabiana. Malowidła te przedstawiały po większéj części widoki natury zimowe, letnie, jesienne, wątpliwéj bardzo wartości. Tu i owdzie tylko dawały się spostrzegać lepsze, trafniejsze pojęcie przyrody i sztuki. Śród prób tych nieudałych królował, w najszersze i najbogatsze ramy ujęty, portret pani Adeli. Pomiędzy kartkami napełniającemi biuro znajdowało się wiele takich, na których jaśniały nadpisy: „Do Czarnéj Lilii," „Do Lilii," „Do L. O." „Do dziewicy" i poprostu „Do ***."

Pan Fabian siedział pochylony nad arkusikiem różowego papiéru i trzymał pióro w ręku. Na papiérze były napisane dwie początkowe strofy nowego poetycznego utworu. Pan Fabian pisał strofę trzecią, którą rozpoczął od dwóch następujących wierszy:

„Z wiru i tłumu, z gwarnych krzyków świata,
Myśl ma, ciszy spragniona, ku Tobie ulata...

— Ku tobie ulata, powtórzył głośno i podniósłszy głowę, patrzył przez chwilę w sufit. Potém, znalazłszy widać wyraz czy myśl potrzebną, spuścił znowu pióro na papier i pisał daléj:

„Ku Tobie, czarodziéjko, która stopą cichą
Mkniesz....

Podniósł znowu głowę i zamyślił się. Wziął w rękę różową kartkę i czytał wiersz od początku, deklamując półgłosem, a gdy doszedł do miejsca, w którém znajdowały się dwa razy powtórzone wyrazy: „ku tobie ulata!.. ku tobie..." głos jego zadrżał i łzy wzrok przyćmiły. Powiódł ręką po zwilgoconych powiekach i czytał daléj; „ku tobie, czarodziéjko, która stopą cichą"...

Tu drgnął całém ciałem, upuścił z ręki różową ćwiartkę i porwał się z fotelu, za plecami jego bowiem rozległ się łoskot drzwi gwałtownie otworzonych, a oczom jego ukazała się w zwierciedle powyżéj biura zawieszoném postać wchodzącéj do pokoju pani Adeli. Nie było to wejście, ale raczéj wtargnięcie, wtargnięcie głośne w najwyższym stopniu zirytowanéj gospodyni. Policzki jéj były zarumienione, oczy błyszczały silnie, ręce, w których trzymała pęk brzękających kluczów, drżały.

— Fabianie, zawołała, co to będzie z tego wszystkiego? powiedz mi, co to będzie? Czy nigdy już nie pomyślisz o tém?

— Co duszko? z czego? co będzie? nie rozumiem! wyjąkał pan Fabian, usuwając się pod przeciwległą ścianę, w miarę jak klapiące trzewiki posuwały się ku niemu.

— Co? z czego? powtórzyła kobiéta. Tak! ty o niczém nie wiesz! ty nic nie rozumiész! ty o nic nie dbasz. Pójdź, zobacz!

Daremnie byłoby opiérać się. Ręka kobiéty pochwyciła gwałtownie rękę mężczyzny, ciągnąc ku oknu nieopierającego się zresztą pana Fabiana.

— Patrz! patrz! wołała pani Adela, wskazujący palec wyciągając ku poblizkiemu płotowi. Czy to podobna! w biały dzień!... doprawdy, można umrzeć ze złości i rozpaczy!

Pan Fabian oczy széroko roztworzył i patrzył we wskazywaną mu stronę. Płot przezroczysty był, bo jedne ze składających go kołków pogniły i na ziemi leżały, inne wyjęte umyślnie, posłużyły kuchcikowi i Grzesiowi ku podpalaniu w piecach. Za ażurowém ogrodzeniem tém przemykała się chyżo ku ziemi pochylona postać niewieścia.

— Patrz! widzisz? w biały dzień! krzyczała pani Adela.

— Któż to, duszko? baba jakaś.... nie rozumiem!...

— Baba jakaś! tak, baba! To żona kucharza! On nakradł kartofli, warzywa i Bóg wie czego jeszcze, a ona przyszła tu teraz, w wór zabrała i poniosła.

— Zkądże wiész o tém duszko?

— Zkąd wiem? zapewne! nie wiedziałabym o niczém, bo cały dom na mojéj głowie i nie mogę rozerwać się, aby wszędzie być i wszystko widzieć za siebie i za ciebie!... Zapewne nie wiedziałabym, ale na szczęście mamy przyjaciół. Oroszczenko dopilnował i pokazał mi.

— Ach! te długie języki! stęknął mąż.

— Długie języki? Chciałbyś zapewne, aby wszyscy milczeli, albo o poezyach tylko rozprawiali. Niech kradną, niech roznoszą, niech rozrywają!...

— Ty-bo, Adziu, tak zaraz wszystkiemu wierzysz....

— O Boże mocny! a ty nie wierzysz? Widzałeś przecież na własne oczy...

— Może to niesłuszne podejrzenie.... może ona co innego niosła.

— Co innego?... Boże jedyny! mówię ci przecie że Oroszczenko sam widział i przybiegł, aby mię ostrzedz....

— Duszko, przemówił pan Fabian łagodząco, i cóż tam znowu tak ważnego, jeśli biedni ludzie pożywią się przy nas odrobinę?

Pani Adela schwyciła się obu rękami za głowę.

— A to doprawdy zwaryować można! Pożywią się!... małoż ich jeszcze żywi się przy nas? Ale to kradzież! Czy ty sumienia nie masz, żeby pozwalać ludziom na grzech taki?.. Pożywią się! a kto nas żywić będzie i dzieci nasze, jak majątek z dymem pójdzie?

— Poco znowu ma z dymem iść? jakoś to będzie.

— Nic nie będzie! jeszcze lat trzy, cztéry a wszystko pójdzie na marne. Długów pełno! Jankiel już nie chce mięsa na kredyt dawać... z głodu kiedyś pomrzemy razem z dziećmi!

— Adziu! poco zaraz te desperacye? Powinniśmy ufać wyższéj nad nami opiece... Opatrzność więcéj ma, niż rozdała.

— Tak, tak! zdawaj się na Opatrzność, a sam wiersze pisz i pejzaże maluj!

— Duszko! szepnął znowu pan Fabian, nie samym przecież tylko chlebem człowiek żyć powinien...

— Zawijasz ty jednak dobrze i chléb i mięso, a tylko o żonę i o dzieci nie dbasz, czy będą za rok jaki chléb miały.

Potok łez polał się z jéj oczów. Na widok ten pan Fabian struchlał.

— Adziu! zawołał, nie płaczże, proszę cię, nie płacz! nie mogę patrzyć na łzy! Tyś matką moich aniołków; ale widzisz...

Kobiéta z gwałtownem łkaniem i przyciskając chustkę do twarzy, wyszła, trzaskając za sobą drzwiami. Pan Fabian stał na środku gabinetu i ze wzburzoną twarzą słuchał oddalających się kroków żony.

— O Boże mój, Boże! któż mię od tego przeklętego gospodarstwa wybawi? zawołał w końcu, załamując ręce.

W téj chwili uchyliły się pocichu drzwi z gabinetu do przedpokoju wiodące i głos niewidzialnéj osoby jakiéjś, głos cichy, ostrożny, ugrzeczniony, wymówił:

— Czy można?

— A kto tam? zapytał pan Fabian.

— Eli Makower, odpowiedział głos za uchylonemi drzwiami.

— Proszę! proszę! wyrzekł pan Fabian z widoczném strapieniem i stęskniony wzrok rzucił na pulpit z rozpoczętym krajobrazem.

Jednocześnie pani Adela, szybko płacz swój ukoiwszy, zarządzać poczynała w garderobie śledztwo przeciwko niewiernemu kucharzowi; zaledwie jednak zdołała zgromadzić parę wiarogodnych świadectw, aliści w bramie dziedzińca ukazała się zgrabna karétka, sześcią koni zaprzężona i podróżnemi pakami w górze i z tyłu obciążona.

— Wody! mydła! kucharza! rozległy się wołania pani Adeli. Grześ niech nowy surdut włoży! kołnierzyk czysty! indyk na pieczyste!... Ale ktoby to mógł być taki?

— Jeżeli się nie mylę, wycedziła, patrząc w okno, pani Eustachia, to pani Ręczycowa przyjechała.

— Jezus Marya! krzyknęła gospodyni domu, pani Ręczycowa!... Po indyku legumina z chleba!... Taka elegantka.... Prędzéj-że, gamoniu! kołniérzyk koronką oszyty!... O panno Antonino, zlituj się mankiet mi zapnij. A włosy moje, włosy! dawajcie prędko grzebienia!...

W kilka minut potem na kanapie bawialnego salonu siedziały obok siebie pani Malwina, w kapeluszu ozdobionym marabutami i w tureckim szalu na ramionach, i pani Adela, w wełnianéj sukni, w krzywo włożonym kołnierzyku z koronką i z rękami świeżo umytemi.

— Ślicznie mi wyglądasz, duszo moja, choć to Bóg wié jak dawno cię nie widziałam. Projektowałyśmy codziennie z Różą i Florą odwiedzić Łozową.... tylko że jestem zawsze tak zaaferowaną.... Ale ślicznie mi wyglądasz!

— Gdzie tam, pani łaskawa, gdzie to ja mogę dobrze wyglądać!... Tyle zmartwień, kłopotów, irytacyj...

— Rozrywekby ci trzeba, kochaneczko, rozrywek koniecznie. Poszłaś w ślady swojéj mamy, która sławną gospodynią była... Ja rozrywam się jak mogę, i nieźle mi z tém, jak widzisz...

— Ach, pani kochana, jak ja mogę o rozrywkach myśléć? Pani znasz mego męża. Złote serce! najlepszy, najszlachetniejszy człowiek w świecie, ale za temi sztukami Bożego świata nie widzi... na mojéj głowie wszystko...

— Taka już jego pasya, duszo moja! Każdy człowiek musi mieć swoje pasye... Czy dawno byłaś w N.?

— Gdzie mi tam, pani kochana, po miastach jeździć? Po za domem i gospodarstwem nic dla mnie niéma. Teraz sługi takie, że tylko spuść się na nie, a dom ci rozniosą. Fabian na nic uwagi nie zwraca, niczego nie dojrzy...

—Rozrywek by mu trzeba, rozrywek koniecznie! Figuruj sobie, moja duszo, że ja się do N. na mieszkanie przenoszę. Jakiegoś poziéwania dostałam... wracam właśnie z N. Siedem pokoików, duszo moja, najęłam... Róża i Flora pojadą naturalnie ze mną, a za dwa tygodnie najdaléj meble z Warszawy przyjdą... panny służące dwie tylko ze sobą biorę.... lokaja, furmana, i kucharza, więcéj nikogo.... parę koni i kabryolet od Rentla... Nie wiem tylko co z Francuzką zrobię.

— Z jaką francuzką?

— *Demoiselle de compagnie*... trochę jeszcze i guwernantka. Wzięłam ją do Flory, ale teraz mi już niepotrzebna; w mieście ambaras z mieszkaniem... Flory edukacyą dokończą metrowie, a i tak będzie nam ciasno. Otóż figuruj sobie, duszo moja, przyszła mi do głowy idea, czy ty czasem do swoich maleńkich Francuzki mojéj nie weźmiesz.

— Ja pani? od dwóch miesięcy mam już guwernantkę...

— Co? duszo moja! kogo? tę Michalinę? Ależ wstydź się! to prosta dziewczyna! maniery żadnéj, pronuncyacya francuzka najgorsza, a przytem: *Szyłło!* remarkuj sobie: Szyłło. Krztusiłam się zawsze, wymawiając to nazwisko.... Moja Francuzka, *mademoiselle Zoe de Brunelle*... remarkuj tylko: *Brunelle* i *de* jest *de!* Zubożała arystokratka, kochaneczko! Maniera wspaniała, pronuncyacya paryzka... za miesiąc ci dzieci nauczy mówić po francuzku cudownie, a przytém, między nami mówiąc... to dystynkcya dla domu! Czemże twoje dzieci gorsze od innych, aby francuzkiéj guwernantki miéć nie mogły? Nieprawdaż? ręczę że nie umieją jeszcze mówić po francuzku.

— W istocie... Ludka dopiéro zaczyna mówić tym językiem, a Józik, Staś, Elżusia i Marynia mówią tylko: *maman*, *merci*, *bonjour*....

— A widzisz, duszo moja, to wstyd, wielki wstyd! Dzieci twoje wyrzucać ci to będą kiedyś, że zaniedbałaś ich edukacyą.

Pani Malwina długo jeszcze przemawiała w ten sposób do macierzyńskiego serca i do próżności pani Adeli. Bardzo znać leżało jéj na sercu pozbycie się francuzkiéj guguwernantki przed wyjazdem do miasta.... Matkę siedmiu aniołków pociągało ku sobie mocno uczynione jéj przedstawienie, najprzód dlatego, że oddawna już bolała nad głębokim obskurantyzmem dzieci swych co do francuzkiego języka, a potém że myśl o posiadaniu w swym domu Francuzki łechtała jéj miłość własną. Przynosi to dystynkcyą domowi! mówiła pani Malwina. W dodatku tajemnicza przepowiednia pani Eustachii co do Michaliny wisiała zawsze nad głową pani Adeli, niby niewidzialny i nieokreślonego kształ-

tu miecz Damoklesowy. Panna Antonina nakoniec po wielekroć już zwracała uwagę swéj chlebodawczyni na szczególny stosunek, zdający się zachodzić pomiędzy Michaliną a młodym Orchowskim, który od czasu jéj przybycia stał się w Łozowéj niezwykle częstym gościem.

— Romansują z sobą napewno, przestrzegała rezydentka.... Święty Boże! święty, mocny! Jak amen w paciérzu nieprzyjemności ztąd wynikną różne.., i zły przykład dla Ludki....

— Bierz moję Francuzkę, bierz, mówiła pani Malwina, a Michalinę tę odpraw... Ma przecież stryja, to niech sobie u niego siedzi.

— Pomyślę... odpowiedziała pani Adela, naradzę się z Fabianem....

— No, pomyśl, naradź się i zakomunikuj mi listownie co wymyślisz i uradzisz... Będę czekała na list twój trzy dni najdłużéj... Jeżeli nie zechcesz panny de Brunelle, to zawiozę ją do Orchowa, dla Lili... Dziwna rzecz, że mi ta myśl wprzódy do głowy nie przyszła; ale Łozowa po drodze jakoś... zajechałam... Tymczasem adieu, duszo moja. Jeżeli przyjedziesz téj zimy do N., to proszę odwiédz mię.

— Pani kochana, a obiad? natychmiast podadzą.

— Nie mam czasu, duszo moja, nie mam czasu! jestem tak zaaferowana.... Róża i Flora czekają mię w domu, a Dorosia szyje mi dwie suknie. Ta dziewczyna bardzo jest zręczną; ale może je źle skroiła. *Adieu, adieu* duszo moja! Weź moję de Brunelle, pamiętaj! Dla dzieci trzeba przecież cóś zrobić...a przyjeżdżaj do N., rozerwiesz się. Ucałuj swoje maleństwa odemnie. *Adieu! au revoir!*

Karéta właśnie odjeżdżała od ganku, uwożąc panią Malwinę, przez szybę jeszcze ku oknom domu całusy ręką

posyłającą, gdy pan Fabian wszedł do salonu. Przeciwko zwyczajowi drzwi od gineceum nie były zamknięte; w szarych głębinach gospodarskich komnat rozlegały się wołania pani Adeli:

— Powiédz Jerzemu, żeby indyka nie piekł!... filiżanki pochowaj!... Grześ niech nowy surdut zdejmie!...

Spostrzegła męża przez drzwi otwarte i weszła do salonu.

— Czemuś do nas nie wyszedł? Czy i gości bawić ja jedna tylko mam obowiązek?

— Bawiła tak krótko, a ja tam byłem interesami zajęty.

Pani Adela zaśmiała się szyderczo.

— Ty, interesami zajęty? to koniec świata chyba....

— Nie, duszko, ale przyjechał Makower, wiész....

— Wiem! wiem! I cóż ten Makower?

— Chce Łozowę w dzierżawę wziąć.

— Chce wziąć? to i chwała Bogu. Wszyscy teraz żydom majątki w dzierżawę oddają. A ileż on za Łozowę daje?

— Nieźle daje.

— No już ty się na tém znasz, jak koza na pieprzu. Ileż?

Pan Fabian wymienił summę rocznéj dzierżawy przez Eliego mu ofiarowaną. Pani Adela z wielkiego zadowolenia rękami plasnęła.

— Święty Boże! zawołała, ten Żyd oszalał chyba, żeby tyle dawać! Ty i połowy dochodu tego nie masz z Łozowéj... Ale prawda, jaki ty możesz miéć dochód, wiersze pisząc i pejzaże malując?...

— Jakże więc zrobić, duszko?

— I ty się pytasz jeszcze? Oddaj mu Łozowę i w rękę go pocałuj. Będzie przynajmniéj grosz gotowy i ten zło-

dziéj ekonom precz pójdzie. Już na niego oddawna patrzyć nie mogę.

— Ty bo, duszko, rządzisz się swą osobistą niechęcią dla tego człowieka, ja zaś co innego miałbym na względzie.

— Cóż takiego, naprzykład?

— Ci Żydzi, widzisz, to tacy brudni, nieestetyczni....

— Święty Boże, jemu trzeba aby dzierżawca majątku był estetycznym!

— Nie, duszko, ale zaraz mi dwór zanieczyszczą.... ogród szczególniéj... śmiécia zaraz pełno będzie.

Pani Adela ze wzgardliwym wyrazem twarzy głową kiwała.

— Oj ty poeto! poeto! zawołała. Tu idzie o zachowanie kawałka chleba dla nas i dla dzieci, o wyratowanie się z długów, o wypędzenie precz tego złodzieja ekonoma, co tu już nas od lat tylu okrada, a ty myślisz o ogrodzie i o śmieciu.... Ale prawda, czy to ty dbasz o co? czy ty.....

— No, nie irytuj się znowu tak zaraz. Ja sam chciałbym bardzo kłopoty te z głowy zrzucić....

— To je zrzuć!

— Trzeba będzie pojechać z Makowerem do N. Augustyn Szyłło kontrakt napisze.... Muszę tylko zawarować w kontrakcie, żeby dzieci ich przynajmniéj wstępu do ogrodu nie miały.

— A ekscepcye? zapytała pani Adela. Ręczę że zapomniałbyś o ekscepcyach, gdybym ja ich nie przypomniała. Żyta na chléb beczek piętnaście najmniéj, pszenicy na bułki.... jęczmienia i gryki pomyślę jeszcze ile....

— Napisz, duszko, regestrzyk.

— A prawda, choć raz rozsądnie o gospodarstwie po-

myślałeś. A teraz rzecz inna. Trzeba Michalinę Szyłłównę odprawić.

— Odprawić? a dlaczego? ze zdumieniem zawołał pan Fabian.

— Zdarza się nam do dzieci Francuzka, zniżonym głosem mówiła pani Adela, osoba podobno pięknie wykształcona, z dobrym układem i paryzką pronuncyacyą. Nie można takiéj okazyi opuszczać. Dzieci nasze nic jeszcze prawie po francuzku nie umieją....

— Ależ duszko! osoba ta zdaje się dobra....

— Dobra! uśmiechnęła się pani Adela. O, nie tak bardzo znów dobra, jak się zdaje z pozoru. Zaraz piérwszego wieczora radziła mi, abyśmy tych biedaków, co tu u nas siedzą, z domu naszego wyprawili... Mówiła że powinniby znaleść sobie jakie zatrudnienie...

— Fi! zawołał pan Fabian, takie zimne zdanie u kobiéty!

— A widzisz! serce znać nieszczególne. Co się zaś tyczy nauki...

— Uważałem, uważałem, przerwał pan Fabian, że zbytecznie Ludkę do książki zasadza. Przychodziła mnie samemu do głowy obawa, aby nam z niéj pedantki nie zrobiła. Nauka wysusza serce w kobiécie...

— Wysusza, czy nie wysusza, dość tego, że ja z niéj nie jestem zadowoloną. Skromne to na pozór i niewymagające, ale Bóg wié ile jeszcze kosztować może w przyszłości.

— Co tam koszta! najgorzéj to, że serce, jak pokazuje się, ma niedobre, i może aniołki nasze chłodem zarazić.....

— Więc jakże zrobić?

— A jak sobie chcesz, Adziu.

— Tak, tak! wszystko na moję głowę, na moję odpowiedzialność zwalać najlepiéj, najwygodniéj dla ciebie! A tyż nie mężczyzna? nie pan domu? nie ojciec twoich dzieci?

— No, rzekł pan Fabian gładząc łysinę, późniéj to zdecydujemy.... Makower czeka na mnie w gabinecie, muszę powiedzieć mu że zgadzam się i dzień wyjazdu do N. naznaczyć.

— Nie zapomnij-że tylko o ekscepcyi... Kartofli do karmienia wieprzów... pośladu, żyta i jęczmienia dla kur...

— Dobrze! dobrze! napisz regestrzyk.

— Proszę pani mąki na kluski! ozwał się z głębi gospodarskich komnat głos cienki i donośny, a przez drzwi nawpół uchylone, ponad osmoloną ręką trzymającą rondelek, ukazała się głowa kuchcika.

Konferencya przerwana zawiązała się na nowo pomiędzy małżeństwem przed udaniem się na spoczynek i do żadnego jeszcze stanowczego wyniku nie doprowadziwszy, powtórzyła się nazajutrz i jeszcze dnia następnego po kilka razy. Złote serca państwa Fabianowstwa czyniły im odprawienie młodéj guwernantki bardzo trudném. Namyślali się naradzali i w taką niezgodę z własném sercem i sumieniem popadli, że przez dwa wieczory z niespokojności wielkiéj pan Fabian nie dotknął wielonczeli, a pani Adela nie cérowała pończoch. Najszczególniéjszem zaś było to że przez dwa te wieczory pani Adela okazywała się wyjątkowo łaskawą względem dwóch rezydentek, wywołując umyślnie ich uwagi o Michalinie i szukając w podszeptach ich usprawiedliwienia własnych chęci.

Przyszedł nakoniec dzień trzeci, jako termin ostateczny, przez panią Malwinę naznaczony. Pani Adela w przedobiedniéj porze weszła do pokoju guwernantki, z wyrazem

twarzy niezwykle uroczystym, bez kluczów nawet i w czépku prawidłowo na włosy włożonym. Lekcya była skończoną; dzieci rozsypały się po domu, a nauczycielka układała książki i przeglądała zeszyty swoich uczniów.

— Kochana panno Michalino, zaczęła pani domu, bardzo mi przykro, doprawdy, ale muszę powiedzieć pani rzecz nieprzyjemną...

Zawahała się chwilę, odchrząknęła i ze spuszczonemi oczami dokończyła:

— Pomimo najlepszych chęci naszych dla pani... ja i mąż mój... nie możemy dłużéj miéć pani w domu naszym...

Michalina, jak piorunem rażona, podniosła głowę i na kobiétę mówiącą spojrzała zdumionemi oczami.

— Pani! zawołała, za co? dlaczego?

— Ależ za nic, kochana panno Michalino, za nic! nie trzeba się znowu tak zaraz obrażać i irytować. Jesteś pani młodą i nie wiész co to rodzicielskie kłopoty i obowiązki. Zdarza nam się nauczycielka Francuzka... Nie możemy.. dla dobra dzieci naszych nie możemy okazyi takiéj opuszczać.

Gwałtowne rumieńce wytrysnęły na twarz Michaliny, oczy jéj błysnęły obrazą, żalem.

— Pani! rzekła drżącym od wzburzenia głosem. Pokochałam dzieci państwa... i one także przywiązały się do mnie... Są one jeszcze tak małe i tak niewiele umieją, że to co ja umiem na długo wystarczyć im może.... Dlaczegóż więc. .

Nie dokończyła. Uderzenia serca wezbranego bolesnemi uczuciami zatamowały jéj mowę. Nie pochyliła jednak tym razem głowy, nie spuściła oczów, owszem, patrzyła w twarz pani Adeli wzrokiem w którym malowała się śmia-

łość czystego sumienia i duma niewinności, czującéj że dzieje się jéj krzywda.

Pani Adela, pod wpływem wzroku tego, spuściła powieki i machinalnym ruchem szukała u pasa przebywających tam zawsze kluczów.

— Poco się pani tak irytuje? zaczęła po chwili. Mój Boże! nie znasz pani jeszcze prawdziwych zgryzot i zmartwień. Wszakże dla pani wszystko jedno... tu być czy tam... u nas czy gdzieindziéj... Ja sama postaram się dla pani o miejsce.. zarekomenduję panią do jakiego znajomego domu... Tę Francuzkę, widzi pani, nastręcza mi pani Ręczycowa... osoba tak poważna... zacna... i dla któréj mam obowiązek wdzięczności, bo jeszcze niezamężną będąc, bywałam u niéj z nieboszczką matką moją bardzo często na wieczorach i bawiłam się w jéj domu wybornie... Niech sobie mówią o mnie że jestem skąpą, gdéraczką, może i jestem taką... ale mam serce i nigdy nie zapominam o tém co komu winna jestem.. Pani Ręczycowa życzy sobie, żebym wzięła z jéj domu tę Francuzkę...

Byłaby długo jeszcze usprawiedliwiała się w ten sposób; ale Michalina przerwała jéj mowę.

— Przebacz pani, rzekła, ale trudno mi bez słowa obrony zgodzić się na rzecz, która... która z wielu względów wyrządza mi krzywdę. Częste zmienianie miejsc pobytu przynosi złą sławę nauczycielce... jestem przytém ubogą i nie mam własnego domu, do którego odjechaćbym mogła...

— Pani masz stryja... przerwała z kolei pani Adela.

— Tak, pani, ale dom stryja mego nie jest moim domem. Postanowiłam od lat najmłodszych żyć z własnéj pracy i niczego nie obawiam się więcéj, jak przyczynić cię-

żaru ludziom którzy i bez tego zrobili mi wiele, wiele dobrego...

— Wszystko to jest bardzo szlachetném ze strony pani; ale cóż my temu winni, że pani nie masz własnego domu, a u stryja swego mieszkać nie chcesz?..

— Pani! zawołała Michalina, a cóżem ja zawiniła państwu? Starałam się spełniać sumiennie przyjęte obowiązki, ale sądziłam że i państwo zechcecie także spełnić dane mi przyrzeczenia... Pan Łozowicz, przyjeżdżając po mnie do Orchowa, umówił mnie na rok cały...

— A! zawołała, rumieniąc się, pani Adela, pani więc powołujesz się na umowę? Oho! znać zaraz że jesteś synowicą prawnika. Fi! fi! panno Michalino, to wstyd żeby kobiéta odwoływała się do jakichś tam umów! Pilnowanie się kontraktów do mężczyzn należy; kobiéta sercem tylko rozsądzać wszystko powinna...

Ręce guwernantki, splecione i na książce złożone, drżały. Była tak blada, że zdawało się jakby pod wpływem obrazy i żalu cała krew jéj zbiegła do serca.

— Tak pani, wymówiła stłumionym głosem, dobrze jest jeśli uczucia rządzą stosunkami ludzkiemi; ale tam gdzie ich braknie, wolno każdemu odwołać się do umowy.

— A więc wytocz nam pani proces! zawołała pani Adela, zirytowana niezmiernie oporem guwernantki. Przyjdzie to nawet pani z łatwością... Stryjaszek kochany, jako prawnik, dopomoże jéj w tém i skargę do sądu na nas napisze... Ja tylko to pannie Michalinie powiem, że od dzisiejszego dnia stryj pani nie jest plenipotentem mego męża.. Dziś zaraz Fabian pojedzie do N. i cofnie stryjowi swoję plenipotencyą...

Ostatnim słowom pani Adeli towarzyszyło klapanie przydeptanych trzewików, które zwracały się w stronę gabinetu pana Fabiana.

Guwernantka zmieniła nagle postawę. Ogień dumnego oporu zagasł w jéj oku, ustępując przed wyrazem przestrachu. Wiedziała o tém że Łozowicz był jednym z głównych klientów jéj stryja, pomyślała że strata klienta tego odbić się może bardzo znacząco na niezamożnym bycie obarczonego rodziną prawnika.

— Pani! zawołała, postępując parę kroków za odchodzącą kobiétą, niech pani wstrzyma się... niech pani stryja mego w tę sprawę nie miesza... Odjadę bez żadnéj pretensyi choćby dziś, za godzinę odjadę.

Pani Adela zmieszała się znowu i kilka już tylko słów wymówiwszy, odeszła. Tego samego dnia wysłano konnego posłańca z listem do Ręczyna, a we dwa dni potém Michaliny w Łozowéj nie było. Dzieci płakały po kątach, ze strachem oczekując powrotu ojca, który nie najtyczanką już, jak po pannę Szyłło, ale naprędce wyreparowanym powozem pojechał po pannę de Brunelle.

Panna Zoe przybyła; nad wieczorem zaś, w porze gdy całe domowe towarzystwo, z wyjątkiem nowéj guwernantki i dwojga jéj uczniów, zebrane było w sali jadalnéj przy herbacie, parokonna bryczka zajechała przed ganek.

— Pan Mieczysław przyjechał! wesoło zawołał pan Fabian i wybiegł do sieni.

— Grzesiu! nowy surdut! zcicha i z pośpiechem zadysponowała pani domu. Jerzy niech conajprędzéj po mąkę na wafle przychodzi! Masielniczkę kryształową wyjm z szafy!

Panna Antonina figlarnie mrugała oczami.

— To dopiéro oszuka się, jak jéj tu już nie znajdzie! szepnęła do ucha pani domu.

Mieczysław wszedł, a gdy witał wszystkich z kolei, wzrokiem szukał pomiędzy zgromadzonemi osobami twarzy, któréj nie ujrzawszy, zajął przy stole wskazane sobie przez gospodarza miejsce i często spoglądał na drzwi gineceum, w perspektywie dwóch bawialnych salonów widzialne. Po upływie dobrego kwadransa drzwi te otworzyły się i przez salony z powagą i wyniosłością, z szelestem jedwabnéj sukni, z głową podniesioną i lasem długich, czarnych loków obwieszoną, kroczyła panna de Brunelle.

Za nią postępowała Ludka, łkając i łzy ręką ociérając, i Józik, który za plecami nowéj nauczycielki swéj wystawiał język, pięść składał w kształt figi, nogą próbował następować na olbrzymi ogon jéj sukni, słowem czynił wszystko co mógł, aby usprawiedliwić nadawaną sobie nazwę wisusa.

Pani Adela z pośpiechem nalała dla panny Brunelle szklankę herbaty, bacząc pilnie aby była dość słodka i dość mocna, pan Fabian pełnym galanteryi ruchem przysunął krzesło jéj do stołu, pani Eustachia poprawiła pocérowane swe jedwabie, panna Antonina posunęła ku miejscu, które zająć miała Francuzka, koszyk z bułkami i kryształową masielniczkę; rezydenci zaś mężczyźni oniemieli i wytrzeszczyli oczy.

Mieczysław przerwał rozmowę swą z panem Fabianem w połowie wyrazu i ze zdumieniem wpatrzył się w znajomą sobie trochę francuzką guwernantkę.

— Czy państwo wzięliście do domu swego drugą jeszcze nauczycielkę? zapytał półgłosem młody Orchowski.

— Nie, nie! odparł gospodarz, gładząc łysinę. Panna

Szyłło odjechała do N. Moja żona, widzi pan, moja żona i ja sądziliśmy, że dzieci nasze więcéj korzystać będą przy nauczycielce Francuzce...

Szkarłatny rumieniec oblał czoło Mieczysława; wzrok jego, swobodny zwykle, prawie wesoły, stał się na chwilę tak surowym, jakby z ust jego, które drgnęły lekko, wymknąć się miał wykrzyk oburzenia i wyrzutu. Powściągnął się jednak szybko, przez uczucie towarzyskiéj przyzwoitości, ale rozmowa pomiędzy nim a gospodarzem domu nawiązać się już nie mogła. Młody gość roztargniony był a odpowiadając na zadawane sobie pytania, o czém inném widocznie myślał. W połowie już wieczoru pożegnał gospodarstwo domu.

— Może państwo zechcecie dać mi zlecenia jakie do N.? zapytał z obojętną grzecznością. Jadę tam jutro..

Zleceń żadnych nie było, pan Fabian bowiem wybiérał się sam do głównego miasta okolicy, dla załatwienia kontraktowéj sprawy z przyszłym dzierżawcą swego majątku. Panna Antonina znacząco na panią Adelę spojrzała.

— A co? szepnęła, leci za nią! Co to z tego będzie? Święty Boże! święty, mocny!

X.

Gubernialne miasto N., o osiem mil mniéj więcéj od Orchowa, Ręczyna i Łozowéj odległe, jak wszystkie prawie litewskie miasta, nie jest ani bardzo zamożném, ani zewnętrzną okazałością błyszczącém; stanowi przecież jeden z głównych punktów, w których koncentrują się kapitały ruchome, sprawy bieżące, a w znacznéj części i inteligencya prowincyi.

Nie na żadnéj jednak z głównych i ozdobnych ulic miasta mieszkał Augustyn Szyłło, stryj Michaliny. Mieszkanie które zajmował, wraz ze swą rodziną, znajdowało się w domu drewnianym, starym i pochyłym, wsuniętym w głąb dziedzińca obszernego i dokoła ostawionego budynkami, również niepozornie wyglądającemi. Dziedziniec był porośnięty latem trawą skąpą i żółtą od pyłu, w jesieni i na wiosnę pokrywało go błoto, za ogrodzeniem zaś, przypominającém budową swą wiejskie zagrody, biegła ulica niebrukowana, z kilkunastu domami również drewnianemi, z za których wyglądały szczyty nędznych drzew owocowych. Jeden koniec ulicy téj wybiegał z zaułka ku głównym ulicom wiodącego, drugi spotykał się z széroką bitą drogą, która, okrążając w połowie miasto, wiodła miejscowe po-

wozy i dorożki pod wysokie i zdala widzialne ściany piérwszorzędnego dworca kolei żelaznéj.

Augustyn Szyłło był człowiekiem pięćdziesiątletnim, średniego wzrostu, z głową okrytą nawpół posiwiałemi już włosami. Twarz jego o rysach ściągłych, zarostu wszelkiego pozbawioną, przyoblekała cera żółtawa i zwiędła, taka jaką odznaczają się zazwyczaj oblicza ludzi, którzy znaczną część lat swoich spędzili w zamknięciu, śród ścian wilgotnych i mrocznych. Z żółtą tą, niezdrową cerą twarzy zgadzał się spłowiały błękit oczów, w których, obok przyrodzonéj łagodności, migotały wciąż niespokojnemi światełkami troska, niepokój, — zgadzało się i czoło niewysokie, pospolicie zarysowane, a rojem fałd i zmarszczek pokryte. Idąc, pan Augustyn trzymał się pochyło, a prawe ramię jego podnosiło się wyżéj nieco od lewego. Lekkie to skrzywienie fizyczne odznacza zawsze ludzi, którzy długo siadywali za stołem i prawą ręką, uzbrojoną w pióro, wodzili po papiérze przez lat dziesiątki. W domu przebywając, a najczęściéj nawet i na miasto wychodząc, Augustyn Szyłło miéwał na sobie ubranie z taniego bardzo materyału sporządzone i wytarte nieco, obuwie proste, grube, czapkę sukienną z daszkiem: był to strój jego najzwyklejszy, do powszednich okoliczności życia zastosowany. Niekiedy jednak widywano go ubranego w czarny tużurek, z połyskującém obuwiem na nogach, z wysokim, błyszczącym kapeluszem na głowie, w rękawiczkach nowych i jeśli dzień był chłodny, w paltocie bardzo porządnie wyglądającym. Był to strój przywdziéwany przez Szyłłę w uroczystych wypadkach jego życia, wtedy gdy udawał się do któréj z miejscowych jurysdykcyj sądowych, lub do którego z przybyłych ze wsi możniejszych swych klientów.

Biografia człowieka tego w głównych swych zarysach przedstawiała się dość prostą i pospolitą. Był on młodszym z dwóch synów właściciela niewielkiéj wioski. Starszy brat jego, ojciec Pawła i Michaliny, pozostał na dziedzicznym kawałku gleby, oddając się, wzorem przodków, zawodowi rolnika; Augustyn zaś w 18-tym roku życia swego, po ukończeniu pięciu klas gimnazyalnych, wstąpił do jednego z biur rządowych. Rolnik lub kancelista, były to dwa zawody, wedle ówczesnych wyobrażeń jedynie możebne dla szlacheckich synów. Bracia téż podzielili się dwiema temi drogami.

Augustyn ożenił się wkrótce z córką sąsiada, młodą i hożą dziéweczką, i zamieszkał w mieście, poczém przepisując zrazu urzędowe papiéry, następnie pisząc je w pewnéj mierze już samoistnie, zatrzymując się po lat kilka na każdym z różnych stopni urzędowéj hierarchii, po 25-ciu latach służby biurowéj doszedł do urzędu naczelnika stołu. Położenie jednak, w którém się znalazł po ostatecznym tym awansie, było dla materyalnego bytu jego dość dogodne, dla ambicyi jego wystarczające. Niewytwornym zapewne był byt ten, niewymagającą była ta ambicya, nikt wszakże nie widział Szyłły w owym czasie zasępionego i niezadowolonego, nikt odeń skargi nie usłyszał żadnéj. Zwierzchnicy uznawali w nim urzędnika pilnego i sumiennego, koledzy lubili go, dobra sława jego najlżejszemu nigdy nie uległa szwankowi, przez świat i życie przesuwał się cicho, niepostrzeżenie, bez blasku ni wysokich pretensyi, ale z czołem wypogodzoném, z sumieniem i mieniem czystém. Żyłby tak długo, zapewne do końca lat swych, pracując ciężko, choć cicho i nieznacznie, zadowalając się warunkami swego bytu i położenia, a poezyą życia czerpiąc z rodzinnego ogni-

ska, coraz liczniéj obsiadywanego małemi lub podrastającemi dziećmi,—gdyby nie nagła katastrofa. Katastrofa to była ta sama, która spadając na dwory wiejskie, właścicieli ich zmusiła do roztworzenia rzadko przedtém roztwiéranych ksiąg rachunkowych. Spadła ona nietylko na wsie, ale i na miasta, i objawiła się mieszkańcom tych ostatnich skutkami innéj nieco natury, niemniéj jednak stanowczo życie ich na dwie połowy rozcinającemi.

Bywają w dziejach momenty szczególne, nagłemi zmianami w losach jednostek społeczność składających napiętnowane. Od najwyższéj do najniższéj warstwy ludności, od téj która przywykła przodować, do téj któréj wiekuistém przeznaczeniem wydawało się posłuszeństwo—żadna nie pozostaje wtedy na dawném swém miejscu, w uprzednich warunkach bytu. Ci spadają, tamci podnoszą się; pod stopami jednych grunt wstrząśniony zapada się w wądoły i przepaście, aby pod stopami innych roztoczyć kwitnące równiny, lub wzdymać się w wyniosłe wzgórza. Drogi dawne zaciérają się bez śladu, a nowe zarysowują się niewyraźnemi zrazu liniami. Ściany domostw z niemém zdumieniem spoglądać się zdają na całkiem nowe twarze, które je zapełniają, podczas gdy dawne, dobrze znane, te które w cieniu ich uśmiechały się piérwszemi uśmiéchami dzieciństwa, rumieniły się ogniami dojrzałego wieku i okrywały zmarszczkami nadchodzącéj starości, przestępują próg ich, aby więcéj nie wrócić. Ludzie z najróżniejszych stron i stopni dziedziny społecznéj schodzą się, mieszają w jeden tłum błędny i popychający się nawzajem; jedni drugim następują na stopy i włażą na plecy. Ci którzy nie znali się dawniéj, twarzą w twarz stają przed sobą i daremnie oglądają się za

tém do czego przywykli, z czém zżyli się, a co ucieka od nich i znika we mgle nieprzebytego oddalenia.

Jest-to zamieszanie, chaos, toń zawrotna, z któréj społeczność po upłynionym momencie wiru i ogłuszenia powstaje częstokroć odrodzona, z dawnych kaléctw uléczona, ze starych plam omyta, ale w których jednostki słabe do walki niezaprawione, giną śród smutków, trosk, łez i... głodu, niby tragiczne ofiary, ciałami i duchami swemi ścielące drogę nieubłaganéj logice dziejów.

W téj saméj porze, w któréj do dworów wiejskich wstępowały troski, dawniéj tu nieznane, drzwi kancelaryj miejskich pootwiérały się na oścież, a przez nie dawni ludzie wyszli, nowi weszli.

Augustyn Szyłło, wraz z dziesiątkami, setkami współtowarzyszy swych, utracił posadę. Przygarbiony i posiwiały, wstał ze stołka, na którym 27 lat siadywał, i poszedł..

Poszli wszyscy i stanęli śród ulic miejskich, na twardym, nagim bruku. Nie byli sami. Wkoło nich stały żony ich, matki, siostry, rojem otaczały ich dzieci drobne lub dorastające....

Co czynić? Nie pójść im już teraz do pługa, nie imać, się młota, nie wdziéwać na plecy, od lat i pracy schylone, studenckiego munduru! Pracowali dotąd w zawodzie, do którego dostatecznie lecz wyłącznie byli usposobieni. Jedyną umiejętnością, jaką posiadali, było przepisywanie lub pisanie urzędowych aktów; cała wiedza ich mieściła się w kilku tomach kodeksu prawnego i w tych szafach odwiecznych, nadpróchniałych, w których zżółkłe od starości, pyłem przegryzane, spoczywały biurowe archiwa. Dziś umiejętność ta i wiedza stały się im nagle zupełnie bezużytecznemi.

W ten-to sposób, śród mnóstwa innych, nowych całkiem zjawisk, powstało jedno jeszcze a niemniéj dziwne, powstał osobliwszy proletaryat, złożony z ludzi bez własności, bez dachu, bez żadnéj określonéj kondycyi, bez przystępnéj im pracy, bez możności zarobkowania... Rozeszli się. Dokąd poszli? Ha! na traf szczęścia, na łaskę miłosierdzia ludzkiego. Rozeszli się, niosąc na głowach zdwojoną ilość włosów białych, na plecach gromady istot, z rąk ich wyglądających wyżywienia. Jedni powędrowali w strony dalekie, tam gdzie trudnić się mogli tém czém trudnili się długie lata w stronie rodzinnéj; inni utulili się w kątach cichych, zapadłych, kędy chléb najtańszy, a litość ludzka najczynniejsza; inni jeszcze z bohaterskiém nieledwie wysileniem, po przez głód, chłód i łzy, wdarli się na ścieżki ciasne dla nich, bo nowe; inni nakoniec, po krótszéj lub dłuższéj walce, stopniowo lub nagle, według charakteru i okoliczności, puścili się na zarobki łatwe, przestąpili progi miejsc, kędy nędzne okruchy czarnego chleba ludziom zgłodniałym rozdają oszustwa i występki.

Nikt nie policzy, nikt nigdy wiedzieć napewno nie będzie, ile plam ciemnych wystąpiło w porze owéj na czoła dotąd czyste, ile rąk nieskalanych jeszcze zanurzyło się w błocie, ile sumień ludzkich usnęło na wieki, a ile ich targało się, płakało, walczyło póty, aż miotane niemi piersi rozdarły się i skonały, wydając jęk żalu za grzechy dokonane z rozpaczy. Wilgotne ściany suteren i duszące stropy wysokich poddaszy widziały ludzi tych siedzących z twarzami ukrytemi w dłoniach, podczas gdy dzieci ich wyciągały z kolébek wychudłe dłonie, wołając: chleba! Widziały ich okna litościwych ludzi, gdy pochodzili ku nim nieśmiałemi kroki, z oczami wbitemi w ziemię, z dłonią która wy-

suwając się z łachmanów rękawa, drżała ze wstydu, a z nędzy o jałmużnę błagała. Widziały ich progi możnych, gdy przybywali ku nim codzień, co rano, i z pokorą głęboką, z uporczywością niczém niezrażoną powtarzali zawsze jeden i ten sam błagalny wyraz, błagalnym wymawiany głosem: pracy! pracy! Widziały ich nakoniec ponure głębie szynkowni miejskich, gdy wstępowali w nie, aby zgryzotę swą zalać ognistemi kroplami trunku; widziały ukryte wśród zaułków lub murów starych szulernie, gdy zasiadali w nich nad stołem, aby od kart zatłuszczonych i cuchnących otrzymywać to, co dotąd uczciwa dawała im praca.

Z licznéj gromady tych świeżo powstałych proletaryuszów w każdém mieście, w każdem miasteczku znalazło się po ludzi kilku lub kilkunastu, którzy się jęli zajęcia najbliżéj spokrewnionego z tém, jakie mimo woli swéj opuścili. Ogłosili oni gotowość swą do załatwiania interesów prawnych tym wszystkim, którzy załatwiać ich samodzielnie nie chcieli lub nie umieli.

Augustyn Szyłło był jednym z tych, co się tego środka zarobkowania najpierwsi chwycili. Współzawodniczyło z nim kilkunastu dawnych kolegów jego, i pośród téj świéżo zgrupowanéj klasy nie on téż osiągnął pierwszeństwo.

Jak wszędzie bywa, tak i tu miejsca najzyskowniejsze, najzaszczytniejsze, zajęły głowy najzdolniejsze, charaktery najenergiczniejsze. Jak wszędzie tak i tu w opinii publicznéj, w zaufaniu i sympatyach ogółu i w wynikającém z nich powodzeniu szale kołysały się póty, póki charaktery silne, wyraźne i zdolności wyższe nie przeważyły. Dwaj, trzéj ludzie ze świéżo powstałéj klasy wystrzelili nad wszystkich innych, zdobyli sobie klientelę liczną i zamożną, zarobki obfite, działalność szeroką i użyteczną. Inni pozostali

w cieniu, ubiegając się za mizernemi zyskami, które dawały im wprawdzie byt, ałe skąpy, niepewny, bez nędzy ostatecznéj, ale i bez dostatków. Do tych ostatnich właśnie należał Augustyn Szyłło. Stérany już nieco latami i pracą, miękkiéj woli z przyrodzenia, wszelkiéj wiedzy nieco wszechstronniejszéj i światowéj ogłady pozbawiony, nie mógł doścignąć dwóch czy trzech kolegów swych młodszych, energiczniejszych i... pozostał za nimi tak daleko, że nie mógł prawie uważać się za ich współtowarzysza.

Nie posiadał daru wymowy, nie był zdolnym unieść się szlachetnym zapałem dla sprawy przez się bronionéj, nie mógł stanąć przed sądem z żywem słowem na ustach, ani przeniknąć bystrym wzrokiem tajemnic i plątanin spraw zawikłanych a ważnych. Specyalista suchy i ciasno specyalizm swój pojmujący, rutynista, flegmatyk z temperamentu, mógł tylko pisać urzędowe podania i skargi, pilnować terminów i stosować pomniejsze okoliczności spraw sobie powierzanych do elementarnych przepisów prawa. W warunkach podobnych utrzymanie się wobec licznéj konkurencyi było trudném, a postęp wszelki okazał się niemożebnym. Żył jednak jako tako z grosza spływającego mu ztąd i zowąd; a głównymi, to jest najmożniejszymi, klientami jego byli Orchowscy, Ręczyc i Łozowicz.

Synów dorosłych ów trzeciorzędny prawnik-plenipotent miał dwóch, córki dorosłe także dwie i jednę dorastającą.

Ranek był chłodny, listopadowy, mgła, utworzona z drobnego, gęstego deszczu i wyziewów miejskich, przysłaniała grubą zasłoną mury domostw i wieże kościołów; za drogą bitą, oddzielającą miasto od otaczających je pól, odbywał się targ na drzewo, siano, drób, ryby i warzywo. Zamiejski rynek ten był placem niebrukowanym, kilkuna-

stu staremi drzewami, bezlistnemi teraz otoczonym; z miastem łączyło go kilka ulic i kilka zaułków, stykających się z drogą bitą. Ze wsi prowadziła do niego széroka pocztowa droga, niegdyś, przed powstaniem kolei żelaznéj, stanowiąca główną komunikacyjną arteryą prowincyi. Na rynku stało kilkadziesiąt wozów, naładowanych drzewem, sianem i innemi ze wsi przywożonemi płodami. Śród nich roił się tłum przekupniów, kucharek i uboższych lub skrzętniejszych gospodyń miejskich. Krzyki, targowania się, połajanki chłopów, szwargot Żydów, piskliwe głosy kucharek, zaklinania się i kłótnie przekupniów—zléwały się tam w gwar niezrozumiały, wrzaskliwy, grubiański czasem.

Wśród hałaśliwego, popychającego się wzajem tłumu tego, w miejscu gdzie stały najliczniejsze fury drzewem naładowane, przesuwał się Augustyn Szyłło. Miał na sobie paltot z grubego sukna, dobrze wynoszony, i grube, nienowe też obuwie; na czapce jego tylko połyskiwała srebrzysta gwiazdka, oznaka dawno już przezeń postradanéj urzędniczéj godności. Przybył tu znać z zamiarem kupienia drzewa na opał, bo stawał przy wozach i zapytywał o ceny. Zatrzymał się też przed straganem z warzywami, kupił sporą wiązkę włoszczyzny, i wepchnąwszy ją sobie pod paltot, wrócił pomiędzy fury.

Na drodze ukazała się, w pobliżu już, bryczka, po osie obłocona, w parę nędznych i zmęczonych koni zaprzęgnięta. Kto siedział na téj bryczce, z za mgły deszczowéj widziéć jeszcze nie można było.

Szyłło postąpił naprzód i stanął na krańcu rynku, tuż przy drodze.

Z pozoru sądząc, bryczką taką i takiemi końmi jechać tylko mogli szlachcic zagrodowy, lub wiejska jejmość jakaś,

wdowiemi kłopotami ku miastu pociągana, albo wreszcie nadruinowany obywatel, *incognito* o rannéj porze do miasta przybywający. W rzeczywistości jednak było trochę inaczéj. Na bryczce jechała młoda kobiéta, w szczupłem futerku, z twarzą przysłoniętą gęstą woalką: obok niéj siedział młody chłopiec brzydki, ospowaty, sukienną burką otulony. Powoził zaprzęgiem parobczak w żółtym kożuchu. Kiedy bryczka zrównała się z placem targowym, jadąca kobiéta podniosła się nieco z siedzenia, odrzuciła z twarzy woalkę i zawołała:

— Stryjaszku!

Augustyn Szyłło, usłyszawszy wołanie to, przymrużył oczy, popatrzył i zbliżył się szybko ku obłoconemu wózkowi, który stanął śród drogi.

— A! to ty Michasiu? rzekł, wyciągając rękę ku siedzącéj na bryczce kobiécie. Jakże się miéwasz, moje dziecko? Wszak do nas jedziesz, nieprawdaż? Słyszałem żeś w ostatnich czasach była u Łozowiczów.

Michalina pochyliła się i przycisnęła do ust suchą, zziębniętą rękę stryja.

— Zostałam oddaloną, stryju! zawołała, oblewając się gorącym rumieńcem.

— Biédna ty jesteś, rzekł Szyłło, nigdzie kąta zagrzać nie możesz. Ale wiem, wiem, że to nie twoja wina. Czy ja cię nie znam i ich także? No to i dobrze zresztą, że przyjechałaś do nas. Matka nudzi się bez ciebie, a choć nigdy nie poskarży się, ale my wiemy co się tam w jéj sercu dziać musi....

— Dziękuję ci, stryju kochany, dziękuję! przytłumionym głosem odpowiedziała Michalina. Matka moja czy zdrowa?

-- A dobrze, dzięki Bogu, trzyma się pani Benedyktowa nasza. Żonisko mi tylko wciąż niedomaga. Ale z jakimże to kawalerem jedziesz, Michasiu?

— Syn Pawła, Walek, szepnęła Michalina. Naparł się jechać ze mną... chciało mu się poznać rodzinę stryja...

— A może i większe trochę miasto zobaczyć, uśmiechnął się Augustyn. No dobrze, dobrze, stryjenka rada ci będzie, Walku... Cóż ojciec? zawsze na łaskawym chlebie w Łozowéj?...

— A na łaskawym, odmruknął Walek, daleko więcéj zajęty widokiem tłumnego rynku, niż powitaniem i rozmową ze stryjem.

— Poszedłby gdzie choć na ekonoma! sarknął pan Augustyn. No a ty co? czy będziesz tu chleba szukał?

— Nie, odparł chłopiec, wrócę do Łozowéj temi samemi końmi:

— I cóż ty tam robisz?

— A nic! lakonicznie odrzekł chłopiec i z roztwartemi usty przyglądał się rynkowi.

Po kilku jeszcze zamienionych słowach bryczka potoczyła się daléj. Na ulicach niewiele znajdowało się przechodniów. Jeden z nich przecież, spotkawszy spojrzeniem toczącą się zwolna bryczkę, stanął, popatrzył i zeskoczył z chodnika.

— Michasiu! zawołał.

Był-to młody człowiek, 24-letni najwięcéj, wysoki i szczupły, z twarzą ściągłą i bladą, w obcisłym paltocie. Pod ramieniem miał tekę wypchaną papiérami, w drugiéj ręce trzymał nad głową roztwarty parasol. Szérokiemi krokami zbliżył się do bryczki, która na znak Michaliny stanęła znowu.

— Jak się masz, Ignasiu? rzekła młoda dziewczyna, wysuwając z zarękawka rękę.

Młody człowiek serdecznie dłoń jéj uścisnął.

— Do nas jedziesz? zapytał.

— Do was, Ignasiu.

— Na długo?

— Nie wiem.

— To i dobrze. Tęskno już nam wszystkim za tobą. Dłużéj może trochę zabawisz, niż zwykle....

— A ty, Ignasiu, dokąd idziesz tak wcześnie i w taką słotę?

— Czyż nie wiesz? jak zwykle do biura.

— Jesteś więc zawsze kancelistą?

— A naturalnie, od lat sześciu.

— I zawsze nieetatowym?

— A naturalnie, alboż może być inaczéj?

— Czy przynajmniéj zwiększono ci płacę?... Dwa lata temu, gdym tu była, otrzymywałeś tak mało...

Młody człowiek uśmiechnął się pod ładnym, płowym wąsikiem, niezbyt wesoło.

— Zwiększono, rzekł. Biorę teraz po osiem rubli na miesiąc... Starczy mi to na obuwie i na jaki taki surdut.... O reszcie, jak i dawniéj, myśli ojciec.

— Stryjowi zawsze powodzi się nieosobliwie? szepnęła Michalina.

— A nieosobliwie, odparł Ignaś. Najlepsze interesa idą do Rzęskiego i do Dmuchowicza. Ojciec ma same drobnostki, a i tych jeszcze szukać musi. Przytém gromada nas jest w domu....

Smutek okazał się na twarzy i zadźwięczał w głosie młodego człowieka. Michalina patrzyła na niego z przywiązaniem.

— Tak dawno nie widziałam was wszystkich! rzekła w zamyśleniu. Ale źle mi cóś wyglądasz, Ignasiu. Pobladłeś, zmizerniałeś i oczy masz jakoś nabrzękłe. Czy jesteś chory?

— Ej nie, odparł chłopak, siaduję tylko w biurze od dziewiątéj z rana do czwartéj po południu, a potém jeszcze biorę papiéry do domu. Ot i dziś całą noc do piątéj pisałem... Ale dobrze żem sobie biuro przypomniał. Byłbym się spóźnił. Do zobaczenia, Michasiu!

Uścisnęli sobie znowu ręce i młody kancelista széroklemi krokami podążył tam, gdzie wznosiły się mury, zawierające w sobie główną jurysdykcyą miasta.

W nizkim, drewnianym domu, wsuniętym w głąb błotnistego dziedzińca, w piérwszym od wejścia pokoju, mającym pozór małéj i bardzo skromnie urządzonéj jadalni, siedziała przy fortepianie 14-letnia dziewczyna i wygrywała gammy. Fortepian stary był, z politurą nawpół już znikłą i z klawiaturą zawierającą tylko sześć oktaw. Grająca gammy dziewczynka jasnowłosa, z bladawą, ładną twarzyczką, miała na sobie perkalową, krótką sukienkę, starannie wykrochmaloną, a kokardy ze staréj lecz barwistéj wstążki u szyi i przy włosach. Drugi pokój obszerniejszy był nieco od piérwszego i wykwintniéj przybrany. Znajdowała się tam kanapa ze stołem przykrytym siatkową serwetą i fotelami. Pod stołem leżał dywanik spłowiały, lecz spory; parę lusterek wisiało pomiędzy oknami, przystrojonemi w muślinowe firanki.

Wkoło stołu rozmawiało pięć kobiét. Jedna z nich, mała, szczupła kobiétka, z chorobliwą cerą twarzy i zapadłemi pod ciemną powieką błękitnemi oczami, siedziała na kanapie, trzymając w białych, chudych rękach stalowe szy-

dełko, którém wyrabiała z bawełny wązką jakąś koronkę. Ona téż tylko jedna nie miała na głowie nic prócz nawpół posiwiałych włosów, gładko nad blademi skrońmi przyczesanych, a z tyłu głowy w cienki warkoczyk splecionych. Cztéry inne kobiéty siedziały w kapeluszach.

Rozmowa toczyła się żwawo i najczęściéj chórem. Zagłuszały ją chwilami, lecz nigdy nie przerywały gammy wygrywane w przyległym pokoju przez jasnowłosego podlotka. Nie najmniejszy w niéj udział brała szczupła kobiétka, koronkę robiąca, gospodyni domu widocznie. Patrząc na niewiasty te, jak roprawiały z najżywszém zajęciem, możnaby było mniemać że są to osobliwsze jakieś wiece niewieście, dla narady ważnéj nad sprawami wielkiemi zwołane. Było to zaś poprostu małe zebranie kumoszek miejskich, przybyłych na codzienną ranną gawędkę do pani Augustynowéj.

Gadały tak długo, z jednego przedmiotu na drugi przechodząc, a z każdego czerpiąc temat do rozprawy szérokiéj. Z twarzy ich ożywionych i gestów częstych poznać można było, że bawiły się wyśmienicie, a jakkolwiek pani Augustynowa wydawała się mniéj od cztérech przyjaciółek swych ożywioną, jakkolwiek szczupłą postać jéj i twarz bladą piętnował wyraz chorobliwości fizycznéj i moralnego znużenia — znać jednak było że i ona także w gawędce téj niepomierną znajdowała przyjemność, że rozmowa z kumoszkami była dla niéj nawyknieniem i potrzebą codzienną, rozrywką miłą i zwyczajnym sposobem przepędzenia godzin porannych. To téż gdy mała kobiétka z okularami na nosie i w kapeluszu podobnym do nocnego czépka piérwsza ruszyła się z krzesła, przypominając towarzyszkom swym, że czas już na wotywę. i gdy na głos jéj trzy inne

panie powstały z fotelów, pani Augustynowa jęła się zatrzymywać gości.

— Jeszcze chwilkę, pani asesorowo! pani sekretarzowo! kochana panno Julianno! pani Janowo! jeszcze chwilkę posiedźcie! Nie dzwonili jeszcze na wotywę.

— Nie można, nie można, trzeba iść! My sobie po obiedzie do pani sowietnikowéj na gawędkę znowu podejdziem.

— Przyjdźcie! przyjdźcie panie! Człowiek jak pogawędzi sobie trochę, to mu jakoś lżéj na sercu i dzień prędzéj przejdzie.

— Oj, to prawda! to prawda! Choć to teraz dnie takie krótkie.

— Ale wieczory długie.

— My do pani sowietnikowéj, jak zawsze, wieczorem na gawędkę...

— Proszę! proszę! z robótkami.

Miały się już ku odejściu, gdy przed domem dało się słyszéć klapanie po błocie kopyt końskich.

— Ktoś przyjechał!

— To pewno kto za interesem do Augustyna.

— Jakaś panna i jakiś chłopiec w burce.

Pani Agustynowa w okno spojrzała i ku drzwiom się rzuciła z żywością, któréj trudnoby się było spodziéwać po zwyczajnym jéj, flegmatyczny temperament zdradzającym układzie.

— Michasia! wołała, śmiejąc się serdecznie, Michasia! Zkądżeś się ty wzięła tutaj? jak z nieba spadłaś! To dopiéro pani Benedyktowa uszczęśliwioną będzie!

Otworzyła szczupłe, wełnianemi rękawami okryte swe ramiona i ciepłym uściskiem objęła szyję pochylonéj przed sobą i w ramię ją całującéj młodéj dziewczyny. Tkliwe znać

miała serce i system nerwowy rozstrojony nieco, bo do zapadłych oczów jéj napłynęły łzy, a ręce jéj drżały lekko, gdy wydobyła je z uścisku drobnych, gorących dłoni Michaliny. Przybyła witała się z cztérema kobiétami. Znała je wszystkie. Jakkolwiek od trzech już lat w domu stryjostwa nie była, w składzie codziennego towarzystwa i w przyzwyczajeniach żony jéj stryja zmiany żadnéj nie znalazła. Przedstawiła pani Augustynowéj Walka, który wnet wymknął się z pokoju. Cztéry kumoszki, rozciekawione zjawieniem się nowéj twarzy, zapomniały o wotywie i posiadały znowu na fotelach.

— Gdzie Zuzia i Paulinka? zapytała Michalina.

— Zuzia od godziny już na mieście. Lekcye muzyki daje po domach. Paulinka jeszcze śpi.

— A Klemens?

Jakby na wezwanie, z przeciwnéj strony domu wyszedł najstarszy syn Szyłłów, bardzo do Ignasia podobny, zręczniejszy tylko, mniéj blady i mizerny, z wąsikiem pretensyonalnie zaostrzonym, w ubraniu zdradzającém niepomierną do elegancyi skłonność.

Powitał on siostrę daleko mniéj czule i serdecznie od innych członków rodziny, po chwili zaś, z rękami włożonemi w kieszenie ładnego paltota, wyszedł na ganek i widać było przez okno, jak przechodził przez dziedziniec z Walkiem, udając się z nim na miasto. Pani Augustynowa wołała na sługę o samowar.

— Zziębłaś, moje dziecko, i przemokłaś, mówiła do Michaliny.

— Pójdę do matki, szepnęła dziewczyna, całując raz jeszcze rękę stryjenki.

Cztéry kumoszki ruszyły się znowu ze swych siedzeń i po chwilowéj jeszcze, przy drzwiach stoczonéj, gawędce odeszły. Natomiast do pokoju wszedł Augustyn Szyłło, a jednocześnie na dziedziniec wjechała fura z drzewem i inny wóz, na którym siedział szlachcic w kożuchu, wypchanym u piersi papiérami, w sieni zaś zakwiczało prosię. Szyłło zdjął paltot i schowany za połą pęk włoszczyzny rzucił na krzesło.

— Lucynko, rzekł, zwracając się do jasnowłosego podrostka, weź to i zanieś do kuchni.

Dziewczynka, która dla powitania stryjecznéj siostry opuściła na chwilę fortepian, a teraz znowu przy nim siedziała i gammy wygrywała, poskoczyła, aby spełnić rozkaz ojca. Szyłło zbliżył się do żony i w rękę ją pocałował!

— Kupiłem drzewa, odezwał się; haniebnie teraz drogie. Prosię tam także masz na kuchnię, a proszę cię niech dziś dobry obiad będzie, bo Michasia przyjechała i biédnéj dziewczynie pokazać trzeba żeśmy jej radzi.

— Któżby jéj rad nie był? odparła pani Augustynowa! ale ty sam wiesz, czy u nas może być obiad dobry, przez kucharkę taką zgotowany. Ręczę że do tego czasu ognia jeszcze nie rozłożyła...

— A nie rozłożyła, rzekł Szyłło, widziałem przechodząc, że w kuchni ognia jeszcze niéma. Czemuś jéj, Wikciu, nie kazała tego zrobić?

— Mój Boże, żałośliwie odparła żona, gości miałam, mój Guciu... przyszła pani asesorowa, pani sekretarzowa, jeszcze tam ktoś i zagawędziłam się...

Szyłło nie zdawał się być wielce zbudowanym tém chroniczném, jak się zdawało, zagawędzaniem się swéj żony,

ale nie był téż niém zdziwiony ani rozgniéwany. Przywykł znać do tego rzeczy porządku.

— Idźże więc, Wikciu, zawołał, i każ ogień rozkładać..

— Idę, idę!

Z temi słowy śpiesznie przechodziła pokój, dążąc do kuchni.

Stary drewniany dom posiadał nad dachem facyatkę, w któréj zawiérał się pokoik niewielki, lecz schludny i ciepły, z małém oknem, wychodzącém na ogrody, z łóżkiem biało zasłaném, komodą, szafką, z parą prostych stołów i krzesełek. Przy oknie siedziała stara kobiéta, w czarnéj wełnianéj bluzie i śnieżnéj białości czépku, okrywającym zupełnie już prawie siwe włosy. Twarz jéj pomarszczoną była w różnych kierunkach i napiętnowaną wyrazem przyrosłego jakby do niéj, cichego smutku; wysokie czoło przyoblekała cera liliowéj prawie przezroczystości. U stóp staréj kobiéty, wspartych na drewnianym podnóżku, leżał wielki stos dobrze już znoszonéj bielizny i starych perkalowych sukien; ona pochylała się, brała z kolei każdą ze sztuk téj przerozmaitéj odzieży, oglądała ją starannie, a potém zszywała i cérowała znalezione w niéj dziury i rozdarcia. Pracę tę spełniała pilnie i z wielkiém zajęciem, a spełniać ją musiała często bardzo, może nieustannie, gdyż białe, przezroczyste palce jéj okryte były nakłóciami igły. Od chwili do chwili tylko podnosiła głowę, a błękitne oczy jéj, okularami przysłonione, z zamyśleniem tonęły w przestrzeni. Posyłała zapewne myśl swą kędyś daleko, do kogoś ukochanego a oddalonego, bo pierś jéj pod fałdami czarnéj

bluzy wznosiła się westchnieniem. Wnet jednak wracała znowu do swéj roboty.

Cisza zupełna panowała w izbie, gdy nagle na ciemnych wschodach, z dołu na facyatkę prowadzących, ozwały się lekkie, szybkie stąpania. Stara kobiéta podniosła głowę, jakby ze snu zbudzona; pomiędzy gęste zmarszczki, okrywające czoło jéj i policzki, wystąpiła barwa słabego rumieńca. Koszula, którą właśnie zaczęła cerować, spadła z jéj kolan. Splotła ręce i zawołała z cicha:

— Boże mój! to ona! to ona!

Otworzyły się drzwi i Michalina jednym poskokiem znalazła się u kolan staréj kobiéty. Szczupłą jéj kibić ramionami objęła i tuląc się do jéj piersi, pocałunkami okrywała ręce jéj, twarz i kolana. Nie zamieniły pomiędzy sobą ani jednego słowa. W przerwach pomiędzy pocałunkami patrzyły na siebie długo, długo.... oczy ich szkliły się wilgocią, usta drżały...

— Trzy lata, matko, szepnęła nakoniec młoda dziewczyna, trzy lata nie widziałam cię! Ile było dni w tych latach, tyle razy doznawałam strasznéj pokusy, aby porzucić wszystko i biedz do ciebie... Zwalczałam pokusy te, boś mię sama nauczyła, matko moja, że powinnam pracować, powinnam cierpiéć i przenosić wszystko raczéj, niż żyć z cudzéj pracy, niż wyzyskiwać czyjeś dobre dla mnie uczucia..

Usta staréj kobiéty przylgnęły na chwilę do bladego czoła klęczącéj przed nią dziewczyny. Oczy jéj jednak mgliły się żalem i łagodne zwykle, z pewną badawczą powagą utonęły w twarzy córki.

— Dlaczegóż teraz przyjechałaś, Michasiu? rzekła głosem przytłumionym nieco, lecz pewnym, czy dlatego tylko aby mię zobaczyć?

Dziewczyna schyliła głowę.

— Nie, matko, szepnęła, przyjechałam tu nie wiem na jak długo... Nie miałam już dokąd udać się... prócz dachu tego, nie było już dla mnie żadnego innego.

Stara kobiéta coraz głębiéj i przenikliwiéj patrzyła w twarz córki. Nie miała już uśmiechu na ustach, ani łez w oczach. Łagodną twarz jéj przyoblekła powaga, wzrok stał się surowym prawie.

— Dlaczego, Michasiu? spytała krótko.

Ale młoda dziewczyna zrozumiała wszystko co zawierało się w tém pytaniu. I ona także podniosła czoło z powagą; wzrok jéj głęboki, przezroczysty jak kryształ, spotkał się z badającém ją spojrzeniem matki. Na czole tém i w tych oczach malował się wyraźnemi znakami spokój czystego sumienia; ale blado-różowe usta drgnęły boleścią i wydarł się z nich wykrzyk, przeszywający mocą i prawdą:

— Jam niewinna, matko moja! jam niewinna!... Czyniłam wszystko co było w mocy mojéj i nic już więcéj uczynić nie mogłam.

W téj saméj chwili wyciągnęła ramiona, objęła niemi znowu kibić staréj kobiéty i przytulona do jéj piersi, wybuchnęła łkaniem. Zdawać się mogło, że jakieś zapory, utrzymywane dotąd w piersi jéj stałém wysileniem woli, pękły wobec oblicza jedynéj kochającéj ją prawdziwie istoty, że znalazłszy się nakoniec przy sercu bijącém dla niéj, wypłakać musiała wszystkie smutki, tęsknoty, upokorzenia i zniechęcenia śmiertelne, któremi napawały ją serca obojętne.

— Michasiu moja! szeptała schylona nad nią stara kobiéta, niedziw mi że płaczesz. Kiedym cię posyłała między ludzi obcych, na pracę ciężką, anim spodziéwała się

abyś wróciła do mnie z sercem lekkiém i wesołém. A jednak, dziecko moje, wolę abyś płakała, abyś borykała się z siérocą dolą swoją, niż żebyś żyć miała jak inni, na karku cudzym, i czyjemuś mozołowi kawałek chleba wydziérać. Dość mi biédnego Pawła...

— Wiem, matko, o wiem! Ale pozwól abym przy tobie wylała z piersi wszystko, co się w niéj przez te długie, długie lata zbiérało. Byłam cierpliwą... milczałam... Jeżeli zapłakałam kiedy, to chyba śród ciemności; a jednak, matko, jakże zimne są ściany domów obcych, jak wielu na świecie jest ludzi niedobrych!...

Łkania jéj ustały. Oparła głowę na piersi matki, a po policzkach jéj płynęły dwa strumienie łez gorących lecz cichych. Cichym téż głosem opowiadać zaczęła dzieje sześcioletniéj wędrówki swéj po świecie.

Mówiła o tém, jak zrazu nic prawie nie umiejąc z przestrachem i wyrzutami sumienia spełniać poczęła zadanie, do którego nie czuła w sobie sił dostatecznych: jak niewiadomość swą postanowiła zmniejszyć i siły wzmocnić mozolnym trudem: jak czuła stopniowo wzrastanie swe moralne i coraz szerzéj, wznioślej pojmowała zakres swéj działalności; jak nic jéj nie pomogło, ani praca ciężka, ani wiedza zdobyta, ani cierpliwość mężna, bo ludzie nie tego od niéj żądali, i za brak blasku powierzchownego, za imię pospolite, za samę nawet moc jéj przekonań karali ją niechęcią, lekceważeniem, nadwerężaniem dobréj jéj sławy.

Ramiona staréj kobiéty, obejmujące kibić córki, drżały przy smutnem tém opowiadaniu; zmęczone oczy jéj świeciły bezdenną zda się boleścią, ale wargi jéj otworzyły się, łagodne choć smutne i na głośną skargę dziewczyny odpowiedziały szeptem cichym:

— Niech Bóg im przebaczy, dziecię moje, niech Bóg im przebaczy!

Michalina długo jeszcze mówiła. Wezbrany potok uczuć jéj przelewał się w słowach gorących, żałośnych; lecz ile razy z ust jéj wychodził wyraz skargi na ludzi, ile razy sarknęła na pychę ich, złość lub głupotę, w odpowiedzi na te słowa unosił się nad pochyloną jéj głową cichy szept staréj kobiéty:

— Niech Bóg im przebaczy!

Obie uczuły się pokrzepionemi, pocieszonemi, prawie wesołemi. Michalina powstała i zaczęła krzątać się po izbie, porządkując rzeczy swe i książki wyjęte z tłómoczka i drewnianego pudła. Służąca wniosła na tacy szklankę herbaty i kilka sucharków, mówiąc że pani Augustynowa przysyła to pannie Michalinie, bo czuje się ona pewno zziębniętą po drodze. Herbata była bardzo złego gatunku ale przyrządzona z widoczną starannością.

— Jak dobrą dla mnie jest zawsze stryjenka! rzekła po odejściu sługi Michalina.

— Dobra, poczciwa kobieta, przywtórzyła pani Benedyktowa, dobrzy są oni oboje, dodała. Nie uwierzysz jak serdecznie i delikatnie obchodzą się ze mną. Nigdy słowem żadném nie dali mi uczuć, że żyję z ich łaski.

Michalina spojrzała na wielki stos odzieży, leżącéj u stóp staréj kobiéty i na palce jéj nakłute igłą, które zajęte były pilnie oszywaniem széroką taśmą zrudziałéj sukni wełnianéj, do pani Augustynowéj lub któréj z dorosłych jéj córek należącéj.

— Pracujesz jednak, matko, wyszeptała.

— Robię co mogę, ale więcéj nie potrafię, bo stara jestem i sił już nie mam.

Michalina stanęła na krześle i zaczęła ustawiać książki swe na wiérzchu szafki. Gdzieindziéj nie było dla nich miejsca.

— O! moje śliczne, drogie książeczki! zawołała jak ja was kocham!

Stara kobiéta oderwała wzrok od roboty i rozpromienioném spojrzeniem śledziła każde poruszenie córki.

— Dziwna rzecz, ozwała się po chwili, jak w moim pokoju jasno dziś i wesoło!...

Zamieniły się uśmiechami, w których był świat cały uczuć serdecznych.

— A jednak, piérwsza ozwała się matka, nie powinnaś tu być długo.. pójdziesz w świat znowu..

— Pójdę, matko, odparła Michalina, zacznę zaraz starać się dla siebie o miejsce jakie, a gdy tylko je znajdę— pójdę...

Około godziny 4-téj po południu rodzina Szyłłów zgromadziła się w bawialni, oczekując na obiad. Pani Augustynowa siedziała na kanapie, robiąc koronkę. Ignaś który tylko co wrócił z biura, Michalina i czternastoletnia Lucynka rozmawiali przy oknie. W sypialnym pokoju, służącym zarazem za gabinet, Szyłło kończył ożywioną rozmowę z dwoma Żydkami, w obdartych chałatach. Na biurku leżała brudna i zmięta, przez Żydów tam położona, dziesięciorublowa asygnata.

Do bawialni wbiegła młoda panna, w futerku zgrabném i strojnym kapelusiku.

— Co widzę! Michasia! zawołała zaraz w progu i rzuciła się stryjecznéj siostrze na szyję.

Powitanie było serdeczne, ale trwało krótko, z głębi mieszkania bowiem, głosem przybyłéj zapewne przywołana

wbiegła druga panna, śliczne szesnastoletnie dziéwczę.

— Czegoś dziś tak długo na mieście siedziała, Zuziu? zawołała. O drugiéj przecież kończysz swoje lekcye.

— Śmieszna jesteś, Paulinko! przecież sprawunki robiłam! Dwie godziny chodziłam po sklepach, nim znalazłam to co wiész....

— Ale znalazłaś?... kupiłaś?

— Znalazłam i kupiłam. Patrz!

Rozwiązała białą chusteczkę, którą trzymała w ręku, i wyjęła z niéj najprzód dwie pelerynki koronkowe, potém dwie kokardy z niebieskiéj wstążki. Pokazując to, śmiała się wesoło, a oczy Paulinki błyszczały także zachwyceniem.

— Pocóżeś kupiła dwie pelerynki i dwie kokardy? zapytała młodsza siostra, nie będziesz ich przecież razem nosiła.

— Jedna pelerynka dla mnie, a druga dla ciebie, odparła Zuzia; tak samo zrobimy i z kokardami.

Ładne. błękitnookie dziéwczę z okrzykiem radości rzuciło się siostrze na szyję.

— Jakaś ty dobra, Zuziu! jakaś ty dobra! Ja ani marzyłam o tém. Ale prawda, ty zawsze tak robisz. Jeżeli mam co ładnego to zawsze od ciebie.

Zuzia musiała być w istocie dobrą dziewczyną, bo radość siostry uszczęśliwiała ją nad wszelki wyraz. Śmiejąca się i rozradowana, z pelerynką koronkową włożoną dla przymierzenia na stanik codziennéj sukni, zwróciła się do Michaliny.

— Ty-bo nie wiész może, Michasiu, że ja to kupiłam za swoje własne pieniądze... właśniuteńkie, bo zapracowane. Mam cztéry lekcye muzyki na mieście, dwie po 40 gr. za godzinę, a dwie po złotemu... Kupuję sobie, a czasem

i Paulince, wszystkie ładne rzeczy, jakich nam się zachce, tak iż rodzice sprawiają nam już tylko suknie, bieliznę i buciki.

— Tak, tak! przytwierdziła pani Augustynowa, z dumą spoglądając na starszą córkę, wszystkie dodatki do ubrania Zuzia kupuje za własne pieniądze.

Michalina nie zdawała się być wielce zbudowaną tém kupowaniem za własne piéniądze pelerynek i kokard, nic jednak nie rzekła. Lucynka zato, w milczeniu dotąd podziwiająca stroje przez siostrę przyniesione, zawołała z zapałem:

— I ja też pilnie, o, bardzo pilnie uczę się grać, aby conajprędzéj miéć, tak jak Zuzia, własne swoje piéniądze.

— I cóżbyś z niemi zrobiła? zapytał Ignaś.

— Ach! odparł podlotek, kupiłabym sobie zaraz błękitny kapelusz i buciki zapinane z boku na guziczki.

Z wykrzyku tego zaśmieli się wszyscy, prócz Michaliny.

W téj chwili ojciec rodziny wszedł do pokoju. Dzieci wszystkie pogarnęły się do niego. Ignaś całował go w ramię, Lucynka wpół go objęła, Zuzia i Paulinka otoczyły szyję jego ramionami. Posypały się koło niego żartobliwe i pieszczotliwe słowa, pocałunki ust świeżych spoczęły na pomarszczoném czole jego i żółtych policzkach. To też twarz biédnego ex-urzędnika jaśniejszą stała się i gładszą; rozświecił ją uśmiech miłości i radości. Iskra poezyi głębokiéj i orzeźwiającéj, poezyi rodzinnego ogniska, wpadła w ciemną, twardą prozę jego życia i rozpromieniła ją na chwilę.

— Wikciu, zawołał wesoło na żonę, każ obiad dawać, bo umiéram z głodu!

W jadalnym pokoju kucharka nakrywała stół obrusem i ustawiała talerze. Klemens i Walek wrócili też po

chwili z miasta. Zdawali się być z sobą dobrze poznajomionymi, jakkolwiek na wytwornisia miejskiego wyglądający syn ubogiego prawnika, z poczuciem nieskończonéj wyższości obchodził się z niezgrabnym i w grubą odzież przybranym synem łozowskiego rezydenta. Ale Walek najlżejszéj uwagi na to nie zwracał. Zachwycony był miastem, które w znacznéj już części obejrzał, policzki miał rozognione i oczy błyszczące.

— Ach, panie Klemensie! mówił, (nie miał jeszcze odwagi poufaléj nazywać kuzyna, który wydawał się mu wzorem i ideałem wykwintności) ach, panie Klemensie, te sklepy! te sklepy tam.... co to mi je pan Klemens pokazywał, jakie one piękne!... szczególniéj ten jeden, z takiém ogromném oknem.... Oj! co tam złota i takich jakichś błyszczących kamieni, aż oczy się mrużą!...

Umilkł na chwilę; ospowata twarz jego rumieniła się, szare oczy biegały niespokojnie.

— Ach! zawołał nagle, czyniąc ręką gust energiczny, żeby to tak człowiek był sobie bogatym!

— Ach! powtórzyła Zuzia, jakbym ja chciała być bogatą!

— Aha! zawołał Klemens, żeby to być bogatym, ho, ho!

— Ja nie wiem, doprawdy, czegobym nie zrobiła żeby zostać bogatą! westchnęła z kolei Paulinka.

W wykrzykach tych objawiała się rzecz bardzo smutna i niebezpieczna: żądza bogactw bez pracy. Zdawać się mogło że w domu tym, od matki rodziny począwszy, do najmłodszego dziecka, nikt nie znał aksyomatu w skutki płodnego: czas to pieniądze, i tego innego jeszcze, szlachetnego i uszlachetniającego: ku celom pożądanym wiodą drogi trudne.

Po chwili jednak Ignaś odezwał się:

— Ot wiécie co, moi drodzy, już ja tam z wielkich bogactw nawieki wieków kwituję, i niczegobym nie chciał, tylko dosłużyć się w biurze dwudziestu rubli na miesiąc.

We dwa dni po przyjeździe Michaliny przybył do N. Mieczysław Orchowski. Oddawna już w starém domostwie nie było takiego biegania, wołania, słowem ogólnego zamieszania, jak wtedy, gdy ojciec rodziny, wchodząc do małéj bawialni, oznajmił żonie i córkom, że młody pan Orchowski znajduje się w jego pokoju i że wypada koniecznie zaprosić go na obiad. Pani Augustynowa, siedząc z koronką w ręku pomiędzy panią aptekarzową i panną Julianną, splotła dłonie z przerażeniem nieledwie.

— Ach, mój Guciu! zawołała, a ja się dziś tak zagawędziłam, że i nie wiem doprawdy co dzieje się z obiadem.

Chciała zerwać się i biedz do kuchni, ale dwie obecne przyjaciółki powstrzymały ją mnóstwem uwag i zapytań.

— Orchowski! oho! jakich to panów państwo sowietnikostwo na obiadach u siebie przyjmują!

— Czy to właściciel tego miasteczka Orchowa, co to w nim stryjeczna moja babka mieszka?

— A może to do córeczki któréj ten pan podjeżdża?

— Gdzieby tam! moja panno Julianno. Czy to obywatelski syn pomyśli teraz o biédnéj dziewczynie?

— Obywatelski syn! i cóż tak ważnego? Pani sowietnikowa przecież jesteś także obywatelską córką, a i pan sowietnik....

— To prawda! to prawda!

Tak gwarząc z przyjaciółkami, pani Augustynowa, nie wiedząc sama jak i kiedy, usiadła znowu na kanapie i wracając do koronki, poczęła zwolna i smutnie opowiadać o zgasłych świetnościach obywatelskiego rodu swego i jéj męża.

Zuzia, która w dniu tym na łekcye nie wychodziła, i Paulinka, która niedawno ze snu powstawszy, chodziła po domu ze złocistemi swemi włosami, w nieładzie ranny biały kaftanik opływającemi, zakrzątnęły się około swego ubrania. Na Lucynkę, która gammy, jak zwykle, wygrywała, starsze siostry zawołały, aby fortepian rzuciła, bo przy gościu *etykietalnym*, jak mówiły, brząkać nie wypada.

Dobre pół godziny minęło, zanim pani Augustynowa, przypomniawszy sobie o gościu i obiedzie, z zakłopotaną twarzą do kuchni pobiegła. Wnet jednak uspokojenie i radość zastąpiły w niéj miejsce troski. Nad płytą kuchenną, na któréj w kilku błyszczących rondlach gotowały się potrawy, stała Michalina. Biały fartuch okrywał od szyi aż do kolan jéj suknię, któréj rękawy podniesione były aż po same łokcie. Na stole leżała roztwarta kucharska książka.

— A chwałaż Bogu i Najświętszéj Pannie, że ty tu jesteś, Michasiu! zawołała pani Augustynowa. Takem się zlękła, że aż mi tchu w piersi braknie! Taki gość!... Trzebaż mi było tak zagawędzić się!...

— Niech stryjenka będzie spokojną, rzekła Michalina, krzątając się po kuchni, wszystko będzie dobrze. Zobaczy stryjenka, jakich my tu z Maryanną cudów dziś dokażemy.

Mówiła to z uśmiechem; ale pani Augustynowéj wydało się, że na twarzy jéj dostrzegła, a w głosie zasłyszała cóś niezwykłego.

— Może-bo ty już zanadto męczysz się, Michasiu! rzekła troskliwie. Widzę że i leguminę z jabłek urządziłaś, a mnie najwięcéj to właśnie przestraszało, że dziś żadnéj leguminy na obiad nie zadysponowałam....

— Usłyszałam w sieni głos pana Orchowskiego, domyśliłam się, że zostanie u stryjostwa na obiedzie i wyręczyłam stryjenkę.

Słowa te wymówiła schylona nad rondlem, z którego para buchała kłębami.

— Niech ci Bóg dobroć twoję wynagrodzi, rzekła pani Augustynowa. Wszak to już trzeci dzień obiad nam gotujesz, a Augustyn nie może wszystkiego odchwalić się przy stole.... Dziękuję ci, moje dobre dziecko!

Przy ostatnich wyrazach wyciągnęła chude ramiona i objęła niemi chylącą się przed nią głowę młodéj dziewczyny.

— Co to jest? zawołała nagle, dlaczego czoło twoje takie gorące i twarz rozpalona?... Czy głowa cię od tego gotawania nie boli?...

— O nie, stryjenko! to tak tylko.... od ognia zapewne... to zaraz przejdzie.

Podniosła głowę i szybko twarz odwróciła; niemniéj jednak pani Augustynowa zawołała raz jeszcze:

— Co ci jest? Michasiu! łzy masz w oczach!

Michasia zaśmiała się.

— Gdzieżby tam, stryjeneczko! to tylko dymu trochę zaszło mi w oczy.

— Michasiu! ozwał się w téj chwili od progu głos Zuzi, proszę cię, przypnij mi kokardę do kołniérzyka!

— Michasiu! powtórzyła, wbiegając, Paulinka, odkąd ty tu jesteś, ja nie potrafię już sama sobie warkoczów upiąć. Proszę cię, zrób to tak ładnie jak wczoraj!

— Zaraz, zaraz! sos tylko do sztuki mięsa zaprawię i ręce umyję, odparła zaimprowizowana gosposia.

Policzki jéj gorzały, a źrenice szklistą zachodziły powłoką, gdy uśmiéchając się i gwarząc z siostrami, upinała na głowach ich warkocze i wstążki, a odwracając się co chwila ku ognisku, zalecała Maryannie mieszać w rondlach, szumować rosół i podsmażać sosy.

W godzinę dopiero potem, gdy cała rodzina zebraną już była w bawialni, gdy pani Augustynowa zabawiała *etykietalnego* gościa rozmową o pogodzie i drodze, Zuzia i Paulinka siedziały pod oknem, milczące i zarumienione, a dwie przyjaciółki domu, pani aptekarzowa i panna Julianna, roztwiérały széroko oczy, przyglądając się obywatelskiemu synowi... gdy wreszcie obiad był już gotowy zupełnie i za chwilę miał być podanym, —do bawialni weszła Michalina, bez fartucha na ciemnéj sukni, bez rumieńca na twarzy i bez uśmiechu na ustach. W postawie jéj i wyrazie twarzy malowała się surowa niemal powaga, a gdy na jéj widok młody gość porwał się z miejsca i z głębokim ukłonem wyciągnął ku niéj otwartą dłoń, ona gestem poważnym, obojętnym dotknęła ręki jego końcem swych palców. Wzrok jéj raz tylko długiém spojrzeniem zatonął w jego twarzy. W spojrzeniu tém leżał żal, wyrzut, była milcząca i dumna obraza. Zdawało się ono mówić: poco tu przybyłeś? dlaczego mię ścigasz wszędzie? jestem „biédném stworzeniem", tułającém się po obcych domach, bronioném niegdyś przez ciebie od napaści i żartów ludzi złych i lekkomyślnych; ale mam cześć swą niewieścią, bardzo mi drogą, mam dumę ubóstwa i serce, które może kochać i cierpiéć!

Czy zrozumiał on tę niemą mowę jéj wzroku? czy zraniła go obojętność z jaką go witała? Na mgnienie oka

rumieniec gwałtowny oblał ogorzałe jego policzki; spuścił oczy, rozpromienione przed chwilą, i monosylabami odpowiadając na pytania gospodyni domu o pogodę i drogę, zdawał się sam sobie powtarzać w myśli: poco tu przyjechałem? dlaczego ją ścigam?

Lucynka otworzyła drzwi od jadalni i dygnąwszy przed gościem, szepnęła matce, że waza jest na stole.

Zmrok krótkiego dnia jesiennego zapadał, gdy otworzyły się zwolna drzwi izdebki na poddaszu umieszczonéj, i pani Benedyktowa, podnosząc głowę z nad roboty, ujrzała wchodzącą córkę. Jakkolwiek nie było jeszcze ciemno, na małym stoliczku paliła się już lampka; stara kobiéta naprawiała przy świetle jéj odświętną jedwabną suknię pani Augustynowéj.

Po spełnieniu gospodarskich czynności, których się podjęła natychmiast po przybyciu swém pod gościnny dach swych opiekunów, Michalina codziennie o téj porze przychodziła do pokoju matki, siadała przy małéj lampie, a szyjąc lub naprawiając odzież licznych członków rodziny, gwarzyła ze starą kobiétą o wszystkiém co widziała i czuła, czego doświadczyła śród szerokiego, obcego świata. Niekiedy z łagodną przemocą wyjmowała z rąk matki robotę i pośpieszniéj niż zwykle szyć zaczynała, aby przez godziny wieczorne spełnić własnemi siłami zadanie dwóch osób: niekiedy jeszcze otwiérała którą ze swych ulubionych książek i czytała, póki staroświecki zégar, połyskujący śród cieni cyferblatem zdobnym w olbrzymi bukiet z róż pąsowych i złocistych, chrapliwym głosem wygłaszać nie zaczynał jedenastéj przedpółnocnéj godziny, póki nakłute igłą, chude ręce staréj kobiéty w znużeniu na kolana nie opadły, a senna głowa jéj nie oparła się z przymkniętemi oczami o poręcz starego fotelu.

Dziś jednak nie wzięła do ręki roboty, nie otworzyła książki i nie zaczęła z matką rozmowy żadnéj. Powolnym krokiem przeszła pokój, usiadła przy stole i czoło na obie dłonie spuściła. Twarz jéj była bladą i poważną, wzrok sztywnie wpatrzonym w jeden punkt przestrzeni. Przez kilka minut dwie kobiéty nie zamieniły pomiędzy sobą ani jednego wyrazu. Pani Benedyktowa z niepokojem na córkę patrzyła, a potém piérwsza przerwała milczenie.

— Słyszałam, rzekła, że mieliście dziś gościa.

— Tak, matko, nie zmieniając postawy i kierunku spojrzenia, krótko odpowiedziała Michalina.

— Któż to był taki, moje dziecko?

Tym razem usta młodéj dziewczyny drgnęły. Zdawało się przez chwilę, że niepodobna jéj będzie wymówić imienia, o które zapytywała ją matka. Wymówiła je jednak, głosem dość pewnym.

— Pan Mieczysław Orchowski? powtórzyła stara kobiéta, a więc syn państwa Kajetanowstwa Orchowskich, w których domu spędziłaś kilka tygodni... Nie mówiłaś mi o nim nigdy, Michasiu.

Dłonie Michaliny rozplotły się i w dół opadły: czoło jéj zato, schylone dotąd, podniosło się, oblane rumieńcem szkarłatnym.

— Pocóżbym miała mówić ci o nim, matko, rzekła powściągając z wysileniem widocznem wybuch uczuć, które wysoko pierś jéj podnosiły. Jest-to dobry, szlachetny młody człowiek, który był bardzo dobrym i dla mnie, ale którego widziéć nie chciałabym już nigdy!...

— Michasiu! pójdź do mnie! zawołała nagle matka, z ramionami wyciągniętemi ku córce i z trwogą na twarzy.

Michalina klęczała już u jéj kolan.

— Co tobie, dziecię moje? co ty masz w sercu?

Głowa młodéj dziewczyny przylgnęła do piersi matki, lecz oczy jéj, gorejące łzami i ogniem, podniosły się ku jéj twarzy, a blade usta szepnęły:

— Miłość, matko!

Ramiona staréj matki silniejszym niż kiedykolwiek uściskiem objęły kibić córki.

Długo milczały obie.

—Michasiu, piérwsza ozwała się matka, trzeba więc abyś wyjechała gdzieś daleko...

— Tak, matko, tak! gdzieś daleko! daleko! gdzie wiele będzie pracy ciężkiéj, gdzie otoczą mię znowu twarze obce, a obowiązki święte zaciężą na każdéj myśli mojéj, na każdéj chwili mego życia..... gdzie rozpieszczać mię i rozrzewniać nie będzie wzrok twój kochający... gdzie będę musiała cierpiéć i walczyć z sobą w milczeniu.

Mówiła to szybko, z gorączką i uniesieniem w głosie, który jednak zadrżał wnet, złamał się i zatonął w łkaniu głębokiém, choć cichem.

Mieczysław opuścił stare domostwo i szedł przez ulice miasta krokiem szérokim, z głową pochyloną, jak człowiek na którego wesołość zwykłą spadło niespodzianie coś bardzo smutnego, którego dumę butną pochyliła rzecz jakaś głęboko zawstydzająca. Powaga i obojętność, z jakiemi powitała go dziś Michalina, otworzyły mu oczy na wszystko co działo się kiedy w sercu jéj i jego i kazały mu myśleć o przyszłości. Kochał ją—nie ukrywał tego przed sobą—wdzięczna i szlachetna postać jéj pociągała go ku sobie mimowoli wywieranym nań czarem dobroci, prostoty, rozumu. Ale co czynić miał z uczuciem tém swojém? Nigdy dotąd

nie zapytał siebie o to. Charakter i umysł jego nie zbratały się jeszcze w zupełności z powagą życia, nie dojrzały dostatecznie do postanowień silnych i uprzedzających wypadki. Powtarzał teraz sobie w myśli pytanie, w oczach jéj dziś wyczytane: poco przybyłeś tu? poco mię ścigasz?

— O! zawołał sam w sobie, gdyby tak ją pochwycić i zabrać z sobą do wiejskiego kąta mego, i nigdy już się z nią nie rozstawać!

Myśl ta napełniła go radością niewymowną, ale chwilową. Przesądne jakieś wahanie się zaćmiło przed nim uroczy obraz kochanéj dziewczyny, która intuicyą kobiéty rozumnéj odgadła dobrze, co działo się i dziać miało we wnętrzu istoty jego szlachetnéj z przyrodzenia, bogatéj w dobre popędy i piękne zdolności, ale bynajmniéj nie doskonałéj, nie dokształconéj do idealnéj normy czucia, myślenia i życia.

Nagle pośród chodnika Mieczysław zatrzymał się. Człowiek jakiś, w siermięgę ubrany, witał go zdjęciem czapki i nizkim ukłonem. Poznał w nim, pomimo zmroku, jednego ze sług orchowskich.

— Ja panicza po całém mieście szukam, rzekł siermiężnik. Przysłano mię tu po panicza, bo starszy pan cóściś bardzo ciężko wczoraj zachorował. Już tam dwóch doktorów siedzi, ale starszy pan pono o panicza dopomina się ciągle.

Mieczysław kilku skokami dopadł hotelu.

— Zakładać konie! krzyknął na woźnicę swego, wbiegając do sieni.

Blady był bardzo i ręce mu drżały, gdy wkładał na siebie podróżne ubranie. Z najwyższą niecierpliwością oczekiwał na założenie koni.

— Listopad, mówił do siebie, gorączkowemi krokami przebiegając hotelowy pokój, tak, listopad! Mój Boże! a ja myślałem.... że choć jednę jeszcze zimę przeżyje....

Łzy zaświeciły mu w oczach.

— Żeby choć w porę jeszcze przyjechać! zawołał, żeby go jeszcze choć raz zobaczyć! O, dlaczegóż nie byłem z nim ciągle? Jakimże jestem samolubem! wietrznikiem!...

Zapomniał o wszystkiem, cokolwiek nie było szanownêm dla niego i drogiêm mu obliczem ojcowskiêm, które blade i resztą zaledwie życia świécące, ścigało nieustannie wzrok i myśl jego.

— Żeby choć w porę jeszcze przyjechać! myślał, siadając na najtyczankę i głośno rzekł do woźnicy:

— Ojciec mój umiéra, Stefanie! trzeba abym go znalazł żyjącym jeszcze! rozumiesz?

Woźnica, nie odpowiadając nic, krzyknął na cztéry dzielne konie, które porwały się z miejsca i tęgim kłusem przebiegłszy ulice miasta, daléj już, na szerokiéj pocztowéj drodze, uniosły lekki powóz z szybkością wichru.

XI.

Opowieść o uczuciach, myślach i kolejach losu pewnego zbiorowiska ludzi, to niby instrument bogaty w tony rozliczne. Uderzmy w nim akord nowy, a może brzmienia jego spotęgują inne głosy i zwiążą je w harmonią jednolitą.

Rzućmy okiem na przeszłość Kajetana Orchowskiego.

Był on starcem przedwczesnym, schorzałym, bezsilnym, w cichych rozmyślaniach zatopionym, niekiedy zrozpaczonym, zbuntowanym przeciw czemuś niewidzialnemu. Zgwałcone znać były w istnieniu jego wielkie prawa jakieś; pomiędzy tém czem stał się, a tém czém stać się mógł, zaszedł rozdwój, który krzykliwym dysonansem brzmiał w głębi istoty jego, obranéj do szczętu z sił i energii.

Miał 24 lata, gdy po stracie obojga rodziców stał się jedynym panem i dziedzicem obszernych włości orchowskich, zawiérających w sobie tysiąc dusz poddanych, miasteczko ludne i dochodne, setki włók gruntu ornego, lub pięknemi, odwiecznemi lasami pokrytego.

Było to przed trzydziestu kilku laty.

Dwór orchowski, jak inne podobne mu siedliska, cicho i sennie zda się stał śród okolicy; nie brzmiały w nim nawet nigdy odgłosy chwilowych, zdawkowych wesołości

ale mniéj niż gdzieindzéj usnęły tu ludzkie uczucia i myśli. Ojciec Kajetana był starym wojakiem i podróżnikiem, z białemi włosami nad czołem przerzniętém szramą głęboką. Matka jego, niewiasta dość młoda jeszcze, całą siłą serca kochała małżonka i jedynego syna, ściany domu swego, wszystkich ludzi biédnych, poezyą i cnotę.

Kajetan chował się w domu. Ze spółczesnych mu młodych ludzi bardzo nieliczni tylko otrzymywali publiczne szkolne i uniwersyteckie wychowanie. Młodemu Orchowskiemu przecież przysługiwały w domu rodzinnym środki wychowawcze takie, jakich pozbawioną była większość rówieśników jego. Dziecinne i młodzieńcze lata spłynęły mu pomiędzy rycerską legendą, upostaciowaną w osobie ojca jego, a czystym, poetycznym, słodkim i miłosiernym duchem matki. Dokoła rozwijającéj się istoty jego wiele było ciszy, najlżéjszym nieprzerwanéj gwarem, mnóstwo marzeń w czyn niewprawianych, dużo słodyczy i poczuć, bez hartu i zapoznania się z rzeczywistością. Brak ten wszystkiego co zmężnia, utrwala, daje siły potrzebne do stąpania po ziemi, stanowił groźne, choć utajone jeszcze znamię pory owéj.

Cokolwiek bądź, wielu było w okolicy ludzi żyjących, którzy pamiętali Kajetana Orchowskiego pięknym, młodym człowiekiem, z gorącym i szlachetnym ogniem w oku, z wyrazem słodyczy w koło ust świéżych, z dumą na białém czole, nie taką która grzesznie i bezmyślnie gardzi ludźmi innymi, ale taką która wypływając z poczucia sił wezbranych w piersi i głowie, mówić się zdaje o wyższych celach, o niepospolitych przeznaczeniach noszącego ją w sobie człowieka. To też młody dziedzic dóbr orchowskich prędko i zupełnie mimowoli zdobył sobie śród sennéj okolicy

pewien rozgłos. Opowiadano o nim że lubił samotność i czytywał książki, że unikał o ile mógł gwarnych i nieraz świetnych, lecz zawsze trywialnych zebrań sąsiedzkich i kawalerskich pustot, że skromny był jak dziewczyna i we dworze swym zaprowadził obyczaj szczególniéj surowy. Mówiono że zdolnym był godzinę całą w milczącéj zadumie stać przed obrazem, posągiem lub pięknem zjawiskiem przyrody,—a byli nawet tacy, co utrzymywali, że przechadzając się po lesie lub ogrodzie, głośno deklamował poezye, inni zaś którzy z pewnych postępków i odzywań się jego odgadywali w nim demokratę i filantropa.

— Dziwak! z przekąsem mawiali o nim jedni.

— Marzyciel! uśmiechali się drudzy.

— Reformator! sarkali inni.

Nagle do wszystkich krążących o nim wieści przybyła jedna jeszcze: „Kajetan Orchowski kocha się! .",„W kim?"— „W żadnéj z dziewic rozkwitających pośród równych mu godnością i majątkiem rodzin szlacheckich."— „W kimże więc?"— „Któż to zgadnie?... W pasterce jakiejś chyba, w Cygance, rusałce, ondynie. Po tak dziwacznym młodym człowieku wszystkiego spodziewać się można..."

Był-to piękny dzień letni, oblany oślniewającém światłem słoneczném, a jednak nie skwarny, z orzeźwiającemi powiewami wonnego wiatru, z rojem drobnych obłoków białych, mknących po szafirze nieba.

W dniu tym młody dziedzic Orchowa należał całkiem nie do samotności, nie do poezyi, nie do marzeń reformatorskich lub artystycznych zachwytów, ale do prozaicznéj, gospodarskiéj pracy. Działo się z nim tak dniami, godzi-

nami niekiedy. Zrana gospodarz rzeźki i wesoły, wieczorem stawał się marzycielem zadumanym i tęskniącym za czemś nieokreśloném; dziś za wzór życia obiérał sobie Pana podstolego, nazajutrz gotów był z gałęzią cyprysu w ręku iść z Gustawem na nocne posępne wędrówki.

Objechał dokoła orchowskie łany, przesadził strumień bystry choć wązki, zakreślający granicę pomiędzy posiadłością jego a sąsiedzką i puściwszy cugle na szyję kasztana, zwolna posuwał się drogą kręto biegnącą pomiędzy dojrzewającemi zbożami.

U końca drogi, którą przebywał rozkładały się na dość obszernéj przestrzeni szare domostwa miasteczka; drobne okna ich błyszały pod promieniami słońca jak wielkie iskry, a nad dachami wiły się liczne wstęgi srebrzystych dymów. Na prawo dwa borki sosnowe nakształt skrzydeł ciemnych osłaniały niewielki dworek jakiś, roztwiérając się o tyle tylko, aby ukazać jednę białą jego ścianę i szybę stawu ocienioną gałęźmi gęstego rzędu brzóz płaczących. Ludzi nie było widać nigdzie w pobliżu; w oddali tylko majaczyły postacie niewiast wiejskich, nad zagonami lnu pochylone, od strony miasteczka dolatywał gwar niewyraźny; w gałęziach drzew przydrożnych świergotało ptactwo.

Nagle w pobliżu dworku świecącego na prawo, zamigotała nad stawem postać jakaś biała, wybiegła z pod brzóz płaczących i mknęła wzdłuż ciemnéj ściany borku; za nią ukazały się dwie inne postacie, mniejsze od niéj znacznie, potém dwie jeszcze, kilka, kilkanaście... a wszystkie z kolei wbiegły pomiędzy gęstwinę zboża i na wązkiéj miedzy rozwinęły się w sznur długi. Zdala patrzącemu wydawać się mogło, że nie biegły, lecz na fali złocistéj płynęły ku drodze.

Kajetan, jadąc wciąż zwolna, przypatrywał się szczególnemu orszakowi temu, który, jak stado ptasząt, z gniazda wymknął się z białego dworku, otulonego skrzydłami ciemnych borów. Im bardziéj zbliżał się ku drodze, tém wyraźniéjsze odgłosy śmiéchów i szczebiotów dziecięcych rozbrzmiewały w cichém, czystém powietrzu.

Po chwili wyróżniła się postać orszakowi przodująca. Była to postać dziewczęcia, w białéj sukni perkalowéj, w słomianym kapeluszu, z pod którego spływały dwa długie, płowe warkocze. Za nią biegły dzieci; z tych dwoje blade i chorowite miało twarzyczki, a ubrania ich świadczyły o pochodzeniu szlacheckiém; inne, z pyzatemi, rumianemi policzkami, w koszulkach grubych lub sukiennych kaftanach, pochodziły widocznie z wioski jakiéjś, z téj może, któréj parę chat szarych wychylało się z za ciemnych sosen ocieniających dworek ze stawem.

W pobliżu drogi, w małej wklęsłości gruntu, wysoką trawą pokrytéj, rosło kilka grusz starych i rozłożystych. Był to rodzaj altany, przez samę przyrodę zasadzonéj, cienistéj, chłodnéj, szumiącéj zcicha gęstym liściem, który splatał się u góry w przezroczyste sklepienie.

Dziewczyna w białéj sukni wbiegła pomiędzy stare grusze i usiadła w ich cieniu. Zdjęła z głowy kapelusz, a rzucając go na trawę, wyciągnęła ręce ku dzieciom, które gwarnym rojem napełniły altanę. To téż drobna gromadka w mgnieniu oka skupiła się przy niéj.

Twarz miała ściągłą, o liniach niewysłowionéj słodyczy, kibić wysmukłą, w kształtach swych drobnych mającą cóś dziecinnego i przedziwnie dziewiczego zarazem. Z przezroczystą skronią wspartą na dłoni, siedziała teraz biała i spokojna, z łagodném światłem w oczach i z bladoróżowe-

mi ustami, nawpół otwartemi uśmiechem. W oczach tych było trochę zamyślenia, a w zarysie warg uśmiechniętych błądziła linia smutku.

Młody Orchowski zbyt dobrze znał rodzinną swą okolicę, aby mógł nie domyśleć się kim było to zjawisko, które w téj chwili wzrok jego do siebie przykuwało. Wiedział, że dworek ze stawem, pomiędzy dwoma borami stojący, nazywał się Białowolą i należał do rodziny, któréj nikt prawie nie znał zblizka, ale o któréj dziejach dziwne prawiono rzeczy, niby o szczególném zbiorowisku nieszczęść różnych, prześladowań losu, kaléctw, chorób, wczesnych śmierci. Domyślił się z łatwością, że dziewczyna z uśmiéchniętemi usty i smutném okiem była wnuką obecnego dziedzica Białowoli; o istnieniu jéj bowiem zasłyszał był tu i owdzie cóś niewyraźnego i niedobrze zapamiętanego. Pomimo blizkiego sąsiedztwa, nie widział jéj dotąd nigdy. Teraz, nie mógł oderwać od niéj wzroku. Zdawało mu się, że ona jest promieniem wydzielającem się z tego morza blasków, które świat zalewało, jednym z kwiatów, których tyle barwiło się dokoła, najsmuklejszym z nich tylko i najbielszym, nawpół lilią zadumaną, nawpół różą wykwitającą z polnego kwiatu....

Zatrzymał naprzód konia na uboczu, pod cieniem jednéj z wierzb przydrożnych; potém pojéchał daléj, a gdy zrównał się z altaną, młoda dziewczyna, usłyszawszy zapewne tentent konia, spojrzała ku drodze.

Ale widok pięknego i młodego jeźdźca nie sprawił na niéj widocznie żadnego wrażenia, ciekawą znać nie była i nie wyglądała w życiu swem romantycznych przygód. Na kolanach jéj siedziała w téj chwili jedna z dwóch dziewczynek o chorowitych, bladych twarzyczkach. Musiała to być sio-

stra jéj mała, albo siostry córka, bo podobną do niéj była ze ściągłych rysów twarzy i z błękitnych oczów. Dziewczyna obejmowała dziécię ramieniem, rozgarniała mu włosy nad bladém czołém i w wychudłéj twarzy topiła spojrzenie nieskończonéj troskliwości.

W téj chwili już młody jeździec nie porównywał jéj w myśli ani do promienia, ani do kwiatu. Dziewicza jéj postać przybrała teraz wyraz dojrzałéj kobiécości; w spojrzeniu jéj zwróconém na dziécię chorowite, było cóś macierzyńskiego, co nakazywało głęboki szacunek.

Orchowski odjechał, ale od dnia tego codziennie prawie można go było widzieć idącego lub jadącego drogą wiodącą ku miasteczku i okrążającą dworek ze stawem. Patrzył w stronę dworku i zdawał się oczekiwać ztamtąd czegóś; ale oczekiwania długo były daremne, białowolska dziewczyna nie przychodziła już z gromadką swą pomiędzy stare grusze polne, albo on może przybywał tam wtedy zawsze, gdy jéj nie było....

Zobaczył ją znowu zblizka w pewien dzień jesienny, mglisty nieco i chmurny. Była sama jedna. Zamiast słomianego kapelusza, miała na płowych włosach chusteczkę czarną, a zamiast białéj letniéj sukni, kibić jéj smukłą okrywało ciemne wełniane ubranie.

Gdy nadchodził, zbliżała się właśnie ku drodze ścieżką, wijącą się pomiędzy ściernią zczerniałą od mgły i deszczów. Uczuł się wzruszonym jéj widokiem więcéj może, niż tego się spodziewał. Stanął, ukryty nieco za przydróżném drzewem, i patrzył na nią. Szła zwolna, z głową pochyloną; w rękach niosła długi wieniec, upleciony z białych nieśmiertelników i barwinkowych liści. Zatrzymała się i zarzuciła wieniec na ramiona nizkiego krzyża, który gru-

bo wyciosany z drzewa, wznosił się na małém wzgórzu, u końca ścieżki. Gdy to czyniła, wielkie, błękitne oczy jéj wzniesione ku niebu, napełniły się wyrazem gorącego błagania. Stała tak chwilę, ze wzrokiem utopionym w wysokościach, z niememi modły zawieszonémi na milczących wargach. Potém osunęła się zwolna na ziemię, splotła przed sobą dłonie, skroń oparła o stopy krzyża i przymknęła powieki. W nieruchoméj postawie jéj, na twarzy bladéj i przezroczystéj, spoczywało piętno głębokiego, nieprzezwyciężonego zmęczenia. Smutek cichy i pokorny błądził na jéj ustach bladych i drobnych. Dosyć było wtedy raz spojrzeć na nią, aby poznać, że na rozkwitającéj młodości téj zaciężyły już srogie doświadczenia trudów i cierpień.

Cisza i pustka panowały dokoła, nie widać było nigdzie żadnéj istoty żyjącéj; przyroda nawet bez barwy, bez głosu, zdawała się spoczywać w omdleniu pomiędzy szaremi chmurami, zwolna sunącemi w górze, i między ciepłemi, gęstemi mgłami, wiszącemi u dołu. Po chwili dopiéro od strony pól pustych przypłynął głos jakiś oddalony.

— Franiu! Franiu! wołała niewidzialna jakaś istota ludzka.

Imię to, powtórzone dwa razy przeciągle, zabrzmiało w powietrzu, a słabe echo powtórzyło je po raz trzeci pod ścianą boru.

Dziewczyna spoczywająca u stóp krzyża otworzyła oczy, szybko podniosła głowę i zdawała się słuchać z uwagą.

— Franiu! raz jeszcze i z mniejszego już oddalenia zawołał głos.

W brzmieniach jego przeciągłych, jękliwych nieco, dźwięczała niby skarga użalającego się dziecka i nieskoń-

czona słodycz serca przyzywającego ku sobie istotę ukochaną.

Młoda dziewczyna jak sprężyną ruszona, porwała się z ziemi. Stanęła wyprostowana, widocznie czegoś nagle zaniepokojona, i patrząc w stronę z któréj brzmiało wołanie, zawołała także:

— Jasiu!...

Głos jéj srébrzysty był i tak jak kształty ciała dziecinny prawie, a jednak przeciągle i donośnie rozległ się dokoła.

Odpowiedzią na jéj wołanie był okrzyk niewyraźny, choć donośny. Brzmiała w nim radość kogoś, co znalazł nakoniec to czego szukał. Zarazem z pomiędzy karłowatych wierzb, porastających małą poblizką łączkę, wysunęła się na pole postać na piérwszy rzut oka dość dziwna.

Był-to mężczyzna z twarzą ciemną, w odzieniu poplamioném kurzawą i błotem. Oczy miał takie same jak młoda dziewczyna, wielkie i błękitne, ale széroko roztwarte, zagasłe, jakby martwe i najlżéjszym promieniem myśli przytomnéj nieożywione. Wiek jego trudno było poznać. Twarz wyglądała staro i pooraną była zmarszczkami, ale głowę okrywały włosy ciemne, kędzierzawe i gęste. Na włosach tych splątanych piętrzyło się cóś nakształt olbrzymiego wieńca, bezładnie splecionego ze zżółkłych liści i suchych badyli polnych. W ręku trzymał giętką gałąź wierzby, okrytą gęstym, uwiędłym liściem.

Ujrzawszy postać tę, młoda dziewczyna postąpiła szybko kilkanaście kroków.

— Jasiu! Jasiu! wołała idąc i przyśpieszała kroku, jakby w obawie, aby wołający nie zwrócił się w inną stronę i nie umknął.

Ale on szedł prosto ku niéj. Obłąkane oczy jego nabrały na widok jéj wyrazu dziecinnéj radości, a usta zwiędłe otwierały się wśród zmarszczonéj twarzy głośnym, nieprzytomnym śmiéchem.

Spotkali się u skraju nizkiéj, wilgotnéj łączki.

— Gdzie byłeś, Jasiu? spytała młoda dziewczyna, ujmując ciemną, grubą rękę obłąkanego.

Zadawała pytanie to głosem łagodnym, ale ze spojrzeniem poważném i twarzą nierozjaśnioną uśmiechem. Powaga ta i badawcze spojrzenie dziewczyny zdawało się sprawiać obłąkanemu przykrość niewymowną.

— Nie gniéwaj się, Franiu! zaczął mówić jękliwym, żałącym się głosem. Jaś poszedł znowu do lasu i siedział w lesie długo... długo... rok... dziesięć lat... sto lat.... i słuchał co drzewa gadają, i patrzył na te wielkie, białe ptaki, co tam w górze płyną... płyną...

Dziewczyna wiodła go za rękę ku ścieżce.

— Nie gniewaj się, Franiu, powtarzał obłąkany. Jaś nigdy już więcéj tego nie zrobi... nie pójdzie do lasu, będzie siedział w domu i myślał o tém, jak mu dobrze było wtedy kiedy żył... Teraz on już nie żyje... rozum poleciał tam, gdzie te wielkie białę ptaki latają, a jego do ziemi pochowali... razem z Klemunią... z siostrą naszą Klemunią, która była taka dobra i taka śliczna, a teraz śpi tam pod sosnami ...

Gwarzył tak długo i głośno, idąc przez pole i potykając się o zagony, mówiąc o sobie, niby o jakiéjś innéj istocie, która żyła kiedyś, a patrząc na białe sunące w górze obłoki, które nazywał „wielkiemi ptakami."

Dziewczyna wiodła go wciąż za rękę i w milczeniu słuchała posępnych wyrazów waryata. Stanęli już teraz na ścieżce ku dworkowi wiodącéj.

— Ach! krzyknął waryat, to naszę chatę widać. Jest tam i Frania?...

— Ja tu jestem, przy tobie, Jasiu!

— Tu?... A prawda, to dobrze... pójdziemy do lasu.

Mówiąc to, zwrócił się znowu ku łączce porosłéj wierzbą i towarzyszkę swą pociągnął za sobą. Ale ona oparła się ciągnącéj ją ręce jego z dziwną mocą. Stanęła silnie na drobnych swych stopach wsparta, podniosła głowę i patrząc mu prosto w twarz, rzekła ze spokojną mocą.

— Pójdziemy do domu.

Przez chwilę zdawać się mogło, że pomiędzy obłąkanym tym człowiekiem a młodziuchną, wątłą dziewczyną stoczy się walka trudna i bolesna. Martwe dno źrenic jego zaniepokoiło się, strzeliła z nich błyskawica dzikiego zniecierpliwienia.

— Pójdź do lasu! zawołał i usiłował znowu pociągnąć ją za sobą.

Ale ona nie ruszyła się z miejsca ani krokiem.... Siły jéj, fizyczne nawet, wyćwiczone znać były do walki i oporów.

— Pójdziemy do domu! powtórzyła tym samym głosem stanowczym, a błękitne jéj oko, w téj chwili przenikliwe, badawcze, bez drgnienia powieki tonęło we wzburzonych źrenicach obłąkanego....

Zwyciężyła go... Pochylił głowę przed jéj spojrzeniem, jak dziecko przez matkę skarcone, i poszedł za nią na ścieżkę. Ona szła przodem, nie oglądając się nawet, pewna znać że pójdzie za nią.

Szli krętą ścieżką ku dworkowi. W połowie drogi obłąkany zawołał znowu:

— Franiu!

I nie zważając na to, że szła o parę kroków przed nim, powtarzał wołanie co sekund kilka. Wymawianie jéj imienia zdawało mu się sprawiać przyjemność niezmierną, bo wywoływał je na różne tony, cichsze i głośniejsze, brzmiące to prośbą, to skargą.

Imię to brzmiało w powietrzu i obijało się o uszy zamyślonego i zasłuchanego śród drogi Kajetana wtedy jeszcze, gdy dziwna para, okrążywszy stawek, zniknęła z gęstwiny brzóz płaczących i za spłukaną od jesiennéj wilgoci ścianą białego dworku!

Wkrótce potém nastąpiła zima. Nad słomianym dachem białowolskiego dworku unosiły się wstęgi szarych dymów, niby tchnienia roznieconego w jego ścianach domowego ogniska. Przed dworkiem leżała kryształowa szyba zamarzniętego stawu, a rzędy brzóz płaczących i ciemne skrzydła borów stroiły się wokoło niego w śnieżne puchy i brylantowe szrony.

Młody Orchowski coraz rzadziéj ukazywał się na drodze wiodącéj w pobliżu dworku ku miasteczku.

Świat sąsiedzki, więcéj niż kiedykolwiek w zimie téj rozbudzający zabawami żywot swój senny, wyrwał go nakoniec ze starych ścian domu i starał się jaknajbliższą zawiązać z nim znajomość.

Znajomość ta jednak do wzajemnéj przyjaźni nie przywiodła. Głośniéj jeszcze niż wprzódy okrzyknięto dziedzica dóbr orchowskich marzycielem i oryginałem. Opowiadano o nim, że wśród zebrań licznych, dla wesołéj zabawy zgromadzonych, rozpoczynał poważne dyskusye o celach życia, obowiązkach, o nauce, rolnictwie i przemyśle; że najpiękniejsze i najbogatsze z dziewic okolicy nie mogły zwrócić na siebie uwagi jego wdziękami ni strojem; że mó-

wił głośno, jako małżeńskich związków nie zawrze inaczéj, jeno ze szczerą miłością w sercu i nie z kim innym, jeno z kobiétą która zrozumié żądania serca jego i umysłu i dopomoże mu do spełnienia planów, jakie zakreślił dla swéj przyszłości.

Jakiemi były te plany i co właściwie miały one na celu? nie wypowiadał tego dokładnie i otwarcie przed nikim. Domyślano się rzeczy różnych, przedsięwzięć jakichś gospodarskich, przemysłowych zakładów, filantropijnych urządzeń. Byli i tacy, którzy dowodzili, że młody pan na Orchowie gorącą miał głowę i serce szlachetne, ale czego żądał od życia i siebie samego, sam jeszcze nie wiedział dobrze.

Niekiedy do wnętrza domu jego zaleciał jęk biédy jakiejś, skarga czyjegoś cierpienia. Zrywał się wówczas i niewołany biegł tam, gdzie go potrzebowano, otwiérał dłoń i serce... Potém czytywał znowu poezye, wpatrywał się godzinami w pozostawione sobie przez przodków piękne dzieła sztuk i... marzył.

W owéj to porze ktoś rozumny i doświadczenie życia posiadający powiedział o nim:

— Gdyby tak teraz młodzieńcowi temu nie zbrakło ręki kierowniczéj, walki o byt, choćby własny, trudu koniecznego, codziennego... gdyby mu teraz obywatelskie dać posłannictwo!...

O Białowoli Orchowski zapominał całemi tygodniami, miesiącami; niekiedy zaś, nagle, przed wzrokiem wyobraźni jego stawała smukła, błękitnooka dziewczyna, piastująca na kolanach swych blade, wychudłe dziecię, albo rozmodlona u stóp krzyża, z przymkniętą w zmęczeniu powieką, albo jeszcze wiodąca ku domowi waryata zwieńczonego liśćmi i rzucającego echom dźwięki jéj imienia: Franiu! Franiu!

Piérwsze skowronki wiosenne unosiły się nad polami; powietrze ciepłe przesiąknięte było mocną wonią rozgrzanéj ziemi; przydrożne drzewa okrywało rozpuszczające się w liść pękowie, gdy Kajetan Orchowski szedł w stronę miasteczka. Wyglądał jak człowiek, który ma głowę pełną zamiarów, nadziei i marzeń. Nagle stanął i wzrokiem uważnym, rozpromienionym patrzył na zbliżającą się ku drodze młodą dziewczynę. Była to Frania. W chwili gdy spostrzegł ją idącą po wązkiéj miedzy, pochyliła się właśnie ku ziemi i zdawało się że przemówiła słów kilka do kogoś niewidzialnego. Nie otrzymała znać odpowiedzi, i z ust jéj wyrwał się okrzyk lekki. Usiadła śród zoranego zagonu, zdawała się z trudnością podnosić z ziemi ciężar jakiś. Podniosła go wreszcie, powstała i szła ku drodze bardzo powoli, cała zajęta tém czémś, co niosła w objęciu i co utulała pod swém wełnianém, ciemném okryciu. Po kilkunastu jednak krokach sił jéj zabrakło widocznie. Stanęła oparta o jedną z grusz owych, które w pobliżu drogi tworzyły altanę, i potoczyła wzrokiem dokoła. Wzrok ten wyraźnie szukał pomocy. Orchowski stał już przy niéj.

— Przebacz pani, rzekł głosem wzruszonym nieco, ale wydało mi się, że pani potrzebujesz pomocy.

Na widok tego nieznanego pięknego młodzieńca nie zarumieniła się, nie zmieszała; znać było, że ani na jednę sekundę nie pomyślała o saméj sobie. Cała uwaga jéj i pamięć skupione były nad tém, co w zmęczoném objęciu swém trzymała.

— O! jakież to szczęście żem spotkała tu kogoś! rzekła. Nie miałabym dłużéj siły nieść tego dziecka.

— Dziecka? ze zdziwieniem powtórzył Kajetan.

— Tak, odpowiedziała młoda dziewczyna, znalazłam je na miedzy, nawpół umarłe od głodu i zimna....

Mówiąc to, rozchyliła sukienne okrycie, a młody Orchowski ujrzał czteroletniego mniéj więcéj chłopaka, w grubéj koszuli, zaledwie okrytéj podartym łachmanem. Dziecię to zsiniałe było od zimna, wychudłe widocznie z głodu; oczy miało zamknięte, co nadawało mu pozór nieżywego, a wkoło głowy włosy gęste jak las, kędzierzawe, ze słomą i kurzawą zmieszane. Ognista barwa włosów tych i pewne linie znędzniałéj twarzy zdradzały jego pochodzenie.

— To dziecię żydowskie! zawołał Kajetan.

— Tak, spokojnie odparła dziewczyna, to jedno z pietnaściorga dzieci krawca Judela.

— Z pietnaściorga dzieci! powtórzył znowu Orchowski.

— Judel ma pietnaścioro dzieci; biédny to bardzo człowiek. W tym roku szczególniéj nędza u nich jest straszna.

Zamieniali słowa te, idąc drogą do miasteczka wiodącą. Orchowski złożył nawpół nieżywe dziecię na bryczce swéj, która nadjechała, a teraz szedł obok młodéj dziewczyny i słów jéj słuchał z pewném zdziwieniem.

— Zkąd pani wiész to wszystko? zapytał.

Spokojny uśmiéch okolił blade jéj usta.

— Mieszkam o pół wiorsty ztąd, rzekła, wskazując białowolski dworek; urodziłam się tu i wzrosłam... znam wszystkich prawie mieszkańców miasteczka.

Orchowski z coraz większem zajęciem patrzył na delikatny profil jéj twarzy, którego białość podnosiły okalające go czarne fałdy chusteczki.

Weszli w błotnistą ulicę miasteczka, z dwóch stron szaremi domostwami obudowaną. Orchowski zwrócił się do woźnicy swego z zapytaniem:

— Czy wiesz gdzie mieszka krawiec Judel?

Woźnica wzruszył ramionami, na znak niewiadomości.

— O! podchwyciła Frania, ja dobrze znam mieszkanie Judela. Każ pan zwrócić konie na prawo.... tu w tę uliczkę.

W głębi najwęższéj, najbłotnistszéj ulicy miasteczka, stała chata stara, niemal waląca się, z dwoma okienkami dotykającemi nieledwie ziemi. Za jedném z okienek tych, po przez szyby drobne, popękane, szare od pyłu, ludzie przechodzący błotnistą uliczką, widywali od lat dwudziestu może Żyda o twarzy pociągłéj, bladéj, bez zarostu, lecz ocienionéj gęstemi, rudemi włosami, przykrytemi znoszoną jarmułką. Żyd ten codziennie, z wyjątkiem jednych tylko dni sabatu, siadywał przed wązką deską na dwóch klocach wspartą i kawałkami materyi różnego gatunku zarzuconą. Deska ta była stołem; kawałki materyi sztukami płócien lub sukien, zużytych najczęściéj wielce, a tanich zawsze. Żyd siedzący przed stołem tym pierwotnéj prostoty, u okna przez które słabym zaledwie odblaskiem przebijać się mogło światło dzienne, był krawcem. Na imię mu było Judel, a współwyznawcy tylko wiedzieli, że miał on także nazwisko Makower. Od godziny szóstéj z rana do północy, a czasem i dłużéj, Judel szył; wieczorami z za szyb mętnych połyskiwał mały płomień łojówki, która paliła się na stole i żółtym połyskiem oblewała czoło Żyda, nad robotą schylone. Czoło to okryte było skórą zmiętą jak stara karta pergaminu; rysowało je mnóstwo kres i zmarszczek, nie przez lata jednak utworzonych, bo podówczas Judel znajdował się jeszcze w wieku zamęzkiéj dojrzałości. Twarz jego na piérwszy rzut oka wydawała się prawie bezmyślną, ga-

piowatą i bardzo pokorną; ale po bliższém przyjrzeniu się spostrzedz można było w oczach jego, szeroko zawsze roztwartych, utajone światło ciągłéj niemal wewnętrznéj ekstazy, a wkoło warg cienkich bezbarwnych, linią taką, w jaką zarysowują się zwykle usta tych, którzy cierpią wiele, nie wiedząc o tém sami i nie zdając sobie z tego sprawy. Była to twarz wyrobnika rąk, z duszą utopioną w niemych medytacyach. Szył i dumał, i od czasu do czasu oczy odrywając od roboty, podnosił je w górę, poprzez szyby mętne, szukając pomiędzy obłokami czegoś niewidzialnego. W przedsabatowe wieczory i dnie sabatowe nie siadywał już nad stołem ale stał; na ramionach miał kawał czarnego sukna z białemi szlakami, a przed sobą grubą księgę roztwartą. Wysoka, chuda postać jego chyliła się wtedy, niby trzcina pod powiewem gwałtownego wichru, naprzód i w tył, a przez okienko chaty wypływały na ulicę dźwięki głosu jego, niby gama długa, przechodząca od szeptów nabrzmiałych westchnieniami, do ekstatycznych wykrzyków miłości i jękliwych wołań o pomoc.

Miasteczko Orchów zaludnione było w większej części przez Izraelitów ale powszechnie uznaném zostało, że żaden z nich nie pracował tak nieustannie, nie modlił się tak gorliwie i nie mówił tak mało, jak krawiec Judel. Powiadano także iż żaden z nich nie był tak łagodnym jak on, ani.... tak biédnym. Za szybami okienek rozlegały się zrazu płaczliwe krzyki jednego dziecka, potem dwojga, trojga, kilkorga, aż nakoniec przyszedł czas, w którym chata napełniła się taką wrzawą dziecinnych głosów, śmiejących się, płaczących i o chleb wołających, że słychać je było w oddalonych punktach miasteczka. Niekiedy liczna gromadka, wnętrze chaty napełniająca, rozsypywała się nazewnątrz. Dzieci

Judela napotkać można było wszędzie: na ulicach i rynku miasteczka, śród pól które je otaczały, po wioskach sąsiednich, przed karczmami miasteczkowemi i przydróżnemi. Tułało się to po miejscach różnych, w grubych koszulinach, u piersi rozwartych, zamiast sukien w łachmanach brudnych i podartych z drobnemi twarzami, otoczonemi gęstwiną rudych włosów. Żadne z nich jednak nie prosiło o jałmużnę. Judel nie prosił także nigdy o nic nikogo, prócz Boga, którego wzywał wielkim głosem w dnie sabatowe, miotając się nad księgą modlitw i chude ręce od chwili do chwili podnosząc w górę. Szył on, szył, szył, nie jak, człowiek, ale jak machina, bez pomocnika, bez żywego ducha, coby mu śród pracy towarzystwa dotrzymywał, tocząc wciąż z samym sobą rozmowy wewnętrzne, które w bladych źrenicach jego odbijały się światłem ducha rozegzaltowanego wśród milczenia ust i... głodu ciała. Roboty wykonane roznosił sam po domach miasteczka i po dworkach sąsiednich, oddalonych o wiorstę, dwie, o milę czasem i więcéj; nie siadał nigdy na wóz żaden, chodził pieszo i szybko bardzo, z głową pochyloną, z oczami wpatrzonemi w ziemię i ze szczególnym jakimś uśmiéchem na ustach. Obuwie na nogach miéwał zawsze podarte i liczne dziury w długim chałacie.

Przyszedł nakoniec rok pewien, w którym zdarzyły się trzy wypadki, mające ścisły związek z bytem Judela. Najprzód do kilkunastu głosów dziecinnych, wrzawą napełniających chatę krawca, przybył głos jeden jeszcze—nowo urodzonego dziecka. Było to dziecko piętnaste z rzędu. Następnie przed próg chaty wychodzić przestała Żydówka, ze śniadą, pomarszczoną twarzą, która była żoną Judela i gospodynią chaty. Legła ona w ciemnym kącie izby, wśród

spłowiałych poszewek starych piernatów, ubezwładniona chorobą ciężką i długą. Nakoniec do miasteczka przybył krawiec drugi, osiadł przy głównym placu i wywiesił nade drzwiami mieszkania swego szyld, na którym wymalowana była bombiasta suknia krwawego koloru i wielkiemi literami stały wypisane słowa: *Krawiec damski i męzki z N.*

Nowy przybysz był także Izraelitą, ale młodym, rzeźkim, obrotnym i przebiegłym. Uczył się krawiectwa w N. i to mu odrazu zjednało reputacyą głośną; przybrał sobie dwóch pomocników i zagarnął całą robotę z miasteczka i okolicy. Wtedy rzadko już tylko widzieć można było Judela szyjącego. Siadywał on zawsze nad deską stół przedstawiającą, ale zamiast dawnych kawałków materyi, miéwał przed sobą tylko motki nici białych i czarnych, nożyce i igielnik stalowy. Przyrządy te leżały nieporuszone dniami, tygodniami; Judel siedział bezczynnie, z łokciami opartemi o deskę i z pergaminowém czołem ukrytém w dłoniach. Przepędzał tak godziny całe, milcząc, myśląc, niekiedy usypiając pod ciepłą pieszczotą słonecznego promienia, który ukradkiem jakby wnikając przez szyby mętne, złotą nicią połyskiwał na zrudziałéj jarmułce Żyda, przebywającego bezrobocie. We wnętrzu chaty nie błyskało już teraz nigdy żadne światełko, zrana nie płonął tam ogień na kominie, a wieczorem nie zapalała się łojówka. Od kilku miesięcy najmniéjszy dymek nie ukazał się nad dachem chaty, wklęsłym i dziurawym. Nie gotowano już tam strawy. Najstarsza córka Judela, Sara, wychodziła od czasu do czasu i powracała z bochenkiem chleba czarnego i kilku cebulami, które starczyć miały rodzinie całéj na tydzień i dłużéj, bo przez czas tak długi nikt już więcéj nie opuszczał chaty i nikt nic nie kupował.

Pewnego jednak dnia wiosennego przez próg chaty przepełzało na ulicę cztéroletnie dziécię. Chciało wstać na nogi.... nie mogło. Słabe było i jakby oniemiało, bo nie wydało z siebie głosu żadnego, na czworakach powlokło się ulicą. Świéży powiew wiosenny orzeźwił je znać nieco, bo na skraju miasteczka mogło stanąć na nogi i iść. Poszło téż w pole. Chudą rączyną opierało się o płoty i krzaki, nierozgrzane jeszcze po chłodach zimowych, potykało się o każdą najmniéjszą chropawość gruntu, padało, podnosiło się znowu, pełzło lub szło—aż zniknęło śród świéżo pooranych zagonów. Poco dziecię to puściło się na wędrówkę po miasteczku i polach? Któż wié? Wiedzione instynktem istoty głodnéj i zziębniętéj, szukało może pożywienia, lub promieni słońca.

Wnętrze chaty zawierało sionkę ciemną i izbę z dwoma okienkami. Izba była tak mała, że na piérwszy rzut oka nikt nie mógłby się domyśléć, jakim sposobem mieściło się w niéj tyle istot żyjących. Była to jedna z tajemnic przestrzeni, znanych dobrze ludziom, którzy zajmują śród niéj miejsce jakby kradzione, przemocą wydzierane. Czego nie udzielała tam długość i szerokość, to brano od wysokości. Wszystkie cztéry ściany od podłogi do sufitu okryte były wprawionemi w nie drewnianemi półkami. Półek tych było czternaście, a każda z nich przedstawiała miejsce spoczynku dla jednego dziecka, tak iż wszystkie one leżały w dzień, a spały w nocy jedno nad drugiém, wyniesione nad poziom i zawieszone jakby w powietrzu, nakształt ptaków śpiących po gniazdach do drzew poprzylepianych. Tylko że gniazda ptasze pływają śród czystego powietrza, szumu liści zielonych i blasków słonecznych, tu zaś atmosfera duszna była i cuchnąca, a pośród mroku gęstego rozchodziły się płacze,

stękania i ciężkie, chrapiące oddechy. Z odgłosami temi łączyły się od czasu do czasu jęki choréj Żydówki, leżącéj w ciemnym kącie, śród spłowiałych piernatów. Jęcząc, wyciągała rękę wychudłą, zżółkłą i poruszała nią kołyskę z łozy uplecioną, zwieszającą się na sznurach przyczepionych do belki zczerniałego sufitu. Jęki swe przerywała śpiewem drżącym i chrapliwym, którym uśpić starała się krzyczące z głodu piętnaste dziecko....

Ojciec rodziny téj siedział, jak zawsze, u okna nad deską; — obu rękami trzymał się za głowę i przechylając postać swą w obie strony, milczał lub też w kształcie śpiewu jakiegoś zawodził. Nie odwracał głowy ku izbie dlatego może, aby nie widziéć dzieci stękających i chrapiących na półkach i nagiego, żółtego ramienia, które wychylało się z ciemnego kąta i poruszało sznurami kołyski.

W tej chwili otworzyły się na oścież drzwi chaty i stanęła w nich młoda dziewczyna, w czarnéj chusteczce na płowych włosach, z dzieckiem łachmanami okrytém w objęciu, a za nią młody mężczyzna.

— Panie Judel, rzekła, postępując w głąb izby, przynoszę ci Mendelka, który spał śród pola na miedzy.

Judel zerwał się na równe nogi i stał z széroko otwartemi oczami i z drgającemi usty. Na półkach zrobiła się cisza wielka. Ustały chrapania i stękania. Dokoła ścian pod sufitem i nad podłogą, podnosiły się drobne głowy okryte mszystemi, roztarganemi włosy, i trzynaście par osłupiałych oczu błyszczało śród zmroku. W ciemnym kącie nagie ramię opuściło sznury kolébki i natomiast wyciągnęło się ku drzwiom.

— Mendelkie! zawołał z głębi piernatów głos chrapliwy, oj! oj! Gdzie on był? czego on poszedł? Może on już umarł, może już nie żyje?

Judel obudził się nagle z odrętwienia.

Blade jego, cierpiące i zadumane źrenice tkwiły to w twarzy młodéj dziewczyny, to w licu pięknego pana, to przenosiły się znowu na zsiniałe rysy dziecka, nad którém z troskliwą dłonią i litośnym uśmiechem pochylała się Frania. Nagle wyprostował się, oczy jego zapłonęły i łzawe a błyszczące wzniosły się w górę; na wargach bladych zadrżał uśmiéch pokorny i zarazem zachwycony.

Podniósł wskazujący palec ku kawałkowi nieba, widniejącemu przez drobne, popękane szyby, i wielkim głosem zawołał:

— Niech jasnym państwu wynagrodzi to Bóg! Ja biédny Żyd i dzieci moje biédne, głodne robaki, ale przed Nim my wszyscy równi. Niech on jasnym państwu tego tak nie zapomni jak ja nie zapomnę!

Opuścili chatę biédnego Żyda i zwolna szli ulicami miasteczka. Orchowski konie swe odesłał do domu. Zaniechał już zamierzonéj zrana wycieczki; cała myśl jego, wszystkie jego uczucia były przy młodém dziéwczęciu tém, które postępując obok niego, opowiadało mu dzieje każdego prawie domostwa, jakie mijali. Znała tu wszystkich i ją wszyscy znali. Gospodarne mieszczki, o twarzach ogorzałych, Żydówki na progach domostw piorące bieliznę lub piastujące drobne dzieci, pozdrawiały ją skinieniem głowy i uśmiéchem. Dzieci biegły ku niéj i ze szczebiotem wieszały się u jéj sukni; ojcowie rodzin mieszczańskich odkrywali przed nią głowy i wiedli za nią przyjaznym lub wdzięcznym wzrokiem. Ona opowiadała towarzyszowi swemu kim

byli ludzie ci, jak nazywali się, czém się trudnili, w którém domostwie była biéda jaka: ubóstwo, siéroctwo, brak zarobku, choroba.

Orchowski przysłuchiwał się jéj ze zdziwieniem. Była śmiałą tą przedziwną śmiałością myśli niewinnéj, która nic nie rojąc dla siebie saméj, żadnych osobistych planów nie snując, trwóg i pożądań nie żywiąc, obawiać się nie ma czego. Mówiła, tak jak śpiéwa ptaszę, bez namysłów, wysileń ni wahań się, ale w mowie jéj przebrzmiewała dusza ludzka kochająca, żądna dobra i harmonii, ciężkiemi próbami życia myśléć nauczona.

W głowie i w piersi Kajetana wrzało. Zapomniał na chwilę że idzie z młodą, wdzięczną dziewczyną, ku któréj uczuwał pociąg niewymowny, a zdawało mu się jakoby wszystkie dobre głosy, które nosił w sobie, podnosiły się z dna jego istoty i przemawiały teraz do niego przez jéj usta. Zdawało mu się że trzyma w ręku różczkę czarnoksięzką i że potrzeba mu tylko zakreślić nią w powietrzu krąg wielki, aby wszystko dokoła zakwitło zdrowiem, pięknością i szczęściem. Zdawało mu się, że wznosi się przed nim góra wysoka i potrzeba mu tylko jeden skok uczynić, aby stanąć u jej szczytu i cudów męztwa, mądrości, miłości dokazać. Dobre uczucia i chęci szlachetne przemieniły się w nim w téj chwili w namiętność, która rozgrzała mu wzrok płomieniem zapału i całą twarz przyoblekła wyrazem niecierpliwego marzenia.

Znajdowali się już w pobliżu ścieżki wiodącéj do dworku, tam gdzie wzrastały grusze stare i krzyż nizki podnosił nad wzgórzem ramiona zwieńczone zczerniałém od chłodów i deszczów kwieciem nieśmiertelników.

Frania stanęła, chcąc pożegnać towarzysza; on jednak nie odchodził jeszcze, patrzył z kolei na krzyż i na nią.

— Widziałem, rzekł, jak pani zawieszała wieniec ten na tym krzyżu. Modliłaś się pani wtedy gorąco, chociaż bez słów.... O co pani tak bardzo błagałaś Boga?

W głosie jego było wzruszenie, którego stłumić ni ukryć nie mógł. Po twarzy jéj, po raz piérwszy od chwili spotkania, przesunął się rumieniec. Przykro jéj było, że oko żyjące podpatrzyło tajemnicę wiary jéj głębokiéj i smutnych jéj modłów. Po chwili jednak odpowiedziała:

— O cóż innego modlićbym się mogła, jeśli nie o zdrowie mego dziadka, o powrót rozumu, albo przynajmniéj o sen spokojny dla brata mego, o życie dla moich małych?...

Widać było w istocie, że nie modliła się nigdy o nic innego, że nigdy nie prosiła Boga o nic dla siebie.

Nazajutrz Kajetan Orchowski był gościem białowolskiego dworku. Znalazł tam w kilku małych i skromnych izdebkach starego dziadka, kaléctwem przykutego do poręczowego krzesła na kółkach; dwoje dzieci bladych, z odrobiną zaledwie życia w chorowitych ciałach; obłąkanego, który tułał się bezmyślnie po domu i ogródku, lub znikał na długo w głębi boru; parę sług siwowłosych i młode dziewczę, które na widok jego spłonęło nagle rumieńcem.

Frania była w tym domu nieszczęścia gospodynią, matką, piastunką, dłonią która żywi, sercem które pociesza, łagodną mocą która spokój rozléwa, swobodnym uśmiechem który promień radości rzuca w najgłębsze nawet mroki niedoli. Była wszędzie, myślała o wszystkiém, działała za wszystkich.

Na dziecięcych jeszcze barkach jéj spoczęły obowiązki wielkie; dźwigała je, sama nie wiedząc jak, sama nie wiedząc kiedy, i zżyła się ze swym ciężarem, pragnieniem, myślą, nie wybiegając ni razu w świat weselszy. Była piękną i nie wiedziała o tém. Bywała nieraz śmiertelnie znużoną i nie pragnęła ani szukała spoczynku. W każdéj godzinie, w każdéj minucie składała w ofierze na ołtarzu miłości rodzinnéj najpiękniejszy kwiat swéj młodości, najgorętsze płomienie swych uczuć, i nie wiedziała o tém że czyni ofiarę.... Kochała.

Taką widywał ją młody Orchowski przez długi szereg dni i tygodni. Stopniowo poczęła zachodzić w niéj zmiana. Raz ujrzał ją siedzącą nad stawem z dziećmi, z któremi nie rozłączała się nigdy prawie; ale zamiast, jak zwykle bywało, gwarzyć z niemi, pieścić je lub uczyć, szklistém spojrzeniem patrzyła w szybę spokojnéj wody nic zda się nie widząc w koło siebie, nic nie słysząc. Daremnie blade dziewczynki obejmowały jéj szyję i głowę jéj swywolnie ku sobie ciągnęły; daremnie przynosiły jéj kwiaty i z pieszczotliwym szczebiotem zarzucały niemi jéj suknię,—żadném słowem ni poruszeniem nie odpowiadała na pieszczoty ich i zapytania. Możnaby rzec że owładnął nią sen jakiś głęboki. Czoło jéj, ciężkie nieprzezwyciężoném marzeniem chyliło się coraz niżéj.... aż nareszcie oderwała wzrok od powierzchni wody i spostrzegła młodego gościa, który stał pod cieniem brzozy płaczącéj, z okiem w twarz jéj utkwioném. Powstała szybko, po raz piérwszy zmieszana, strwożona pod jego spojrzeniem. Chciała postąpić naprzód, ale sił jéj zabrakło zrazu; bezwiednym ruchem poniosła dłoń do serca, które znać uderzyło gwałtownie...

Innym razem znalazł ją całą ubraną w kwiaty. Długie gałęzie powojów przewijały się śród płowych jéj włosów i białe kielichy swe opuszczały na jéj ramiona. Nigdy przedtém nie stroiła się w kwiaty. Ale teraz zdawało się, że znikła w niéj pamięć o żałobie pokrywającéj dni jéj młodości, że rozpoczynał się dla niéj dzień nowy. Kwiaty, te dzieci promieni, uśmiechnęły się w poranku letnim do niéj, w któréj serce zapadły także piérwsze promienie serdecznego życia... Wesołą była dnia tego jak dziecię; młodość jéj, długo tłumiona smutkami i trudem, upominała się o swe prawa.

Wieczorem dopiéro, gdy słońce ukryło się za cienistą gęstwinę brzóz płaczących i bladą, różową już tylko łuną barwiło staw cichy, zjęło ją zamyślenie nagłe, ogarnął ją smutek jakiś niewymowny i nieokreślony. Powolnym ruchem wyjęła z włosów kielichy powoju, a gdy zwiędłe leżały u stóp jéj, patrzyła na nie okiem ocienionéem długą i cichą, lecz na dnie ogniami i łzami wrzącą zadumą.

Trwało tak długo, aż do schyłku lata, i.... nagle trwać przestało. Był tydzień pewien, w którym młody Orchowski nie odwiedził ni razu białowolskiego dworku. W tym samym téż czasie mówili ludzie wiele i głośno o hucznych, świetnych zabawach wyprawianych po okolicznych dworach na cześć świeżo przybyłéj w strony owe piękności.... piękności niepospolitéj, dumnéj, czarnookiéj, na wzór komety wiodącéj za sobą szlak blasków olśniewających, nakształt wichru przelatującéj z szumem i porywającéj w wir swój wszystko i wszystkich.

Po tygodniu Frania, siedząca u kolan swojego dziadka i czytająca mu głośno dzienniki, ujrzała zdala od krzyża

jeszcze za stawem, przybywającego gościa. Dziennik wypadł z jéj ręki, głos złamał się nagle w piersi i umilkł....

Przybył, ale zmieniony, blady, jakby po zmęczeniu wielkiém, z chmurą na czole i z błyskawicą wewnętrznéj burzy w oku. Zapytała go z trwogą czy nie jest chory, czy nie spotkało go nieszczęście jakie. Odpowiedział z roztargnieniem i z przymuszonym uśmiéchem. Ona nie zapytywała go więcéj o nic. Odgadła w nim ranę jakąś, walkę, rozdwój uczuć i myśli, który przyniósł ze sobą w cichy jéj kątek ze świata gwarnego, odgadła i milczała, i tylko gdy krzątała się po małym domu, głowa jéj chyliła się wdół, tłoczona smutkiem nieprzezwyciężonym, a gdy na pożegnanie podała mu rękę i uśmiechnęła się, jak zwykle bywało przyjaźnie, łagodnie, w uśmiechu jéj widać było ukrywany, więc niemy ból ściśnionego serca. On dnia tego topił w niéj wzrok wilgotny lub niepokoju pełen, a odchodząc ścisnął dłoń jéj drobną z siłą taką, jakby w téj chwili postanawiał coś w myśli niezłomnie.

— Wrócę jutro, rzekł i patrzył na nią z wyrazem oczekiwania w oczach.

Spodziéwał się może, iż w odpowiedź zawoła: „powróć! o, powróć!” i krzykiem tym kochającego, strwożonego serca podeprze chwiejącą się wolę jego, zwróci jego uczucia w jeden znowu, stały i niezachwiany kierunek. Ale ona nic nie rzekła. W oczach jéj był cały świat uczuć pytań, próśb i trwóg niewymówionych; ale na czole spoczęła duma dziewicza, kobiéca, niedozwalająca błagać o litość.

Nie wrócił. W domu w którym przebywała świetna i sławna piękność okolicy, był nazajutrz bal wielki. Ręczyński dwór jaśniał wśród nocy letniéj setkami świateł, ciepłe powiewy wiatrów roznosiły w dal dźwięki hucznéj muzyki i odgłosy gwarów wesołych, długich....

Minęły tygodnie i nastał już początek jesieni.

W jednym z małych sklepików, otaczających główny plac miasteczka, stała Frania. Przyszła tu, jak zwykle, dla różnych drobnych potrzeb gospodarskich, po wszystkie te drobiazgi tanie, niewytworne, które ręka jéj czynna i wprawna przemieniała w trochę dobrobytu i zdrowia dla tych, nad którymi rozciągała gorliwą i czynną opiekę. Żydówka sprzedająca za małym i brudnym stołem potrzebne jéj przedmioty była widocznie dobrą jéj znajomą, bo kładąc na szalę towary, licząc piéniądze otrzymane, urządzając małe pakunki, gwarzyła poufnie.

— Ny, rzekła, dlaczego to panienka taka blada? Latem panienka wyglądała ślicznie jak róża, a teraz zrobiła się taka mizerna. Czy panience *czego* nie boli?

Dziwny uśmiech okolił usta dziewczyny, bladéj w istocie i zmienionéj bardzo. Nic jednak nie odpowiedziała. Miałaż zaprzeczyć, powiedzieć że zdrową jest i żadnego nie uczuwa bólu?... Była w istocie dziwnie zesłabłą, strasznie znużoną codzienném oczekiwaniem i codziennemi zawodami, a w piersi, tam gdzie serce uderzało biciem nierównem, czuła ból srogi i ciągły.... ciągły...

Nic więc nie rzekła i przeliczywszy na brudnym stole piéniądze Żydówce należne, odejść już miała, gdy nagle kupcowa poskoczyła z za stołu i stając we drzwiach sklepiku, z wyrazem zachwytu krzyknęła:

— Sieh! sieh! a szajne puryc! aj! aj!

W mgnieniu oka utworzyły się przed jéj sklepikiem i przed wszystkiemi innemi sklepikami grupy ludności, wyległéj z domostw, karczem i dziedzińców. Drobne dzieci żydowskie, bawiące się śród placu, z krzykiem uciekały ku matkom, które wołały je z pośpiechem; starsze za to wy-

suwały się naprzód i biegły przez plac, wytrzészczając oczy i krzycząc co sił:

— Sieh! sieh! a szajne puryc!

Placem przejeżdżała świetna kalwakada jeźdźców i amazonek. Było tam osób przeszło dwadzieścia, a wszystkie siedziały na koniach dzielnych, przybranych w barwne czapraki i połyskujące siodła. Nad głowami pań powiéwały pióra i przezroczyste zasłony; panowie trzymali w rękach szpicruty oprawne w złoto.

Orszakowi temu przodowała para najpiękniejsza ze wszystkich, na najpiękniejszych, najognistszych jadąca koniach. Jedną z osób parę tę składających była kobiéta z kibicią wyniosłą, dłutem rzeźbiarza niby ze szlachetnego wyrzeźbioną marmuru; drugą—młody pan z Orchowa.

Jechali zrazu stępo. On rozmawiał o czemś do towarzyszki swéj z przejęciem się i zapałem, ona odpowiadała mu uśmiechem w pół dumnym, w półłaskawym. Pragnął snadź czytać w tym jéj uśmiéchu, albo na twarz jéj nieruchomą i dumną sprowadzić słowami swemi błyskawicę wzruszenia—bo tak był nią zajęty, że prócz niéj nic dokoła nie widział: ani ciekawego motłochu, mrowiem plac napełniającego, ani młodéj dziewczyny, która we drzwiach sklepiku stała ze zmartwioną postacią, z twarzą białą, jak marmur, ze źrenicą széroko roztwartą i w twarz jego wpatrzoną tak upornie, jakby przez oko to szkliste i rozszerzone całe życie ulecić wnet miało.... Nie widział nic prócz téj, któréj kibić wyniosła, wytworna unosiła się nieruchomo nad dumnym grzbietem drogocennego rumaka. Szukał oczami jéj spojrzenia.

Podniosła nakoniec powiekę, zwróciła ku niemu głowę królewską i utkwiła w twarzy jego oczy wielkie, czarne.

wabne i zarazem dumne, wyzywające a pełne przyrzeczeń.

W téjże chwili dotknęła ręką szyi wierzchowca. Piękne zwierzę zrozumiało jéj wolę, parsknęło z radością i puściło się naprzód wielkim kłusem zrazu, szalonym potém galopem.... W ręku jeźdźca cugle drgnęły i opadły na kark konia, który puścił się za tamtym w raźnych poskokach.

Pędzili tak oboje, o wiele wyprzedzając orszak cały, jedno obok drugiego, a zanim zniknęli za ostatniemi domostwami miasteczka, widać jeszcze było jak w powiewie wiatru przezroczysta jéj zasłona rozwinęła się, niby skrzydło wielkiego motyla, i błękitną mgłą otoczyła schyloną ku niéj głowę jego....

Zniknęli... po świetném zjawisku został tylko na miasteczkowym placu szlak gruntu zoranego kopatami końskiemi i wielka chmura kurzawy, która unosiła się w powietrzu różowa od przenikających ją promieni zachodzącego słońca.

— A czy panienka wié, zaczęła Żydówka, kto to taki ta panna, co z naszym panem na przedzie jechała? To panna Ręczycówna ... Ona do Ręczyna niedawno przyjechała, bo stary pan Ręczyc, to jéj wuj.... Ona rodziców nie ma i posagu nie ma; to ludzie gadają, że ona chce bardzo wyjść za naszego pana, i że naszego pana tam bardzo ciągną, i że *un* już w niéj okropnie rozkochany... A może to *un*, dodała po chwili namysłu, oświadczył się jéj teraz, bo tak na nią patrzył... aj! aj! jak *un* na nią patrzył, jak do niéj gadał ciągle....

Białowolska dziewczyna, nieruchoma dotąd jak kamień i jak marmur biała poruszyła się teraz, niby dotknięta sprężyną jakąś niewidzialną.

— Do zobaczenia, pani Chajo! rzekła tak szybko,

jakby conajprędzéj ukończyć pragnęła ciężki dla niéj w téj chwili trud mówienia.

Żydówka chciała ją zatrzymać i powiedziéć jéj cóś jeszcze; ale ona była już daleko. Szła ulicą miasteczka prędko, nie oglądając się, z oczami utkwionemi w ziemię. Patrząc na nią, można było myśléć, że wybrała się w podróż jakąś nieskończoną, że biedz pragnęła gdzieś, aż na kraniec świata, uciec conajprędzéj od miejsca, na którém się znajdowała.

Nie byłoż to miejsce to samo, które grzed kilku miesiącami przebywała obok niego po wyjściu z chaty Judela? Czuła wtedy że stawało się w niéj cóś nowego, wielkiego! Nieznane jakieś, rozkoszne ciepło wstępowało wtedy do jéj piersi, i nie wiedziała jeszcze dlaczego, ale świat stanął nagle przed nią taki promienny, radosny i tajemniczy zarazem, tak dziwne, niepojęte uroki i obietnice kryjący w powiewach swych i woniach!... A teraz... o teraz uciec pragnęła od wspomnień tych, które otaczały ją chórem żałobnym i rozdzierały jéj serce żałością za tém, co bezpowrotnie minęło! uciec od goryczy, którą w życiu swém uczuwała po raz piérwszy, od myśli strasznych i grzesznych, od rozpaczy, od słabości nieprzezwyciężonéj, która zasłonę ciemną rzucała na jéj oczy, uginała kolana, całe ciało jéj przejmowała bezwładném omdleniem!...

Nie uciekła jednak od niczego: ani od pamięci swéj, ani od rozpaczliwych krzyków rozlegających się w jéj wnętrzu, ani od omdlenia ciężkiego, w które zapadły wyczerpane jéj siły. Dobiedz zdołała tylko do krzyża; chciała podnieść wzrok w górę i szukać tam wysoko litości, któréj nie znalazła na ziemi... Nie mogła... Powieki jéj ciężkie łzami nieprzelanemi, wdół opadły. Chciała otworzyć usta i modlić się... Nie mogła.. W głowie jéj myśli nie było żadnéj

na ustach drżących jak listki osiny żadnego słowa... Osunęła się na ziemię, chyliła się coraz niżéj, aż złożyła głowę na trawie chłodnéj i cicho, bez jęku, bez łzy przymknęła powieki... Zemdlała...

Szary mrok zapadać począł. Wątła postać dziewczęca leżała wciąż na zielonéj trawie, w nieruchomości kamiennéj. Kędyś pod lasem grały przeciągłe surmy jesienne; dźwięki ich wiatr cichy chwytał i niósł ponad okrytemi żółtą ściernią polami; w oddali, za miasteczkiem, wieża kościelna zadzwoniła na wieczorne pacierze; od wioski płynęły długie wołania matek, przyzywających dzieci ku ogniskom, które rozpalały się w chatach.

Do odgłosów tych przyłączył się po chwili jeden jeszcze.

— Franiu! Franiu! rozległo się wołanie od strony małéj, nizkiéj łączki, wśród pól rzuconéj.

Zarazem z gęstwiny wierzb wychyliła się głowa nastrzępiona roztarganemi włosami i wieńcem z zeschłych kłosów uwitym.

— Franiu! Franiu! wołał obłąkany coraz częściéj, coraz przeciągléj!

Stanął na skraju łączki i dziko połyskującemi oczami rozglądał się dokoła; przechylał głowę w obie strony, zdając się przysłuchiwać czemuś, oczekiwać czyjegoś głosu. Nie usłyszał nic prócz szumu wiatru muskającego powierzchnię wierzbowych zarośli i ostatniego dźwięku kościelnéj dzwonnicy, który rozpłynął się w powietrzu i umilkł.

Obłąkany przestał wołać, a zaczął biedz. Biegł szybko, prosto ku wzgórzu na którém stał krzyż. Niejednokrotnie widać znajdował tam tę, któréj imię nadaremnie teraz rzucał polnym wiatrom i echom. Znalazł ją tam i teraz

Nachylił się i pochwycił jéj rękę, która ciężko i bezwładnie zawisła w jego dłoni.

— Pójdź do domu! rzekł pochylony i wpatrzony w twarz jéj nieruchomą.

Powtarzał teraz słowa, któremi ona zawsze przemawiała do niego.

— Pójdź do domu! pójdź do domu! szeptał coraz prędzéj, coraz uporczywiéj i coraz niżéj schylał się nad nią. Na obłąkanéj twarzy jego zjawiał się stopniowo wyraz trwogi nieprzytomnéj, połączonéj z rzewnością i tkliwością dziecięcą.

— Franiu! jęknął, czy ty śpisz?

I nastawił ucha ku ustom jéj, od których oczekiwał odpowiedzi. Tak pytała i tak czyniła zawsze ona, ilekroć znalazła go nad brzegiem stawu, albo w głębi boru leżącego na ziemi, z zamkniętemi oczami. Teraz on naśladował ją. Zdawać się mogło, że pragnął odpłacić jéj staraniem za starania, niepokojem troskliwym za jéj troskliwy o niego niepokój.

— Franiu! czy ty śpisz? powtórzył.

Nie było odpowiedzi. Wydał krzyk jakiś niezrozumiały, roztworzył ramiona i porwał ją z ziemi.

— Pójdź do domu! zawołał tym razem głośno i trzymając ją w objęciu, pobiegł ścieżką.

W połowie drogi zaczął iść wolniéj. Kołysał ją w ramionach, jak dziecię uśpione, głowę pochylał nad nią i wzroku od twarzy jéj nie odrywał, a jednak, okrążając staw i przechodząc pod cieniem brzóz płaczących, nie przestawał wołać ciągle, coraz łagodniéj, przeciągléj, żałośniéj;

— Franiu! Franiu!

Wkrótce potém stary dwór orchowski przemienił postać swą dawną tak, jakby dotknęła go laska czarodziejska. Nowe sprzęty, nowe cugi i powozy, nowa służba liczna wzbudzały w okolicy tysiące uwag, zachwytów i ciekawości. Właściciel wszystkich tych pięknych rzeczy bawił w stolicy, kędy pociągnęła go za sobą piękna narzeczona.

Gdy wreszcie przebrzmiały i pogasły w wielkiém mieście karnawałowe gwary i świetności, powrócił do ścian swych, tak drogich mu, tak cichych i tak poważnych dawniéj— z żoną.

Wtedy już ludzie mówili o nim, że stał się nakoniec porządnym człowiekiem, zupełnie do innych ludzi podobnym, że nabył brakującéj mu wprzódy cnoty gościnności, opuścił dawne marzenia i dziwactwa, bo... wydawał bale.

Nawrócenie to przypisywano powszechnie wpływowi młodéj i pięknéj kobiéty, która będąc jego żoną, była zarazem gwiazdą i bóstwem całéj okolicy.

Z przyjściem wiosny jednak odrodzony człowiek ten posmutniał. Była to pora w któréj, wedle brzmienia najuroczystszéj umowy przedślubnéj, opuścić miał wraz z towarzyszką swą miejsca rodzinne i udać się w podróż daleką. Stacyami wędrówki téj miały być wielkie miasta Europy, a kres jéj przewidywać się dawał w oddalonym chyba, bardzo oddalonym czasie.

W porze owéj podróże były modą panującą, jednym z tych narkotycznych przyrządów, które ludziom śpiącym dawały złudę życia. Dla Kajetana Orchowskiego przecież podróż taka, bez celu dobrze określonego, bez kresu oznaczonego, większą niż dla innych posiadała wagę.

Wyjechać Bóg wié dokąd, Bóg wié po co i na jak długo, znaczyło to dla niego opuścić miejsca, na których,

wedle uprzednich marzeń jego, snuć się miała płodna w następstwa różne działalność jego, śród których przyrzekał sobie niegdyś tyle rzeczy różnych ulepszyć, zbudować... Cóż się więc stanie z tym planem przyszłości jego, tajemniczym dla wszystkich, a może jeszcze i dla niego samego, ale zawiérającym w sobie mnóstwo narysowanych zlekka zamiarów, wiele postanowień w chwilach zapału lub wzruszenia powziętych?.. Wykonanie planu tego odłożonem zostanie na późniéj, zamiary i postanowienia spać będą cicho w głowie jego, w czasie gdy owiewać ją pocznie obce powietrze... Późniéj więc, późniéj!.. A teraz jechać musiał, bo dał słowo, bo tylko za cenę spełnienia obietnicy téj otrzymywać mógł łaskawe spojrzenia od oczu ognistych, które, świetne jak dwa słońca, umiały jednak chmurzyć się i gasnąć; otrzymywać mógł uśmiechy zgody i pocałunki miłości od ust prześlicznych, które teraz już, w tych piérwszych miesiącach poślubnych, bywały nieraz dumne, rozgniéwane...

Pojechał... Powiadali ludzie, że w przeddzień wyjazdu pomiędzy młodą porą stoczył się spór żwawy, po którym pani miała w oczach łzy i błyskawice tłumionego gniewu, a pan dosiadł konia, z twarzą bladą i chmurną. Wzdłuż i wszerz przejechał grunta orchowskie; widziano go jak zatrzymywał się na punktach najwyższych, odkrywał głowę i wodził dokoła wzrokiem smętnym, jakby żegnał z boleścią rzeczy drogie i święte.

Gdy wrócił z przejażdżki, głos jego brzmiał po domu gniewny jak nigdy, a przez noc całą widziano okno jego pokoju na oścież otwarte, a w niém człowieka siedzącego nieruchomo, z czołem na dłoń opuszczoném.

Pojechał jednak, a gdy po upływie dwóch prawie lat powrócił w białym dworku stojącym pomiędzy sosnowem

borami inni ludzie mieszkali. Stary dziadek-kaléka umarł przed rokiem; jedno z dwojga dzieci nie żyło także; drugie zabrał brat jakiś czy krewny, zdaleka przybyły; obłąkanego oddano opiece lekarskiéj... Białowola był sprzedaną.

Co stało się z Franią, dokąd udała się i gdzie się schroniła, nikt tego nie wiedział. Orchowski nie dowiedział się o tem także. Wspomnienie jéj gasło i odżywało w pamięci jego, stosownie do kolei uczuć i losu jaką przebywał, ale ślad jéj istnienia zginął dlań nazawsze.

Mógłże przewidziéć, że kiedyś na piersi kobiéty téj jedno z dzieci jego wypłacze ostatnie łzy życia? że ta która była kochanką jego młodości, będzie ostatnim dobrym obrazem, na którym spoczną gasnące źrenice jego córki?

Tymczasem nabył na własność Białowolę od nowego jéj posiadacza, kosztem wielu starań i strat. Mówiono nawet, że kupno to było jednem z dziwactw jego i że piérwsze zachwiało świetny dotąd byt jego majątkowy.

Człowiek ten zresztą, nakształt trzciny wiotkiéj w coraz inne przechylający się strony, uchodził zawsze za dziwaka, marzyciela i reformatora. Rozchodziły się o nim daleko po kraju wieści rozliczne. Jedna z nich głosiła, że urządza on w swych dobrach nieznany dotąd w okolicy przemysłowy zakład jakiś... W istocie, budowa wielka wznosić się zaczynała w pobliżu dworu; ściany jej rosły zrazu szybko, potém coraz wolniéj a nakoniec ustał wkoło nich ruch wszelki, zgromadzony materyał budowlany leżał bezładnie rozrzucony i nieporuszony latami całemi, wzniesione ściany czerniały i próchniały, aż znikły, rozebrane na powszedni użytek, a na ich miejscu pozostało tylko trochę skopanéj ziemi i próchna.

To znowu gruchnęła po świecie wieść, że Kajetan Orchowski uwalnia włościan swych od obowiązku pań-

szczyzny i grunta im na czynsz oddaje. Wyglądało w istocie tak, jakby to prawdą stać się miało. Przypominano sobie jak niedawno w liczném zgromadzeniu mówił z oburzeniem o niecnym przywileju, który człowieka wprzęga w jarzmo ludzi innych; wspomniał cóś o ekonomicznych prawdach, dowodzących wyższości pracy wolnéj nad niewolą. Wiedziano że w Orchowie dokonywują się przygotowania różne do mającego nastąpić w gospodarstwie nowego porządku rzeczy, że czynią się tam jakieś urzędowe starania, a po wsiach ludnych i zamożnych rozkwitają nieśmiałe nadzieje.

Nagle wszystko umilkło i jak po rozpoczętéj budowie przemysłowego gmachu, próchna i ruiny, tak z przygotowań tych, starań i nadziei pozostawały tylko uśmiéchy ludzkie....

Co bo się tam nie zaczynało, co nie zarysowywało i przed urodzeniem nie umiérało w tém dziedzictwie marzyciela bez woli, o głowie ognistéj bez ładu ni wytrwania. Była to komedya dla ludzi—dla niego męczarnia może, może także narkotyk, którym podbudzał długo nerwy moralnéj swéj istoty, broniąc się od snu.

Uległ nakoniec temu, z czém walczyć nie umiał... usnął na wzór innych. Nie był to znać jednak sen głęboki; było w nim cóś co czuwało lub budziło się chwilami i niby piła zębiasta wpijało się w istotę jego, aż znękało ją i w ciężką niemoc wprawiło...

Wtedy zamknął się w wielkiéj ustronnéj swéj komnacie, pokochał znowu samotność i ciszę, a za towarzyszów jedynych wziął sobie setki tomów i z niemi kończył życie.

Teraz pośrodku komnaty stało łoże szerokie, a na niém spoczywał starzec, z głową odartą z włosów i twarzą wychudłą. Ręka jego ostatnim wysiłkiem krzepkiéj niegdyś dłoni ściskała rękę syna, który klęczał przy jego łożu, z głową pochyłoną w zadumie i smutku. Opowiedział mu dzieje życia swego, od owéj krótkiéj lecz promiennéj sielanki młodości aż do tych godzin długich i ciemnych, w których sumienie jego odwracało mu wciąż przed oczami karty strawionego marnie żywota.

— Jak wszyscy synowie po ojcach swych tak i ty po mnie odziedziczysz skutki grzechów moich. Nie złorzecz mi.... bo najsroższém przekleństwem występnego życia jest jego koniec....

Wyrzekł to powoli, głosem cichym, lecz pewnym: twarz miał zwróconą ku sufitowi i oczy utkwione w górze. Po chwili wytchnienia mówił daléj:

— Należałem do pokolenia, które przed chwilą ustąpiło ze sceny świata... Skupiło się we mnie wszystko dobre i złe, tworzące to znamię szczególne, po którém pokolenie owo pozna duch historyi.. Nieraz marzyliśmy pięknie i chcieliśmy dobrze, ale nie czyniliśmy nic.... oto tajemnica żywotów naszych, zgasłych w niedoli i po sobie zostawiających niedolę... oto świadectwo wedle którego osądzą nas dzieje... Chęci niespełnionych, marzeń w jawę nieprzemienionych nie położą one na szalę swéj sprawiedliwości. Ciężkim wyrokiem spadną na głowy nasze światła przez nas niezapalone, dobre chwile zaniedbywane, skarby na wiatr rozrzucone, pozostające za nami odłogi...

Umilkł, oddychał ciężko: w piersi jego słychać było ciągłą, coraz śpieszniejszą robotę niewidzialnéj mocy niszczącéj.... Po chwili, głośniéj niż wprzódy, wymówił:

— Minęło!,.. Któż i cóż powrócić mi zdoła życie minione?.... Nikt i nic!

Twarz jego wychudła nieruchomą stała się na chwilę pod ciężarem spadłéj na nią ołowianéj zadumy, w oczach tylko széroko roztwartych świecił ogień gorączki i pierś wzdymała się wysoko, głośnym, chrapliwym oddechem! Nagle z wybuchem zawołał:

— Któż mi powróci teraz spokojny sen nocy, spędzonych w gorzkiém czuwaniu, wesele dni upłynionych, w smutku, pełnię życia, które było pustem, chwałę męża, która utonęła w chańbie próżniaka?... Kto mi powróci słodycz i szczęście domowego życia, które przyniosło mi samę tylko gorycz, niezgodę, zgryzotę? Kto poprawi duchy dzieci moich, zaniedbane przezemnie? Kto mi do łoża śmierci przywiedzie miłość ich i cześć?... Nikt! nikt! nikt!

— Mój ojcze! zabrzmiał przy łożu głos męzki, czułością i smutkiem tłumiony,—mój ojcze! jedno z dzieci twoich jest tu, przy tobie...

— Jedno z dzieci moich! jak smutne i łagodne echo powtórzył chory.

Po chwili milczenia mówił znowu:

— Tak, tyś był jedyném z dzieci moich, które mię kochało, którego złowrogie moce niezgody i pustki w domu mym panujące oderwać odemnie nie zdołały... Przed tobą téż jednym odkrywam poranione wnętrze moje, ostatnie żale moje i pragnienia... Posłuchaj!.. Odkąd chory i zniechęcony do życia czynnego, któremu podołać nie miałem siły, zamknąłem się tu jak pustelnik w ciszy nieprzerwanéj, uporządkowały się myśli moje, bezładne wprzódy, rozwidnił się przedemną we mgle przedtém widziany porządek wszech-rzeczy; dojrzałem łańcuch olbrzymi przyczyn

skutków, przestępstw i kar...—Różne były przyczyny, które uczyniły nas takimi, jakimi byliśmy.... Jedna z nich spoczywa w plemiennem przyrodzeniu naszém, uporném ładowi wszelkiemu, skłonném do marzeń, zapałów i wrzawy, lecz nieumiejącém dźwigać ciężarów długo, wytrwale, w powadze skromności i ciszy.... Inną ważniejszą był dzierżony przez nas przywiléj na ziemskich bogów.... Rodziliśmy się dostojni i bogaci odrazu... nie mieliśmy o co walczyć dla siebie i dzieci swoich... Twarzy naszych i duchów nie skropił i nie skrzepił nigdy pot własnego mozołu.... więc zapomnieliśmy o tém, że jesteśmy ludźmi i usnął w nas nerw działania, a zapanowały zmysły, nieprzeparta żądza używania, i uwierzyliśmy w wiekuistość królowania naszego... i usnęliśmy na szczycie Olimpu... Lecz Olimp ten był wulkanem... dno jego płomienne poruszyła dłoń przyszłości, o któréj pomiędzy nami zatraciła się myśl i pamięć.... Teraz... czas nam do grobów.... a nad przepaściami pozostawiamy to, co nam najdroższém było....

Spoczął chwilę po długiém mówieniu, a potém ciągnął daléj:

— Nie proszę cię abyś dokonał tego, czegom ja dokonać, zaniedbał... abyś naprawił to, com ja zepsuł... Jestto niepodobném... ale przyszłość do ciebie należy.. Życie swe masz przed sobą: nie uczyń z niém tego, com ja ze swojém uczynił.... Jutro, pojutrze, gdy nad trumną, zawierającą w sobie zwłoki moje, staniesz u szczytu wzgórza będącego rodzinną naszą mogiłą i obejrzysz się dokoła siebie, zobaczysz same tylko odłogi i ruiny... Inaczéj to dziedzictwo piękne wziąłem po przodkach swoich, inaczéj oddaję je tobie, inaczéj ty oddaj je dzieciom swoim.. Czyń co będziesz mógł, aby użyznić ziemię tę, która pod ręką moją rodzić

przestała, aby podnieść ściany, które pod okiem mojém pochyliły się ku ziemi... U końca życia ze skarbów zmarnowanych lub dorobionych składać będziesz rachunek przed sumieniem swojém, tak jak ja składam go teraz przed swojém... Niech on ci lżejszym będzie!... Oto ostatnie pragnienie moje... Chciałbym abyś ty stał się dziedzicem Orchowa. Kamil...

Westchnął i mocował się ze sobą widocznie aby nie rzec strasznego jakiegoś słowa, choć rozpiérało mu ono pierś żalem wielkim.

— Weź Orchów... weź... weź... uczyń z nim co tylko będziesz mógł, aby.... aby tylko nie stał się zagonem zoranym pod siejbę zagłady.... Weź Orchów!..

— Wezmę, ojcze! ozwał się znowu przy łożu głos klęczącego młodzieńca, ale tym razem brzmiała w nim wola silna i uroczyście dawana obietnica.

Milczenie głębokie zaległo obszérną komnatę. Przyćmione blaski lampy rozpalały, jak dawniéj, iskry złote w szybach szaf oszklonych i mieszały się z cieniami pokrywającemi blade, zwiędłe czoło umiérającego. Żółte powieki jego były teraz przymknięte, a przez zwarte, siniejące usta wyrywały się od chwili do chwili jęki słabe, niby odgłosy ostatniéj walki życia ze śmiercią. Nagle białe ręce jego splotły się kurczowo i z ostatnim wybuchem konającéj siły, podniosły się w górę.

— Któż mi powróci życie stracone? zawołał, nikt! nikt! nikt!

Zdawało się, że z ostatnim wykrzykiem tym uleci życie jego, taka w nim była moc rozpacznego wysiłku. Podniósł jednak drgające powieki i gorejącą źrenicą raz jeszcze potoczył dokoła.

Chwilę milczał i przyzywał pierzchające myśli, potém z dłonią ciężko złożoną na pochylonéj głowie syna, z oczami w których malowały się ostatnie cierpienia i pragnienia, wyszeptał:

— Niech marne życie moje i rozpaczna śmierć moja będą dla ciebie nauką... niech ustrzegą cię od miłości bez szacunku.... od zamiarów bez spełnienia... od zapałów bez wytrwania.... od życia bez planu... od marzeń bez czynu... od chęci bez woli...

Słowa jego spłynęły w szept zaledwie dosłyszalny. Był-to niby testament, kréślony niewyraźnemi znakami; ale klęczący u łoża młodzieniec słuchał go z twarzą jak marmur bladą i z uchem pochyloném ku ustom ojcowskim. Usta te oddawna już mówić i oddychać przestały, a on pozostał jeszcze nieruchomy, z dwiema wielkiemi łzami palącemi się w źrenicach powieką okrytych, z dłońmi zaciśniętemi w koło zimnéj, sztywnéj ręki zmarłego.

Cisza głęboka zalegała dom cały, gdy otworzyły się zwolna drzwi wielkiéj, podłużnéj sali i wszedł przez nie Mieczysław. W oczach jego spuszczonych ku ziemi malował się ból gorący, świeżą stratą ukochanéj istoty sprawiony, ale na twarzy bladéj, nieruchoméj i w całéj postaci młodego człowieka, zwolna kroczącego przez obszérną komnatę, spoczywał wyraz takiéj powagi, tak głębokiego i energicznego skupienia władz uczuć i myśli, że mniemać było można, iż przez tę noc jednę przybyło mu lat kilka, lat nauki, doświadczeń i cierpień. W istocie przez tę noc jednę przeżył on życie całe swego ojca, życie całego pokole-

nia, które na widowni dziejów poprzedziło jego i jemu podobnych. Wczoraj jeszcze był młodzieńcem, dobrym, szczerym, skłonnym do uczuć i postępków szlachetnych, lecz z życia powagą niezbratanym, w młodzieńczéj wesołości swéj płochym nieco, nieznającym dokładnie pobudek czynów własnych, ani miary do jakiéj dorość mogła własna istota jego. Dziś rozpaczna śmierć, kończąca zwichnione, zmarnowane życie jego ojca, ochrzciła go na męża.

Wyglądał téż w téj chwili jak mąż, w którego wnętrze zapadły postanowienia niezłomne, przyrzeczenia uroczyste, przed którego oczami stanęła jasna i wyraźna świadomość dróg przyszłych.

Z oddalonego pokoju doszedł ucha jego monotonny i przyciszony szmer dwóch głosów kobiécych. Zwrócił się w kierunku drzwi nawpół otwartych, a stanąwszy na progu, ujrzał dwie postacie kobiéce, klęczące u stóp krucyfiksu, przed którym na srebrnym łańcuchu zwieszona paliła się mała lampa.

Na odgłos kroków wchodzącego, pani Leontyna przerwała odmawianie modlitwy za chorych i umiérających: trwożném, do głębi zmąconém spojrzeniem ogarnęła twarz syna. Bladość twarzy téj, ból na niéj wyryty i piętnująca ją w téj chwili uroczysta powaga powiedziały jéj znać wszystko, bo porwała się z klęczek i krzyknęła. Wykrzyk jéj głośnym był, przeszywającym, ale brzmiało w nim jedno tylko uczucie: przestrach. Zarazem ramiona jéj i kibić cała drżéć zaczęły pod grubym szalem, okrywającym nawpół długą, czarną szatę.

Lila, blada także i drżąca, instynktowym ruchem kryła się za matkę i osłupiałych, wylęgłych swych oczu nie spuszczała z twarzy brata.

Mieczysław zbliżył się do matki i ujął w obie dłonie rękę jéj, jak łód zimną.

— Matko, rzekł głosem zniżonym i drżącym od łez w piersi tłumionych, tam.... skończyło się już wszystko.... Alem ja pośpieszył do ciebie, aby ci powiedzieć, że masz syna, który uczyni co tylko w mocy jego będzie...

Umilkł nagle, bo spostrzegł że mówił daremnie. Pani Leontyna nie zdawała się słuchać ani rozumiéć słów syna. Dłonie jéj zaciskały wkoło kibici fałdy grubego szala; oczy błędne, nieprzytomne prawie, obiegały dokoła mroczny pokój, odtrącane i zarazem niezwalczenie jakoby pociągane przez najciemniéjsze jego zakątki.

— Mój Mieczysiu! mówić zaczęła pobladłemi i drgającemi usty, niech tam wszystko urządzą jak należy.... Ja.... ja doprawdy nie mogę.... słaba jestem.... noc taka ciemna!... Każ światła pozapalać w pokojach.... Czy daleko jeszcze do dnia? O mój Boże! jakże jestem nieszczęśliwa!... Idź tam.., idź.... oszczędź matkę!... ja... nie mogę!...

Osunęła się znowu na klęczki, zakryła dłońmi oczy niby przed strasznemi widziadłami, i jakby pragnęła zagłuszyć przerażające głosy, które słyszała wewnątrz czy zewnątrz siebie, mówić poczęła szybko, nawpół głośno, nieustannie:

— Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie!

Mieczysław stał chwilę jak skamieniały, z głową schyloną i opuszczonemi rękami. Na czole jego zmarszczka, którą wyniósł z przedśmiertnéj rozmowy pogłębiła się. Do wszystkich uczuć jakie go napełniały przyłączyło się jedno jeszcze, ciężkie, gorzkie. Po chwili jednak zwrócił się do siostry i wziął jéj rękę.

— Lilo! rzekł łagodnie, pójdź, zobacz zwłoki naszego ojca.... Nie byłaś przy nim gdy umiérał... pójdź teraz!...

Dziewczyna gwałtownym ruchem wyrwała rękę swą z jego dłoni i usunęła się pod ścianę.

— Ja nie chcę! Mieczysiu, ja nie chcę! zawołała z płaczem prawie.

— Dlaczego nie chcesz? zapytał brat, pochylając ku niéj twarz niemal surową.

Ona usuwała się od niego, drżąc cała; w széroko rozwartych oczach jéj błyszczały łzy prośby i zarazem gniewu

— Dlaczego nie chcesz? z naleganiem powtórzył brat.

— Boję się... szepnęła, przyciskając ramiona do piersi, boję się... umarłych...

— Lilo! zawołał Mieczysław, nie znałaś prawie ojca swego... On jednak kochał cię i przed skonaniem po wiele razy imię twe wymówił.....

Słowa te uczyniły na młodéj dziewczynie pewne wrażenie. Drgnęło w niéj cóś co zmniejszyło bojaźń dziecinną, a z wyrazem przestrachu twarz jéj okrywającym, połączyło odcień nagle uczutéj tkliwości i żalu.

— Pójdź! rzekł Mieczysław, biorąc znowu jéj rękę. Poraz ostatni spojrzymy na rysy jego.... spojrzymy na nie razem, oboje... Chwila ta uczyni nas może więcéj bratem i siostrą, niż byliśmy dotąd....

Przy ostatnich wyrazach Mieczysława Lila zarzuciła mu ramię na szyję i przytuliła się do piersi jego z cichym płaczem. Był to wybuch dobrego uczucia, które ozwało się w istocie téj młodziuchnéj, chaotycznéj, pełnéj ogni gorejących w niéj kapryśnie i jałowo.

Mieczysław otoczył kibić jéj ramieniem i prowadził ją ku drzwiom.

— Mieczysiu! szeptała, ale ty mię nie odstąpisz..... będziesz tak ciągle przy mnie?...

— Będę ciągle przy tobie, odparł brat, pragnę odtąd być jaknajczęściéj przy tobie.... zastąpić ci ojca.... opiekować się tobą....

Byli już na progu, gdy nagle pani Leontyna podniosła głowę i rzuciła za siebie trwożne spojrzenie. Ujrzawszy się samą w pokoju, porwała się znowu z klęczek i zawołała:

— Lilo! Lilo!

W krzyku tym brzmiało niemal wołanie o ratunek. Lila wydobyła się z objęć brata. Nie wiedziała już ani kogo słuchać, ani dokąd iść.

— Zostawiacie mię samę! jęknęła pani Leontyna, łamiąc ręce, w tak strasznéj chwili!... O mój Boże! tegom się doczekała, że dzieci moje....wszystkie dzieci moje opuszczają mię wtedy, gdy najbardziéj mi trzeba kogóś.... kogokolwiek.... Jestem sama, sama na świecie!... nic już nie znaczę dla nikogo.... nawet dla dzieci swoich!... Czy dzień jeszcze daleko?... Jaka noc czarna!...

Mieczysław wypuścił z dłoni rękę siostry.

— Idź do matki, rzekł, pozostań przy niéj.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie mógł. Bolesne, gorzkie uczucie zdławiło mu głos w gardle. Ze wzrokiem wbitym w ziemię odszedł w głąb domu.

Koniec tomu piérwszego.